

Tajemnice Poodle Springs

Chandler Raymond



calibre 0.9.27

Raymond

CHANDLER

Robert B.

PARKER

Tajemnice Poodle Springs

Przełożył Wacław Niepokoleczycki

„KB”

1

Linda zatrzymała fletwooda przed domem nie skręcając na podjazd. Odchyliła się w tył i spojrzała najpierw na dom, a potem na mnie.

- To nowa dzielnica Springs, kochanie. Wynajęłam ten dom na sezon. Jest trochę pretensjonalny, ale takie samo jest całe Poodle Springs.
- Za mały basen - marudziłem. - I nie ma trampoliny.
- Mam pozwolenie właściciela na zainstalowanie jej. Spodziewam się, kochanie, że dom ci się spodoba. Są w nim tylko dwie sypialnie, ale w głównej stoi hollywoodzkie łóżko wielkości kortu tenisowego.
- To miło. Kiedy nie będzie nam ze sobą dobrze, zawsze możemy się odsunąć.

- - Łazienka jak nie z tej ziemi... z innego świata. A gotownia obok ma różowy dywan po kostki, od ściany do ściany. Na trzech półkach z taflowego szkła są wszystkie kosmetyki, o jakich słyszałeś. Toaleta... daruj, że mówię o rzeczach przyziemnych... mieści się w oddzielnym aneksie z drzwiami, a na pokrywie sedesu jest wielka rzeźbiona róża. I wszystkie okna wychodzą albo na patio, albo na basen.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wezmę kilka kąpieli. A potem pójdę do łóżka.
- Jest dopiero jedenasta rano - odparła z udaną skromnością.

- Zaczekam do wpół do dwunastej.
- Kochanie, w Acapulco...
- W Acapulco było świetnie. Ale mieliśmy tylko te kosmetyki, które przywiozłaś ze sobą, łóżko było po prostu łóżkiem, a nie pastwiskiem, w basenie mogli pływać również inni ludzie, a w łazience nie leżał żaden dywan.
- Potrafisz być złośliwy, kochanie. Wejdźmy. Płacę tysiąc dwieście dolarów za to gniazdko. Chcę, żeby ci się podobało.
- - Będę nim zachwycony. Tysiąc dwieście dolarów miesięcznie to więcej niż moje zarobki detektywa. Pierwszy raz w życiu będę utrzymankiem. Czy pozwolisz mi nosić sarong i malować paznokcie u nóg?
- Niech cię, Marlowe, nie moja wina, że jestem bogata, skoro jednak mam te cholerne pieniądze, to je wydaję. A ponieważ jesteś ze mną, musi coś z nich skapnąć i na ciebie. Będziesz się musiał z tym po prostu pogodzić.
- Tak, kochanie. - Pocałowałem ją. - Kupię małą i bardzo prędko przestaniesz mnie od niej odróżniać.
- Nie można mieć małej w Poodle Springs. W tym pudlim źródła trzeba mieć pudła. Właśnie zamówiłam istnego ślicznoka. Jest czarny jak węgiel i bardzo utalentowany. Pobierał lekcje gry na pianinie. Może będzie umiał grać na naszych organach Hammonda.
-
- Mamy organy Hammonda? To mi imponuje, zawsze marzyłem, żeby się bez nich obejść.
- Przestań! Zaczynam myśleć, że powinnam wyjść za Comte de Vangirarda. Był miłutki, ale się perfumował.
- Pozwolisz mi zabierać tego pudła do pracy? Mógłbym mu kupić małe organy elektryczne, takie miniaturowe, na których można grać, jeśli się ma ucho jak kanapka z peklowaną wołowiną. Grałby na nich, kiedy klienci mi kłamią. Jak on się nazywa?
- Kleks.
- Jakiś tęgi umysł to wymyślił.
- Nie bądź złośliwy, bo nie zechcę... wiesz co.
- - Zechcesz, zechcesz. Ledwie się możesz doczekać. Cofnęła fletwooda i wjechała na

podjazd.

- Nie musisz mi otwierać drzwi garażu. Augustino wstawi samochód później. Ale właściwie to nie jest konieczne w tym suchym pustynnym klimacie.
- Ach, prawda, ten boy, lokaj, kucharz i pocieszyciel strapionych. Miły chłopak. Lubię go. Ale czegoś mi brak. Nie damy sobie rady z tylko jednym fleetwoodem. Muszę mieć drugiego, żeby dojeżdżać do pracy.
- Niech cię diabli! Wyjmę biały pejcz, jak się nie uspokoisz. On ma w środku stalowe druty.

- - Typowa amerykańska żona - powiedziałem i okrążyłem samochód, żeby jej pomóc wysiąść. Padła mi w ramiona. Pachniała bosko. Pocałowałem ją jeszcze raz. Mężczyzna, który zakręcał dopływ wody do zraszacza przed sąsiednim domem, uśmiechnął się i pomachał do nas.
- - To jest pan Tomlinson - wycodziła mi między zęby. - Jest maklerem.

- - Maklerem czy frajerem, co mnie to obchodzi? - Dalej ją całowałem. Byliśmy dokładnie trzy tygodnie i cztery dni po ślubie.

2

- Był to bardzo piękny dom, tyle że załatwywał dekoratorem wnętrz. Ścianę frontową wykonano z tafłowego szkła z zatopionymi w nim motylami. Linda powiedziała, że sprowadzono je z Japonii. Podłogę hallu wyłożono błękitną winylową wykładziną dywanową z złote geometryczne wzorki. Z boku był gabinet. Stało w nim mnóstwo mebli a także cztery ogromne mosiężne lichtarze i najpiękniej intarsjowane biurko, jakie w życiu widziałem. W bok od gabinetu mieściła się łazienka dla gości, którą Linda nazywała ubikacją. Półtoraroczny pobyt w Europie sprawił, że wyrażała się z angielska. Łazienka dla gości zawierała prysznic i gotownię z lustrem trzy na cztery stopy. W każdym pomieszczeniu zainstalowano głośniki hi-fi. Augustino nastawił cichutką muzykę. Stanął w drzwiach kłaniając się i uśmiechając. Z wyglądu był miłym chłopcem, w części Hawajczykiem a w części Japończykiem. Linda go wytrzasnęła w czasie krótkiego wypadu na Mani zanim pojechaliliśmy do Acapulco. Zdumiewające, co można wytrzasnąć, kiedy się ma te osiem, dziesięć milionów dolarów.

- W wewnętrznym patio rosła duża palma, trochę tropikalnych drzew, a także leżała pewna ilość gładów sprowadzonych z pustynnej wyżyny za bagatelną sumę 250 dolarów od sztuki. Łazienka, w której opisie Linda nie przesadziła, miała drzwi na patio, a to z kolei miało drzwi wychodzące na basen kąpielowy i wewnętrzne patio oraz patio zewnętrzne. Dywan w salonie

był bladoszary, zaś organy Hammonda wbudowano w bar po przeciwnej stronie klawiatury. To mnie mało nie zważyło z nóg. W salonie stały również otomany w kolorze dopasowanym do dywanu, kontrastujące z nim fotele i ogromny kominek z okapem na półtora metra od ściany. Był też chiński kufer wyglądający bardzo autentycznie, a na ścianie trzy wytłaczane chińskie smoki. Jedna ze ścian była całkowicie szklana, inne z dopasowanej barwą do dywanu cegły do wysokości około półtora metra, a wyżej ze szkła. Łazienka miała wpuszczaną wannę i szafy z przesuwными drzwiami zdolne pomieścić wszystkie wymarzone stroje dwunastu panien na wydaniu. W hollywoodzkim łóżu w głównej sypialni mogłoby spać wygodnie czworo ludzi. Na podłodze leżał bladoniebieski dywan a lampy do czytania przed zaśnięciem były osadzone na japońskich statuetkach. Przeszliśmy następnie do pokoju gościnnego. Miał dwa pojedyncze, nie podwójne, łóżka, przyległą łazienkę z takim samym olbrzymim lustrem nad gotownią i tyle samo wartych czterysta czy pięćset dolarów kosmetyków i perfum na trzech półkach z tafłowego szkła. Pozostała jeszcze kuchnia. Był w niej u wejścia bar i ścienna szafa z dwudziestoma rodzajami szkieł do koktajli

- i win, a dalej kuchenka gazowa bez piecyka czy opiekacza, dwa elektryczne piecyki i elektryczny opiekacz przy drugiej ścianie, a także ogromna lodówka i zamrażarka. Stół śniadaniowy miał blat z mrożonego szkła, z trzech stron wygodne krzesła, a z czwartej wbudowaną kanapę. Włączyłem wentylator. Poruszał się powolnymi szerokimi obrotami, niemal bezszelestnie.
- To za wysokie progi na moje nogi - powiedziałem. - Rozwiódźmy się.
- Ty draniu! To jeszcze nic w porównaniu z tym, co będziemy mieli, jak wybudujemy własny dom. Może niektóre rzeczy są tu zbyt krzykliwe, ale nie możesz powiedzieć, że jest pusto.
- Gdzie będzie spał pudel, z nami czy w sypialni dla gości? I jakie lubi piżamy?
- Przestań!
- Muszę teraz odkurzyć moje biuro. Nie chcę czuć się gorszy.
- Nie będziesz miał żadnego biura, głuptasku. Jak sądzisz, po co za ciebie wyszłam?
- To wracajmy do sypialni.
- A niech cię, musimy się rozpakować.
- Na pewno Tino to już za nas robi. Wygląda na przytomnego chłopaka. Muszę go zapytać, czy nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy go nazywał Tino.
- - Może potrafi rozpakowywać rzeczy. Ale na pewno nie wie, gdzie ja chcę je poukładać. Jestem drobiazgową.
- - Chodź, pokłócimy się o szafy, która będzie czyja. Potem możemy trochę się pozmagać, a następnie...
- Moglibyśmy wziąć prysznic, popływać i zjeść wczesny obiad. Umieram z głodu.

- Ty zjedz wczesny obiad. Ja pojedę do śródmieścia i wynajmę sobie biuro. W Poodle Springs na pewno znajdzie się dla mnie praca. Tutaj jest mnóstwo pieniędzy i może mi się uda trochę ich uszczknąć dla siebie.
- Nienawidzę cię. Nie wiem, po co za ciebie wyszłam. Ale tak nalegałeś.
- Porwałem ją i przytuliłem. Skubałem wargami jej brwi i rzęsy, długie i gęste. Następnie przeszedłem na nos i policzki, a potem jej usta. Z początku były to tylko usta, lecz zaraz i wysunięty język, a potem głębokie westchnienie i zbliżenie dwojga ludzi do takiego stopnia, do jakiego między dwojgiem ludzi może dojść.
- Przeznaczyłam dla ciebie milion dolarów, z którymi możesz robić, co tylko chcesz - szepnęła.
- Miły uprzejmy gest. Ale wiesz, że ich nie tknę.
- Więc co mamy robić, Phil?
- Musimy jakoś się z tym uporać. Nie zawsze pójdzie nam to łatwo. Ale ja nie zamierzam być panem Lorin-giem.
- I nigdy się nie zmienisz?
- Czy naprawdę chcesz ze mnie zrobić mruczącego kotka?
- Nie. Nie wyszłam za ciebie dlatego, że mam mnóstwo pieniędzy, a ty prawie wcale. Wyszłam za ciebie, bo cię kocham, a jedną z rzeczy, dla których cię kocham jest to, że nie dbasz o nikogo... czasem nawet o mnie. Wcale nie chcę, żebyś czuł się nieswojo, kochanie. Ja tylko chcę, żebyś był szczęśliwy.
-
- A ja chcę sprawić, żebyś ty była szczęśliwa. Ale nie wiem jak. Za mało kart mam w ręku. Jestem biednym człowiekiem, który się bogato ożenił. Nie wiem, jak się zachowywać. Jednego tylko jestem pewien... w tym moim lichym czy nie lichym biurze stałem się, czym jestem. I właśnie tam będę, czym będę.
- Rozległo się ciche chrząknięcie i w otwartych drzwiach ukazał się Augustino, w ukłonie i z uśmiechem dezaprobaty na swej eleganckiej buźce.
- O której godzinie madame chciałaby zjeść obiad?
- Mogę cię nazywać Tino? - zapytał go. - Bo tak jest mi łatwiej.
- Ależ, oczywiście, proszę pana.
- Dziękuję. A pani Marlowe nie jest madame. Jest panią Marlowe.
- Bardzo przepraszam, proszę pana.
- Nie ma za co. Niektóre panie to lubią. Ale moja żona nosi moje nazwisko. Chętnie zje obiad. Ja muszę wyjść w interesach.

- Bardzo dobrze, proszę pana. Zaraz przygotuję obiad pani Marlowe.
- I jeszcze jedna rzecz, Tino. Pani Marlowe i ja się kochamy. To się przejawia na rozmaite sposoby. Żaden z nich nie ma być przez ciebie dostrzegany.
- Znam swoje miejsce, proszę pana.
- Masz nam pomagać wygodnie żyć. Jesteśmy ci za to wdzięczni. Może nawet bardziej niż myślisz. Teoretycznie jesteś naszym służącym. A w rzeczywistości przyjacielem. Istnieje jakiś protokół odnośnie tych spraw. Muszę go przestrzegać podobnie jak ty. Ale pod jego powłóczką jesteśmy podrostu kumplami.

- Uśmiechnął się promiennie.
- - Myślę, że będę tu bardzo szczęśliwy, proszę pana. Nie wiadomo jak i kiedy się ulotnił. Po prostu znikł.
- Linda obróciła się na plecy, uniosła palce nóg i patrzyła na mnie.

- Bardzo bym chciała wiedzieć, co, u licha, mam rzec na to. Podobają ci się moje palce?
- To jest najbardziej zachwycający komplet paluszków, jaki w życiu oglądałem. I zdaje się, żadnego nie brakuje.

- Odczep się, potworze. Moje paluszki naprawdę są zachwycające.
- Mogę pożyczyć fleetwooda na trochę? Jutro polecę do L.A. po swojego oldsa.

- - Kochanie, czy rzeczywiście między nami tak być musi? To się wydaje takie niepotrzebne.
- - Dla mnie nie może być inaczej - powiedziałem.

3

- Fleetwood zawiózł mnie z cichym pomrukiem do biura człowieka nazwiskiem Thorson, którego szyld w oknie głosił, że jest pośrednikiem kupna i sprzedaży nieruchomości oraz praktycznie wszystkim innym, no, może tylko nie miłośnikiem królików. Był miłym łysym człowiekiem, który sprawiał wrażenie, jakby się troszczył tylko o to w świecie, aby mu nie zgasła fajka.

- Biura są trudną do znalezienia rzeczą, proszę pana. Jeśli pan chce je mieć przy Canyon

Drive, a przypuszczam, że tak, będzie ono pana drogo kosztowało.

- Nie chcę mieć biura przy Canyon Drive. Chcę je mieć przy którejś z bocznych ulic albo przy Sioux Avenue. Nie stać mnie na biuro przy głównym ciągu.
- Dałem mu swoją wizytówkę i pozwoliłem obejrzeć fotostat licencji.
- - Nie wiem - rzekł z powątpiewaniem. - W policji mogą nie czuć się zbyt szczęśliwi. To jest miejscowość wypoczynkowa i musimy zapewnić gościom swobodę. Jeśli
- zajmie się pan rozwodami, nie zaskarbi pan sobie ludzkiej sympatii.
- - Ja się nie zajmuję rozwodami i rzadko kto mnie lubi. Co do policji, wytłumaczę się przed nią, a jeśli zechce mnie przepędzić z miasta, mojej żonie to się nie spodoba. Właśnie wynajęła dość ekstrawagancki dom w tej samej okolicy, co nowy dom Romanoffa.
- Nie spadł z krzesła, ale cholernie nim to wstrząsnęło.
- Ma pan na myśli córkę Harlana Pottera? Słyszałem, że wyszła za jakiegoś... do licha, co ja gadam? Więc wyszła za pana. Na pewno coś panu znajdziemy, panie Marlowe. Ale dlaczego chce pan, żeby to było przy bocznej ulicy albo przy Sioux Avenue? Czemu nie w najlepszej części miasta?
- Bo płacę własnymi pieniędzmi. Nie mam ich aż tak cholernie dużo.
- Ale żona pana...
- Niech pan dobrze słucha, Thorson. Zarabiam najwyżej parę tysięcy dolarów miesięcznie... brutto. Czasem miesiącami nie zarabiam wcale. Nie stać mnie na elegancki lokal.
- Chyba po raz dziewiąty zapalił swoją fajkę. Po licha tacy palą, kiedy nie umieją?
- Czy żonie pana to się będzie podobało?
- To, czy mojej żonie będzie się podobało, nie ma nic wspólnego z naszą transakcją, Thorson. Ma pan coś dla mnie czy nie? Niech mnie pan nie naciąga. Nie tacy tego próbowali. Niektórym się udawało, ale nie z pana branży.
- No, cóż...
- Drzwi pchnął energiczny młody człowiek i wszedł z uśmiechem.
- - Reprezentuję *Poodle Springs Gazette*, panie Marlow, jak rozumiem...

- - Gdyby pan rozumiał, nie byłoby tu pana. Wstałem. - Przykro mi, Thorson, ale ma pan za wiele guzików pod biurkiem. Poszukam gdzie indziej.
- Odepchnąłem dziennikarza na bok i wymaszerowałem przez otwarte drzwi. Jeśli ktokolwiek w Poodle Springs zamyka je za sobą, musi to być reakcja nerwowa. Wychodząc napatoczyłem się na wielkiego czerwonolicego mężczyznę, który przewyższał mnie o jakieś dziesięć centymetrów i piętnaście kilo.
- Jestem Manny Lipshultz - rzekł. - Pan jest Philip Marlowe. Porozmawiajmy.
- Przyjechałem tu dwie godziny temu - odparłem.
- - Szukam dla siebie biura. Nie znam nikogo nazwiskiem Lipshultz. Niech mi pan z łaski swojej da przejść.
- Być może mam coś dla pana. Wieści szybko się rozchodzą w tym miasteczku. Zięć Harlana Pottera, co? To daje wiele do myślenia.
- Spływaj pan.
- Niech pan nie będzie taki. Jestem w tarapatach. Potrzebny mi ktoś dobry.
- - Niech pan do mnie przyjdzie, panie Lipshultz, jak będę miał biuro. Mam teraz do załatwienia ważne sprawy.
- - Mogę nie dożyć do tego czasu - powiedział cicho.
- - Słyszał pan kiedyś o Klubie Szał? Jestem jego właścicielem.
- Spojrzałem w głąb biura seniora Thorsona. Obaj z łowcą nowin mieli nastawione uszy.
- -Nie tutaj - rzekłem. - Niech pan zadzwoni po mojej rozmowie z władzą. - Dałem mu telefon.
- Uśmiechnął się do mnie ze znużeniem i usunął z drogi. Wsiadłem do fleetwooda i podjechałem z wdziękiem pod komisariat położony nieopodal. Zaparkowałem na urzędowym parkingu i wszedłem. Za kontuarem siedziała śliczna blondyneczka w mundurze.
- - A niech to - powiedziałem. - Myślałem, że policjantki są brzydkie. Pani jest jak laleczka.
- Różne bywają - rzekła spokojnie. - Pan jest Philip Marlowe, prawda? Widziałem pana zdjęcie w gazetach Los Angeles. Czym możemy panu służyć?
- Chcę się zameldować. Mam rozmawiać z panią czy z sierżantem, który pełni służbę? I którą mam chodzić, żeby nie zwracano się do mnie po nazwisku?

- Uśmiechnęła się. Zęby miała równiutkie i białe jak śnieg na szczycie góry nad Springs. Założę się, że używała jednego z dziewiętnastu rodzajów pasty do zębów, które są lepsze, nowsze i w większych opakowaniach niż wszystkie inne.
- Niech pan lepiej porozmawia z sierżantem Whitesto-ne. - Otworzyła wahadłowe drzwiczki i ruchem głowy wskazała zamknięte drzwi. Zapukałem, otworzyłem i stanąłem oko w oko z mężczyzną o spokojnej twarzy, rudych włosach i takim wyrazie oczu, jakiego z czasem nabawia się każdy sierżant policji. Oczu, które widziały zbyt wiele paskudztw i słyszały zbyt wielu łgarzy.
- Nazywam się Marlowe. Jestem prywatnym okiem. Zamierzam otworzyć tu biuro, jeżeli znajdę lokal, a pan mi zezwoli. - Położyłem przed nim na biurku wizytówkę i otworzyłem portfel, żeby mu pokazać licencję.
-
- Rozwody?
- Nigdy się tym nie zajmuję, sierżancie.
- No, tak. To już lepiej. Nie powiem, żebym był zachwycony, ale może będziemy w zgodzie, jeśli pozostawi pan sprawy policyjne policji.
- Chciałbym, ale nigdy nie wiem, w którym miejscu się zatrzymać.
-
- Skrzywił się. Potem strzepnął palcami.
- - Norman! - wrzasnął.
- Drzwi otworzyła śliczna blondyneczka.
-
- Co to za typ? - zawył sierżant. - Nic nie mów. Sam zgadnę.
- Chyba tak, sierżancie - powiedziała poważnie.
- Do diabła! Nie dość, że mamy myszkującego prywatnego detektywa, ale w dodatku detektywa, za którym stoi kilkaset milionów dolców... to wręcz nieludzkie.
- Za mną nie stoją żadne miliony, sierżancie. Jestem na własnym utrzymaniu i stosunkowo biedny.
- Ach, tak? Zupełnie jak ja, tyle że ja zapomniałem ożenić się z córką szefa. My gliniarze jesteśmy głupi.
-
- Usiadłem i zapaliłem papierosa. Blondynka wyszła i zamknęła drzwi.

- Nie ma sensu, co? - powiedziałem. - Nie przekonam pana, że jestem zwykłym człowiekiem, który usiłuje zarobić na życie. Zna pan człowieka nazwiskiem Lipshultz, który jest właścicielem klubu?
- Aż za dobrze. Jego klub znajduje się na pustyni, poza naszą jurysdykcją. Prokurator okręgowy Riverside co chwila urządza mu naloty. Podobno zezwala na hazard w swoim lokalu. Ja nic o tym nie wiem.
-
- Przeciągnął wężłastą dłonią przez twarz nadając jej wyraz człowieka, który nie wie.
- - Przyłapał mnie przed biurem pośrednika kupna i sprzedaży, niejakiego Thorsona. Powiedział, że jest w tarapatkach.
- Sierżant spojrzał na mnie bez wyrazu.
- - Tarapatki wiążą się nierozdzielnie z człowiekiem nazwiskiem Lipshultz. Niech się pan trzyma od niego z dala. To jest zaraźliwe.
- Wstałem.
-
- Dzięki, sierżancie. Chciałem się tylko zameldować.
- Więc się pan zameldował. Czekałem z niecierpliwością na dzień, w którym się pan odmelduje.
-
- Wyszedłem i zamknąłem drzwi za sobą. Śliczna policjantka uśmiechnęła się do mnie miło. Stałem i chwilę patrzyłem na nią nic nie mówiąc.
-
- Chyba jeszcze żaden glina nie lubił prywatnego oka - powiedziałem.
- Dla mnie jest pan w porządku, panie Marlowe.
- A dla mnie pani jest jeszcze więcej niż w porządku. Żona też chwilami mnie lubi.
-
- Oparła łokcie o blat i złożyła dłonie pod brodą.
-
- A co ona robi przez resztę czasu?
- Marzy, żebym miał dziesięć tysięcy dolarów. Byłoby nas wtedy stać na jeszcze parę fleetwoodów cadillaków.

- Uśmiechnąłem się fascynująco, wyszedłem z komisariatu i wsiałem do naszego jedyne fleetwooda. Ruszyłem do domu.

-

4

- Przy końcu głównego ciągu droga skręcała w lewo. Żeby dojechać do naszego domu, należało jechać prosto mając po lewej ręce jedynie wzgórze, a po prawej co jakiś czas ulicę. Minęło mnie kilka samochodów turystów jadących obejrzyć palmy w Parku Stanowym - jakby nie mogli ich zobaczyć w samym Poodle Springs. Za mną jechał wolno wielki buick roadmaster. Na pustym odcinku drogi nagle przyspieszył, wyprzedził mnie i zatrzymał się przede mną. Zastanawiałem się, co złego mogłem zrobić. Z samochodu wyskoczyli dwaj mężczyźni, ubrani bardzo sportowo, i ruszyli w moją stronę. W ich ruchliwych rękach błysnęły pistolety. Przysunąłem dłoń do dźwigni automatycznej skrzyni biegów, aby ją pchnąć do pozycji: Jazda terenowa. Chciałem sięgnąć do schowka na rękawiczki, ale nie zdążyłem. Stali obok fleetwooda. - Lippy chce z tobą gadać - warknął nosowy głos. Facet wyglądał na taniego rozrabiakę. Nawet nie po-trudziłem się, żeby mu się przyjrzeć. Drugi był wyższy, szczuplejszy, ale nie bardziej rozkoszny. Trzymali jednak pistolety we wprawny choć niedbały sposób.

- A któż to taki, ten Lippy? I odłóżcie te kopyta. Bo ja, jak widzicie, nie mam.
- Po rozmowie z nim poszedłeś do glin. Lippy tego nie lubi.
- Pozwólcie mi odgadnąć - rzekłem pogodnie. - Lippy to pewnie pan Lipshultz, kierownik czy właściciel Klubu Szał, który jest położony poza granicami jurysdykcji Poodle Springs i który jest terenem działań sprzecznych z prawem. Czemu tak bardzo pragnie się ze mną zobaczyć, że aż przysłała po mnie dwóch patałachów?
- W interesie, ważniaku.
- Wcale nie myślałem, że jesteśmy tak bliskimi przyjaciółmi, że nie może zjeść beze mnie obiadu.

- Jeden z chłopaków, ten wyższy, przeszedł na drugą stronę fleetwooda i sięgnął do klamki prawych drzwi. Pomyślałem, że teraz albo nigdy. Wpednąłem na pedał gazu. Marny samochód by się zbuntował, ale nie fleetwood. Wyrwał do przodu zbijając z nóg wyższego oprycha. Wyrznął w kufer roadmastera. Nie widziałem, w jakim stopniu uszkodziło to fleetwooda. Mógł mieć parę zadrapań na zderzaku. W samym środku zderzenia otworzyłem jednym szarpnięciem schowek na rękawiczki i chwyciłem swój 9,8 mm, który woziłem ze sobą w Meksyku, choć nie dlatego, że go potrzebowałem. Ale kiedy się jest z Lindą, lepiej nie ryzykować. Niższy opryszek zaczął biec. Wyższy wciąż siedział na tyłku. Wyskoczyłem z fleetwooda i strzeliłem siedzącemu nad głową. Drugi oprych stanął jak wryty o niecałe dwa metry ode mnie.

- -Słuchajcie, kochasie - powiedziałem - jeżeli Lippy chce ze mną rozmawiać, nie zrobię tego, kiedy będę nafaszerowany ołowiem. Nigdy nie wyciągajcie broni, jeśli nie zamierzacie jej użyć. Ja jestem gotów to zrobić. Wy nie.
- Wyższy chłopak stanął na nogi i z ponurą miną schował pistolet. Po chwili wahania drugi zrobił to samo. Poszli obejrzeć swój samochód. Cofnąłem fleetwooda, a potem podjechałem i stanąłem obok roadmastera.
- Zobaczą się z Lippym - powiedziałem. - Muszę mu udzielić rady co do jego personelu.
- Masz ładną żonę - powiedział groźnie mały zbir.
- - I każdy gnojek, który ją tknie palcem już jest do połowy skremowany. Do zobaczenia, zgniłku. Spotkamy się w parku sztywnych.
- Dałem fleetwoodowi czadu i znikłem. Skręciłem w naszą ulicę, która jak wszystkie w tej dzielnicy kończyła się ślepo między wzgórzami obrzeżającymi góry. Zatrzymałem się przed domem i obejrzałem przód fleetwooda. Był trochę wgięty - niewiele, ale za bardzo, aby taka dama jak Linda mogła podobnym samochodem jeździć. Wszedłem do domu i zastałem ją w sypialni, oglądającą suknie.
- Próżnowałaś! - rzekłem. - Jeszcze nie poprzestawiałaś mebli.
- Kochanie! - Rzuciła mi się na szyję. - Co robiłeś?
- Uderzyłem twoim samochodem w tył innego samochodu. Lepiej zadzwoń po kilka następnych fleetwoodów.
- Co się stało? Jesteś przecież uważnym kierowcą.
- Zrobiłem to celowo. Niejaki Lipshultz, który prowadzi Klub Szał, zaczepił mnie, kiedy wychodziłem od pośrednika. Chciał ze mną pogadać o interesach, ale nie miałem wtedy czasu. Więc gdy wracałem do domu, nasłał na mnie dwóch kretynów z pistoletami, żeby mi wytłumaczyli, że on nie chce czekać. No to wjechałem im w kufer.
- - Bardzo dobrze, kochanie. Miałaś słuszność. Jaki to pośrednik?
- - Od nieruchomości, z goździkiem w klapie. Nie zapytałaś, czy bardzo zniszczyłem twój samochód.
- - Przestań go nazywać moim. To jest nasz samochód. I nie sądzę, że jest bardzo uszkodzony. W każdym razie i tak potrzebna nam jest jakaś limuzyna na wieczory. Jadłeś obiad?
- - Strasznie spokojnie przyjąłaś fakt, że mogli mnie zastrzelić.
- No, bo naprawdę myślałam o czym innym. Obawiam się, że wkrótce wpadnie tutaj ojciec i zacznie wykupywać całe miasto. Wiesz, jak mu zależy na rozgłosie.

- Ma rację! Mnie już kilka osób zagadnęło z nazwiska... ze śliczną blond policjantką włącznie.
- Prawdopodobnie zna dzudo - rzekła od niechcienia.
- Słuchaj, ja nie zdobywam kobiet siłą.
- - Może. Ale przypominam sobie jak zostałam wciągnięta do czyjejs sypialni.
- - Wciągnięta! Nie mogłaś się doczekać, kiedy się tam znajdziesz.
- - Poproś Tina, żeby ci dał jakiś obiad. Jeżeli ta rozmowa potrwa choćby chwilę dłużej, zapomnę, że układam suknie.

5

- W końcu znalazłem biuro, o tyle przypominające norę, o ile w Poodle Springs jest to możliwe, na południe od Damon Drive, na piętrze nad stacją benzynową. Mieściło się w popularnym tutaj piętrowym domu stylizowanym na dom z suszonej w słońcu cegły, z fałszywymi końcami belek stropu wzdłuż linii dachu. Na prawej ścianie były zewnętrzne schody wiodące do pokoju ze-zlewem w kącie i tandetnym biurkiem pozostawionym przez poprzedniego najemcę, faceta, który być może handlował ubezpieczeniami, a być może czym innym. Czymkolwiek handlował, zarabiał za mało, żeby płacić czynsz, więc gość, który prowadził stację benzynową i był właścicielem tego domu, wykopał go przed miesiącem. Prócz biurka w pokoju znajdowało się skrzypiące krzesło obrotowe, szara metalowa szafka z segregatorami oraz kalendarz z obrazkiem, na którym pies ściągał zębami majteczki kostiumu kąpielowego małej dziewczynce. - Kochanie, to jest okropne - powiedziała Linda, kiedy zobaczyła moje biuro.
- - Powinnaś zobaczyć niektórych klientów-odparłem.
- Mogłabym kazać komuś...
- Na nic więcej mnie nie stać. Linda kiwnęła głową.
- - Na pewno ci wystarczy - powiedziała. - Jedźmy gdzieś na obiad.
- Zadzwoił telefon. Linda podniosła słuchawkę.
- - Biuro Philipa Marlowe'a - rzekła. Potem posłuchała, zmarszczyła nos i podała mi słuchawkę. - To pewnie klient, kochanie. Mówi okropnie.

- Taa - powiedziałem do słuchawki i głos, który już słyszałem rzekł:
- Marlowe, tu Manny Lipshultz.
- Jak mi miło - odparłem.
- Zgoda, to wysłanie dwóch twardzieli było błędem. Robiłem już większe.

- Puściłem to mimo uszu.

- Jeżeli otworzył pan już biuro, chciałbym porozmawiać.
- Proszę bardzo - powiedziałem.
- Może pan tu przyjechać?
- Do Klubu Szał?
- Taa. Wie pan, gdzie to jest?
- Poza jurysdykcją Poodle Springs - powiedziałem. - Kiedy?
- Teraz.

- - Będę za pół godziny - rzekłem i odłożyłem słuchawkę.
- Linda stała i patrzyła na mnie z założonymi na piersi rękami. Odchyliłem się na krześle ze skrzypnięciem,

- splotłem dłonie z tyłu głowy i uśmiechnąłem się do niej. Miała śmieszny biały kapelusik ze skrawkiem woalki, białą sukieneczkę bez rękawów i białe pantofle bez pięt, z których jeden postukiwał noskiem o podłogę.

- Za pół godziny ma mnie nie być? - powiedziała.
- To mój pierwszy klient - odparłem. - Muszę zarabiać na życie.
- A co z naszym obiadem?
- Zadzwoń do Tina, może on z tobą pójdzie.

- Nie mogę pójść na obiad ze służącym. Wstałem.
- Podrzucę cię do domu.

- Kiwnęła głową, odwróciła się i wyszła z biura, a ja za nią. Kiedy przywiozłem ją do domu, nie pocałowała mnie na pożegnanie, mimo że wysiadłem, obszedłem samochód i otworzyłem jej drzwi. Uroczy Marlowe. Uosobienie grzeczności. Klub Szał znajdował się na

północny wschód od Poodle Springs, tuż za granicą powiatu Riverside. Pewien słynny aktor postanowił wybudować sobie zamek na pustyni a potem, wskutek przeciwności losu wywołanej incydem z piętnastoletnią dziewczynką, ów zamek utracił. Wyglądał on jak burdel dla meksykańskich bogaczy, cały biało tynkowany, z czerwoną dachówką, z fontannami na dziedzińcu i pnącą się po murach bougainvilleą. W samym środku dnia miał nieco wyświechtany wygląd, jak podstarzała gwiazda ekranu. Na kolistym żwirowym podjeździe nie było żadnych samochodów. Gdzieś za budynkiem poza zasięgiem wzroku szumiało urządzenie klimatyzacyjne, jak świergot szarańczy.

- Zaparkowałem oldsa pod opuszczaną kratą w końcu dziedzińca i wszedłem w chłodniejszy mrok wejścia. Było tam dwoje wielkich rzeźbionych mahoniowych drzwi, jedno lekko uchylone. Wepchnąłem się przez nie do niespodziewanie chłodnego wnętrza. Było to miłe wrażenie po strasznym pustynnym upale, ale zarazem sztuczne, niby kojący dotyk balsamisty. Dwa zbiry, które onegdaj na mnie napadły, pojawiły się skądś z prawej strony. Ten wyższy zapytał:
 - Uzbrojony?
 - Taa - odparłem. - Nigdy nie wiadomo, kiedy tutaj to się może przydać.
- Mniejszy opryszek był tylko na wpół widoczny stojąc w mrocznym wejściu z prawej strony. Widziałem jak światło z pokoju błyska na lufie pistoletu w jego dłoni.
- - Nie można iść do Lippy'ego z bronią - rzekł wysoki. Wzruszyłem ramionami i rozpiąłem marynarkę, a wtedy wyjął mi zręcznie rewolwer spod pachy. Obejrzał go.
- - Pięciocentymetrowa lufa - rzekł. - Na nic z większej odległości.
- - Ja pracuję tylko z bliska - odparłem.
- Wysoki poprowadził mnie przez otwartą przestrzeń centralną. Stały tam stoły do gry w oko, koła ruletek i stoły do gry w kości. Wzdłuż odległej ściany z lewej strony ciągnął się bar z polerowanego mahoni z zmyślnie poustawianymi butelkami przy lustrzanej ścianie. Jedyne światło napływało przez wąskie wysokie okienka pod sufitem, które zapewne miały wyglądać na strzelnice. Dostrzegłem kilka kryształowych, nie zapalonych kandelabrow u sufitu. Mniejszy zbir szedł o pięć kroków za mną. Nie sądzę, aby miał jeszcze pistolet w rękę, ale nie chciałem, aby mnie przyłapał, jak patrzę. Przy dalszym końcu baru trzy schodki prowadziły na niski podest, gdzie były drzwi wiodące do dużego biura Manny Lipshultza. Siedział za biurkiem wielkości stołu pingpongowego.
 - - Marlowe - powiedział. - Niech pan siada. Napije się pan?
 - Wstał, podszedł do kredensu z drzewa różanego, wyjął karafkę i nalał z niej do połowy dwóch sporych szklanek z grubego szkła. Podał mi jedną i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.
 - - W porządku, Leonard - rzekł do wysokiego zbira. - Spływajcie.
 - Leonard i jego niski koleś znikli bezszelestnie w mroku. Popijałem whisky, szkocką, lepszą niż ta, do której przywykłem, mimo, że moja żona naprawdę posiadała dziesięć milionów dolarów.

- Cieszę się, że mógł pan przyjść, Marlowe - rzekł Lipshultz.
- Ja też - odparłem. - Muszę z czegoś żyć.
- Będąc mężem córki Harlana Pottera?
- To tylko znaczy, że ona sama nie musi zarabiać na życie - odparłem.

- Lipshultz kiwnął głową.

- Mam problem, Marlowe. Czekałem.
- To, co tu robimy, nie jest całkiem legalne.
- Wiem - powiedziałem.
-

- Zastanawiał się pan kiedy, czemu nas nie dosięga ramię prawa?
- Nie - odparłem - ale gdybym się zastanowił, doszedłbym do wniosku, że ma pan plecy a plecy mają pieniądze, które nie pozwalają temu ramieniu was dosięgnąć.

- Lipshultz uśmiechnął się.

- Bystra uwaga, Marlowe. Wiedziałem, że jest pan bystry, jeszcze nim kazałem pana sprawdzić.
- Mając takie powiązania, czego pan może potrzebować ode mnie?

- Lipshultz potrząsnął głową ze smutkiem. Miał mięsisty nos pasujący do czerwonej twarzy, czarne włosy z przedziałką pośrodku i przylizane po obu stronach krągłej głowy.

- Nie mogę się nimi posłużyć w tej sprawie - rzekł. - Gorzej, bo jeśli pan mi nie pomoże, moje powiązania mogą nasłać na mnie kilku ludzi, rozumie pan?
- Jeśli to zrobią, powinien pan się postarać o lepszą pomoc niż tych dwóch jahu, którzy za panem chodzą.
- To prawda - rzekł Lippy. - Trudno o ludzi, którzy chcieliby tu przyjechać. To nie Los Angeles. Nie wszyscy lubią pustynię. Dlatego tak się ucieszyłem, że pan jest tutaj. Słyszałem o panu, kiedy pan działał z terenu Hollywood.

- To się panu poszczęściło - powiedziałem. - Jaka miałaby być moja rola?
- Wręczył mi kwit dłużny na 100.000 dolarów z podpisem u dołu Les Valentine, schludnym, bardzo drobnym pismem. Potem rozparł się w fotelu i patrzył, jakie to robi wrażenie.
- Wziąłem od faceta - rzekł - kwit dłużny na sto patoli. Chyba się starzeję.
- Czemu pan to zrobił? - zapytałem.
- Bo jego rodzina jest dziana. Zawsze przedtem spłacał.
- A gdy pan Gruba Ryba, który panu szefuje, sprawdził któregoś dnia księgi, stwierdził brak 100.000.
- - Jego księgowy - poprawił Lipshults. - I pan Blackstone złożył mi wizytę.
- Klimatyzowany pokój był chłodny, lecz Lipshultz się pocił. Wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę i otarł nią kark.
- Przyjechał tu osobiście, usiadł, gdzie pan teraz siedzi, i powiedział, że mam trzydzieści dni na pokrycie straty - ciągnął Lipshultz.
- Albo?
- Z panem Blackstone nie ma „żadnego albo”, Marlowe.
- Więc chce pan, abym odnalazł człowieka, który pana ograbił.
- Lipshultz kiwnął głową.
- - Odnajduję ludzi, Lipshultz, ale nie wyrywam im z gardła forsy.
- O nic więcej nie proszę, Marlowe. Straciłem sto patoli. Jeśli ich nie odzyskam, będę martwy. Niech go pan znajdzie. Niech pan z nim pogada.
- A jeśli on nie ma? Facetów zdolnych stracić sto patoli przy stolikach, forsa się nie trzyma.
- On ją ma. Jego żona ma ze dwadzieścia, trzydzieści milionów.
- Niech się pan zwróci do niej.
-
- -Już to zrobiłem, ale ona mi nie wierzy. Mówi, że jej Lester nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Więc mówię, żeby spytała Lestera, a ona na to, że jego nie ma, że robi zdjęcia do jakiegoś filmu kręconego gdzieś na północ od Los Angeles.

- Czemu nie wydarł jej pan z gardła tych pieniędzy? Lipshultz potrząsnął głową.
 - To dama - rzekł.
 - A pan jest dżentelmenem - powiedziałem. Lipshultz wzruszył ramionami.
 - A nie? - obruszył się.
-
- Nie wierzyłem mu ani przez chwilę, ale, co by mi z tego przyszło gdybym się z nim spierał.
-
- Dam panu dziesięć procent, jeśli pan wydobędzie te pieniądze - zaproponowałem.
 - Biorę sto dolarów dziennie plus kosztą - powiedziałem.
-
- Lipshultz kiwnął głową.
-
- Podobno był pan skautem.
 - Niektórzy odsiadujący w San Quentin od dwudziestu lat do dożywocia tak samo myśleli.
-
- Lipshultz uśmiechnął się.
-
- Podobno też uważa się pan za twardziela.
 - Gdzie znajdę tego faceta? - zapytałem.
 - Valentine'a, on się nazywa Les Valentine. Mieszka z żoną gdzieś w Poodle Springs, koło Klubu Racquet. Chce pan, żebym się dowiedział?
-
- Jestem fachowcem - powiedziałem. - Sam się dowiem. Mogę zatrzymać ten kwit dłużny?
 - Oczywiście - odparł Lipshultz. - Mam kopie.
 -
-
- Lipshultz dał mi sto dolarów zaliczki i musiał nacisnąć jakiś guzik, bo zaraz pojawił się Leonard ze swoim nieodłącznym towarzyszem. Leonard oddał mi mój rewolwer, a jego towarzysz trzymał się ode mnie z dala, żebym go nie ugryzł, i szli za mną odprowadzając mnie przez jaskinię gry i dalej w upalne jasne światło dnia za frontowymi drzwiami. Patrzyli obaj,

jak wsiadam do oldsa i odjeżdżam owiewany gorącymi podmuchami z pootwieranych okien.

6

- Dom Lesa Valentine'a mieścił się w bok od Racquet Club Road, przy jednej z tych krętych uliczek specjalnie utworzonych dla zapewnienia bliskości sąsiedztwa. Rosły tam w równych odstępach olbrzymie kaktusy, a dla koloru drzewa jacarandy. Bungalowy ze swymi rozległymi dachami stały tuż przy podjeździe, by zrobić z tyłu miejsce na basem i patio, co stanowiło na pustyni największy postęp cywilizacyjny. Nigdzie ani żywego ducha. Jedynym ruchem było ciche siąpienie wody ze spryskiwaczy. Wszyscy zapewne siedzieli w domach i przymierzali stroje na sobotnie przyjęcie w Klubie Racquet. Zaparkowałem oldsa przed domem i przeszedłem ścieżką z białego szutru do ganku. Po obu stronach drzwi z hiszpańskiego dębu były płytki ze szkła krążkowego, które pasują do architektury hiszpańskiej jak szkocka do rumu. Służący Japończyk otworzył drzwi, wziął ode mnie kapelusz i zaprowadził mnie do salonu prosząc bym posiedział, póki nie przyjdzie madame.
- Pokój był cały biało tynkowany. W jednym rogu wznosił się biały tynkowany stożkowy kominek, na wypadek gdyby temperatura spadła po zachodzie słońca poniżej 32 stopni. Palenisko było z czerwonych meksykańskich płytek. Na frontowej ścianie wisiał wielki olejny portret jakiegoś nikczemnego typu w trzyczęściowym garniturze, z wielkimi siwymi brwiami oraz ustami człowieka, który nie daje ludziom nawet marnego grosza napiwku. Na przeciwległej ścianie, w lewo od kominka, wisiało szereg fotografii z wymyślnym oświetleniem od dołu i dziwnymi pozami kobiet spoglądających przez ramię. Wszystkie czarnobiałe, kosztownie oprawione, jakby były niezwykle ważne. Na sztalugach koło drzwi na patio stało ogromne powiększenie mężczyzny i kobiety. Ona po trzydziestce, poważna, u ustami podobnymi do ust nikczemnego starszego typu z portretu na frontowej ścianie. Mężczyzna przy niej, mimo że łysiejący, wydawał się młodszy. Miał szkła bez oprawek i uśmiech mówiący: Przepraszam, że żyję.
- - Pan Marlowe?
- Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę z powiększonego zdjęcia na sztalugach. Patrzyła ze skrzywieniem na moją nowiuteńką wizytówkę, którą kazałem sobie wydrukować. Nie miałem jeszcze wtedy nawet biura, więc było na niej po prostu *Philip Marlowe, Dochodzenia. Poodle Springs*. Linda zaprotestowała przeciwko kastetowi, uznając to za niesmaczne.
- Tak, proszę pani.
- Proszę usiąść - powiedziała. - Podziwia pan prace mego męża?
-

- Tak. Czy to właśnie on jest tutaj z panią? - Wskazałem sztalugi.
- Tak, to Les. Nastawił samowyzwalacz i stanął koło mnie. Jest bardzo sprytny.

- Jej ciało stanowiło przeciwieństwo twarzy. Twarz o ustach kutwy jakby mówiła: *Nie dam nic*. Ciało zaś o jędrnych piersiach i dumnych biodrach aż krzyczało: *Bierz, ile tylko zdołasz wziąć*. Byłem świeżo po ślubie z aniołem, ale czułem to wyzwanie.
- - Na tym obrazie jest mój ojciec - powiedziała. Uśmiechnąłem się.
- - Może pan zapalić, jeśli pan chce - rzekła. - Ja nie palę, ojciec tego nigdy nie pochwałał, ale Les pali, a ja lubię zapach dymu.

- Dziękuję - odparłem. - Może za chwilę. Założyłem nogę na nogę.
- Szukam pani męża, proszę pani.
- Doprawdy?

- Człowiek, który mnie zatrudnił, twierdzi, że pani mąż zaciągnął dług w wysokości 100.000 dolarów w jego, nazwijmy to kasynie i pozostawił mu kwit dłużny na tę sumę.
- Kwity dłużne za nielegalny hazard są nieściągalne - odpaliła.

- - Tak, proszę pani. Ale to postawiło mego klienta w trudnej sytuacji wobec człowieka, który go zatrudnia.
- - Proszę pana, niewątpliwie kogoś to interesuje, ale nie mnie. Ani nikogo, kto zna mego męża. Mój mąż nie gra w gry hazardowe. Nie daje też nikomu kwitów dłużnych. Płaci za to, co kupuje. Nie potrzebuje czynić inaczej. Dobrze zarabia, ja zaś korzystam z wielkiej hojności mego ojca.

- - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest teraz pani mąż? Może udałoby mi się to wyjaśnić, gdybym z nim porozmawiał.
- - Les jest na planie w San Benedict z zespołem filmowym. Robi tam zdjęcia reklamowe. Studia często go angażują do tego rodzaju prac. Jest znakomitym i bardzo poważanym fotografem młodych kobiet.
- To ostatnie zwłaszcza podobało się jej, niczym krowie befsztyk.
- - To widać - powiedziałem. - Dla którego studia obecnie pracuje?
- Pani Valentine wzruszyła ramionami, jakby pytanie było bez znaczenia.
- - Nie wiem.
- Gdy nie mówiła, trzymała usta lekko rozchylone i jej język poruszał się niespokojnie.

- Iz całą pewnością nie pozwolę, by znany przestępca rzucał na niego jakieś wyssane z palca oskarżenia.
 - Ja wcale nie mówiłem, kto mnie zaangażował - powiedziałem.
 - Ale ja wiem, kto to ten Lipshultz. Zwrócił się do mnie bezpośrednio i powiedziałam mu, co myślę o tych bredniach.
-
- Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni kwit dłużny Lippy'ego i pokazałem jej. Potrząsnęła gniewnie głową.
 - - Pokazywał mi to. Nie wierzę. To nie jest podpis Lesa. Wstałem i podeszedłem do pretensjonalnie oprawionych
 - fotografii. W dolnym prawym rogu każda z nich była podpisana *Les Valentine*, tym samym dziecinny, ścisłym,
-
- drobnym pismem co na kwicie. Przytrzymałem kwit przy podpisie na jednym ze zdjęć. Stałem w tej porze przez chwilę z uniesionymi brwiami. Patrzyła na oba podpisy, jakby nigdy żadnego nie widziała. Język gwałtownie poruszał się w ustach. Oddychała nieco ciężiej niż poprzednio. Nagle podeszła do wyblakłego dębowego kredensiku pod portretem ojca.
-
- Muszę się napić, proszę pana. Napije się pan ze mną?
 - Nie, dziękuję - powiedziałem - ale chyba zapalę papierosa.
-
- Wytrząsałem nieco koniuszek jednego z paczki i wyjąłem wargami. Przypaliłem, wciągnąłem pełne płuca dymu i wolno wypuściłem nosem. Pani Valentine nalała sobie jakiegoś zielonego likieru i przełknęła kilka szybkich łyków, nim odwróciła się znów do mnie.
 - - Mój mąż uwielbia hazard, proszę pana. Wiem o tym i próbowałam to zataić.
 - Przez chwilę zajmowałem się papierosem, a ona prawie dopiła swój zielony napój do końca.
 - - Poblązałam mu w tej jego... ojciec nazwałby to chyba słabością. Jak mówię, cieszę się czułością i hojnością mego ojca. Les jest artystą, i tak jak wielu artystów miewa kaprysy. Jest pełen dziwnych potrzeb. Można by powiedzieć wrażliwości, której inni ludzie, może tacy jak pan, ludzie praktyczni, nie muszą koniecznie posiadać. W przeszłości płaciłam jego długi i byłam szczęśliwa, że mogę się na swój sposób przyczynić do jego artystycznego spełnienia.
 - Podeszła znów do kredensiku i nalała sobie nowego drinka. Zrobiła to z dużą wprawą. Wypiła trochę.
-
- -Lecz to, te 100.000 dolarów dla takiego człowieka jak Lipshultz. - Potrząsnęła głową, jakby nie mogła mówić dalej lub nie widziała potrzeby. - Rozmawialiśmy i oświadczyłam, że

już najwyższa pora, aby się stał od powiedzialny, zrobił bardziej praktyczny. Miałam nadzieję, że uda mi się skończyć u niego tę dziecinadę. Powiedziałam, że będzie musiał sam uregulować ten dług.

- Dokończyłem papierosa i zgniotłem niedopałek w popielniczce z muszli ahalone stojącej na stoliku w środku pustyni. Spojrzałem na fotografie młodych kobiet na ścianie. Zastanawiałem się ilu wrażliwościom Lesa trzeba było pobłażyć.
- - Czy on pracuje poza domem? - zapytałem. Żółciowy bimber, który piła, zaczynał działać.
- Przeszła z nogi na nogę niespokojnie stojąc przy kredensiku. Jej uda pod czarnymi jedwabnymi nogawkami spodni były pełne witalności. Na wysokich kościach policzkowych jej twarzy nauczycielki szkolnej wykwitły plamy czerwieni.

- Jak hydraulik? Ależ skąd. Ma pracownię w Los Angeles.
- Zna pani jej adres?

- - Nie znam. Les ma całkowitą swobodę. Nasze małżeństwo opiera się na pełnym zaufaniu. Nie muszę znać adresu jego pracowni.
- Przebiegłem wzrokiem po fotografiach wiszących na ścianie. Było na nich kilka sławnych kobiet, dwie gwiazdy filmowe, modelka z okładki *Life* 'u. Wszystkie były podpisane w prawym dolnym rogu pismem złotym, drobnym i wyraźnym.

- Pani Valentine patrzyła na mnie. Jej kieliszek był znów prawie pełny.
- - Sądzi pan, że obawiam się tych kobiet? Że nie potrafię zatrzymać go w domu?
- Postawiła kieliszek na kredensie i na wpół odwrócona, tak że widziałem ją z profilu, przesunęła dłońmi po piersiach i niżej, wzdłuż ciała, wygładzając materiał na udach.
- - Sam ogień - powiedziałem.
- Nie zmieniając pozy patrzyła na mnie a ciemnoróżowe plamy rozszerzały się na policzkach. Potem zachichotała z nieprzyjemnym kipiącym odgłosem.

- Te 100.000 dolarów to sprawa między panem, Lesem i tym okropnym Lipshultzem. Jeśli się chcecie bawić w swoje chłopięce gierki, to się bawcie. Ja będę czekała na... - leciutko czknęła - ... wynik. - Pociągnęła łyżeczkę z kieliszka.
- Co to za płyn? - spytałem. - Pachnie jak nawóz do kwiatów.
- Żegnam pana, Marlowe.

- Wstałem, włożyłem kapelusz i wyszedłem. Ona wciąż stała z wypiętą piersią. Na frontowym ganku rosła wielka palma w doniczce. Spojrzałem na nią przechodząc.
- - Może ci da trochę - powiedziałem.

Kiedy zatrzymałem oldsa obok fleetwooda Lindy, Tino stał przy drzwiach.

- Pani Marlowe jest przy basenie, proszę pana.
- Dziękuję, Tino. Jak ona wygląda?
- Prześlicznie, proszę pana.
- Masz rację, Tino.

- Tino uśmiechnął się szeroko. Wszedłem przez coś w rodzaju salonu na patio koło basenu. Linda siedziała na bladoniebieskiej leżance ubrana w jednoczęściowy kostium kąpielowy i bladoniebieski kapelusz z szerokim rondem, dopasowany kolorem do leżanki. Na niskim białym stolyczku przy leżance stał wąski kieliszek na długiej nóżce z czymś co miało w środku jakiś owoc. Linda podniosła wzrok znad książki.
- - Kochanie, ciężki miałeś dzień?
- Zdjąłem marynarkę i poluzowałem krawat. Usiadłem na bladoniebieskim krześle obok leżanki. Linda przesunęła paznokciem po kancie moich spodni.
- - Czy mój wielki detektyw jest znużony po całym dniu pracy?

- W drzwiach patio ukazał się Tino.

- Czy mogę panu coś przynieść, proszę pana? Uśmiechnąłem się z wdzięcznością.
- Dżin z sokiem z limony - poprosiłem. - Podwójny. Tino skinął głową i znikł.

- - Rozmawiałem z Lipshultzem - powiedziałem.
- - A także z panią Valentine. Linda uniosła brwi.

- Z Muffy Blackstone?
- Z czterdziestopięcioletnią kobietą - powiedziałem. - Wygląda jakby ktoś przykleił głowę nauczycielki szkolnej do ciała dziewczyny z kabaretu.
- To Muffy. Ale nie jestem pewna, czy mi się podoba, że zwróciłeś uwagę na jej ciało.

- Ja tylko robię, co do mnie należy - odparłem.
- Ona jest córką Clayтона Blackstone'a. To przyjaciel taty. Ogromnie bogaty. Wyszła za mąż po raz pierwszy mając lat czterdzieści, za jakiegoś nic. Całe Springs wrzało.
- Co wiesz o tym Lesie?
- Bardzo mało. Nie ma pieniędzy, niczym się nie wyróżnia. Mówi się, że się z nią ożenił dla pieniędzy. Clayton Blackstone jest może nawet bogatszy od taty.
- Nieprawdopodobne - powiedziałem.
- - Mąż Muffy wygląda na dość szarego człowieka - dodała Linda.
- - Taa - zauważyłem. - Pewnie ma biuro gdzieś nad garażem, przypominające norę.
- - Kochanie - powiedziała Linda - nie bądź zgryźliwy.
- Pojawił się Tino z dużym kanciastym kieliszkiem na przysadzistej nóżce. Zdjął go ostrożnie z tacy i postawił na serwetce przy moim łokciu. Spojrzał na kieliszek Lindy, zobaczył, że jest prawie pełny i odszedł cicho.
- Co ten Clayton Blackstone robi? - zapytałem.
- Jest bogaty - odparła. - Co ma robić?
- Jak twój tata - powiedziałem.
- Linda uśmiechnęła się pogodnie. Wypiłem łyczek drinka. Był rześki i chłodny, i spływał po gardle jak świeży deszcz po spieczonej ziemi pustynnej.
- Trudno zrobić takie pieniądze - powiedziałem - nie brudząc sobie trochę rąk.
- Tata mi nigdy o tym nie mówił.
- Na pewno.
- Czemu tak mówisz? Po co rozmawiałeś z Muffy Blackstone?
- Valentine.
- Muffy Valentine.

- Przełknąłem jeszcze łyczek drinka. Woda w basenie obok mnie była niebieska i nieruchoma.
- Jej mąż jest winien Lippy'emu sto patoli.
- Winien?
- Lippy wziął od niego kwit dłużny. Pani Valentine zawsze dotąd spłacała długi męża. Tym razem nie chce. Mówi, że czas, aby dorósł i sam go spłacił.
- Bardzo dobrze. Jestem pewna, że wystawiał ją na ciężkie próby.
- Ona też wydaje się niełatwa w pożyciu - powiedziałem.
-
- - Tak, przypuszczam, że tak - rzekła Linda. Na chwilę między jej brwiami ukazała się śliczna zmarszczka. Schyliłem się i pocałowałem ją. - Była tyle czasu niezamężna, oddana swemu ojcu i w ogóle... Poza tym za dużo pije.
- - Tak czy inaczej facet, dla którego Lippy pracuje, martwi się o te brakujące sto patoli i powiedział, że daje mu trzydzieści dni na ich odzyskanie. Lippy nie może znaleźć Lesa. Pani Valentine mówi, że on pojechał robić jakieś zdjęcia na planie, przy kręceniu filmu. Lippy mówi, że jeśli nie odzyska tych pieniędzy, szef naśle na niego facetów, którzy nie żartują. Dlatego Lippy wynajął mnie, żebym odnalazł Lesa i nakłonił do oddania stu tysięcy.
- Cóż, jeśli ktokolwiek w ogóle potrafi to zrobić, jestem pewna, że ci się uda. Spójrz, już ci się udało sprawić, że się niemal rozebrałam.
- O ile pamiętam, jeszcze nie miałem do tego okazji - powiedziałem. Spojrzałem na basen. - Czy ty kiedykolwiek...
- - W basenie? - spytała Linda. - Kochanie, ale z ciebie bestia. A Tino?
- - Nie obchodzi mnie, czy Tino robił to kiedykolwiek w basenie - odparłem.
- Sączyliśmy nasze napoje. Pustynny wieczór chłodził, a pustynne dźwięki cichły. Nasłuchiwałem ich chwilę patrząc na łuk stopy Lindy. Linda też słuchała.
- Śmieszna rzecz - rzekłem po jakimś czasie. - Ten wielki szef, facet, który naciska Lipshultza, także nazywa się Blackstone.
- Clayton Blackstone?
- Nie wiem. Może jakiś inny Blackstone.
-

- - Na pewno - powiedziała Linda.
- Zjawił się Tino z nowymi drinkami na tacy. Zabrał puste kieliszki i odszedł równie bezszelestnie jak przyszedł. Poza chwilami, w których nas obsługiwał, zupełnie jakby nie istniał. Wysoko w górze sokół preriowy zataczał wolne kręgi, unoszony prądami powietrznymi na rozpostartych, niemal nieruchomych skrzydłach.
- Po co to robisz, kochanie? Po co pracujesz dla tego Lipshultza?
- Bo taki jest mój zawód - odparłem.
- - Mimo, że nie potrzebujesz pieniędzy? Westchnąłem.
- To ty nie potrzebujesz pieniędzy. Ja potrzebuję. Nic nie odłożyłem.
- Ale żeby pracować dla takiego Lipshultza...
- W mojej branży nie ma się do czynienia wyłącznie z dobrze wychowanymi ludźmi z górnej warstwy społecznej, mieszkającymi w bezpiecznych dzielnicach - powiedziałem. - W mojej branży taki Lipshultz jest kimś dobrze ponad przeciętnym.
- Więc czemu nie zajmiesz się czymś innym? - spytała Linda.
- Bo lubię swoją pracę.
- - Jestem przekonana, że tata... Przerwałem jej.
- - Pewnie, że by mógł, a ja mógłbym paradować w szarym flanelowym garniturze i być zięńciaszkiem szefa, tylko że jestem nieco za stary na zięńciaszka szefa.
- Linda odwróciła głowę.
- -Niech pani słucha, pani Marlowe - powiedziałem.
- - Ja jestem zwykłym przeciętniakiem. Są rzeczy, które umiem. Umieję strzelać, umiem dotrzymywać słowa, umiem się wkradać w ciemne i ciasne zakątki. Zatem robię to. Szukam pracy, która odpowiada temu, co potrafię, i temu kim jestem. Manny Lipshultz ma kłopoty, może zapłacić i nie żąda ode mnie niczego, co jest nielegalne, lub choćby niemoralne. Jest w kłopotcie i potrzebuje pomocy, a poza tym ma pieniądze, których z kolei ja potrzebuję. Czy byłabyś szczęśliwa, gdybym wziął od pani Valentine pieniądze, aby pomóc jej mężowi wykręcić się od spłacenia długu?
- - Wolalabym, żebyśmy już przestali o tym mówić, weszli do domu, zjedli kolację, a potem poszli do siebie i...
- - Wzruszyła ramionami w sposób, który nie mówił: *nie wiem co*.

- Jest pani bardzo wymagająca, pani Marlowe.
- Tak - odparła. - Jestem.
- Weszliśmy do domu pozostawiając kieliszki tam, gdzie stały. Do licha. Tino je sprzątnie. Służba nie powinna się nudzić.
-

8

- W książce telefonicznej L. A. było 55 Valentine'ów. Jeden z nich miał na imię Lester, a jeden Leslie. Lester mieszkał w Encino i był dyrektorem działu Pacific Bell. Leslie miał dom przy Hope Street i kwiaciarnię. Zadzwoiłem do informacji. Nie mieli w spisie żadnych innych Lesów Valentine'ów. Nie miałem już w L. A. biura. Musiałem dzwonić z budki na rogu Cahuenga i Hollywood Boulevard naprzeciwko dawnego biura. Zadzwoiłem do miejscowej agencji modeli i Izby Handlowej w San Benedict. W obu odnoszono się do mnie grzecznie, co w L. A. jest dużą sprawą. Był styczeń i w L. A. panował chłód. Ponad doliną, najwyższe szczyty gór San Gabriel okrywał śnieg. W Hollywood ludzie udawali, że jest zima i paradowali po bulwarach w futrach, a producenci filmowi szli na obiad do Musso i Franka w wełnianych swetrach pod tweedowymi marynarkami. Byłem ogolony, pachnący wodą po goleniu i po raz pierwszy od miesiąca znowu w mieście. Bardzo zajęty, jednak, w gorączce poszukiwań.
- Wsiadłem do oldsa, przejechałem jedną przecznicę do Sunset i skręciłem na zachód. Agencja Modeli Tryton mieściła się w domu przy Westwood Boulevard, tuż przy Olympic. Środek dziedzińca był wysypany białymi kamyczkami i podzielony deskami z czerwonego drewna na kwadraty. W każdym kwadracie rosła palemka tworząc pojedynczy rząd przez środek dziedzińca. W kompleksie tym mieściło się z dziesięć placówek handlowych, antykwariat, sklep z biżuterią meksykańską, sklep z wyrobami skórzanymi, biuro adwokackie. Szedłem wzdłuż nisko zawieszonych markiz przed wejściami, póki nie doszedłem do Trytona. Pociągnąłem za mosiężny dzwonek i otworzyłem drzwi. Było to okazałe, wyłożone dywanem srebrne biuro. Ściany pomalowane srebrną farbą, biurko ze srebrnego plastyku, a za biurkiem siedziała blondynka o długich udach w nieskazitelnych nylonach. Ubrana w szkarłatną sukienkę z jakiejś luźnej dzianiny właśnie malowała sobie na szkarłatno usta. Robiła to bardzo starannie, podczas gdy ja stałem przed biurkiem.
- - Jippi aj on ki jej - powiedziałem.
- Spokojnie zrobiła ostatnie pociągnięcia szminką, zamknęła lusterko i spojrzała na mnie.
- Słucham cię, kowboju.

- Łatwo się podniecam - wyjaśniłem.
- To miło z twojej strony - odparła.
- I jestem żonaty - powiedziałem.
- To miło.
- Dziękuję. Nazywam się Marlowe. Dzwoniłem w sprawie jednej z waszych modelek, Sandry Lee.

- Ach, ten detektyw. - Przyjrzała mi się, jak ryba przygląda się robakowi. - Ramiona w sam raz jak u detektywa - powiedziała.
- Jak mogę się z nią skontaktować?
- Dzwoniłam do niej - rzekła blondynka. - Powiedziała, że czeka u siebie w domu.

- Wręczyła mi karteluszek z adresem.
- - To jest w bok od Beverly Glen - wyjaśniła. - Pod samym szczytem.
- Podziękowałem i zabrałem się do wyjścia.
- - Jeśli to małżeństwo niezbyt się układa... - powiedziała.
- Odwróciłem się, uniosłem rękę ze złączonymi koniuszkami palców, kciuka i wskazującego, i wyszedłem. Skręciłem z Wilshire na Beverly Glen. Na północ od Sunset zaczęła piąć się w górę. Z boków napierała na nią roślinność, a dokoła wznosiły się wzgórza oczekujące na pierwszy ulewny deszcz, który by zmył stojące na ich zboczach domy. Dom Sondry Lee stoczyłby się pierwszy. Jego tył spoczywał na dwóch pięciometrowych stalowych kolumnach, wspartych na betonowej ławie. Podjazd okrążał dom i kończył się zataczając koło przed frontem. Nie miał podwórka, tylko przestrzeń od frontu, pełną kwitnących krzewów wśród których tanecznie uwijały się kolibry. Podjechałem i zatrzymałem samochód pod drzwiami wejściowymi. Gdy zadzwoniłem, drzwi otworzyła Meksykanka. Panna Lee była w solarium. Poszedłem za Meksykanką przez ten pretensjonalnie urządzonego bungalow do szklanej przybudówki przylegającej do frontowej ściany domu. Drzwi

- w głębi wychodziły na basen. Były teraz zamknięte przed srogością hollywoodzkiej zimy i panna Lee leżała wewnątrz na skórzanej kozetce odziana bardzo skąpo w czarny dwuczęściowy kostium kąpielowy i opalała się w promieniach popołudniowego słońca ciekącego przez szklany dach. Przy ścianie mieścił się bar, wokół którego stało kilka leżaków. Kobieta z kozetki widniała na tyłu okładek rozmaitych czasopism, że czułem się, jakbym ją znał. Włosy miała czarne jak smoła, oczy także czarne, a cerę bladą, mimo opalenizny. Wyglądała tak, że można było zatonać bez reszty w jednym z jej westchnień.

- Panno Lee - powiedziałem - jestem Philip Marlowe.
- Ach, pan Marlowe. Oczekiwałam pana. Napije się pan?

powąchałem. Wódka. Nic dziwnego, że tak cedzi słowa. Zakorkowałem karafkę i podałem jej szklankę.

- - Więc skąd u takiego faceta jak Les Valentine pani fotografia z jego podpisem u dołu?
- - Bo pewnie chce, żeby ludzie myśleli, że mnie fotografował, ale nie fotografował.
- - Bo jest pani sławna - powiedziałem. Ostro sobie poczyniała z tą nową szklanką.
- Oczywiście. Dzięki temu ludzie myślą, że jest kimś ważnym. Ale nie jest. Gdyby był kimś ważnym, na pewno bym go znała.
- A on panią - powiedziałem.
- Uśmiechnęła się do mnie jak byśmy oboje znali tajemnicę wiecznego zdrowia.
- Na pewno ma pan wielkie mięśnie - rzekła.
- Nie większe niż Bronco Nagurski - odparłem.
- - Czy uważa pan, że jestem piękna? - zapytała. Kiwnąłem głową. Wypiła jeszcze łyceczek, odstawiła
- szklankę i uśmiechnęła się do mnie.
- Pan jest także piękny - powiedziała. - Ale pan jeszcze nie widział wszystkiego. - Nagle okręciła się sięgnęła rękami za plecy i rozpięła stanik, a potem wygięła się i z tym samym żywym wdziękiem wysliznęła z majteczek bikini. Potem znów położyła się na plecach i uśmiechnęła się do mnie prezentując blade opalone ciało nagie jak salamandra.
- Wspaniałe - przyznałem.
- Nie przestając się uśmiechać wyciągnęła do mnie ręce.
- - Czy ja mówiłem pani o pani Marlowe? Uśmiechnęła się jeszcze promiennie.
- - Pan jest żonaty. - Wzruszyła ramionami. - Ja jestem zamężna. - Przyzywała mnie ramionami.
- Wyjąłem papierosa, włożyłem w usta i pozostawiłem w nich nie zapalonego.

- Pani Lee... - zacząłem.
 - Pani Ricardo - przerwała mi. - Lee to moje panięskie nazwisko. Więc może pan mnie nazywać panną Lee, lub panią Ricardo. Ale nie może mnie pan nazywać panią Lee.
 - Świetnie. Jest pani bardzo pociągająca, a ja bardzo męski, więc widok, jak się pani tarza naga, wywiera zwykły skutek. Ale ja zwykle wolę mieć trochę czasu na poznanie kobiet, z którymi idę do łóżka, a jako człowiek żonaty, sypiam tylko z moją żoną.
-
- Wyjąłem z ust niezapalonego papierosa i jałem go zmiękczać w palcach. Patrzyliśmy na tę czynność oboje.
 - - Co czynię często - dodałem.
 - Na stoliku koło jej kozetki stała srebrna gabinetowa zapalniczka w futerale ze świńskiej skóry. Sięgnąłem i wziąłem ją. Włożyłem papierosa z powrotem do ust i zapaliłem. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem w drzwiach wysokiego mężczyznę z dużym nochalem.
 - - Co do licha? - powiedział. Miał wysokie ramiona, czarne przylizane włosy szesane w tył od czoła powiększonego o boczne łysiny i surowe ciemne oczy po obu stronach nosa jak siekiera.
 - - Tommy - powiedziała Sondra Lee, nawet nie patrząc. Wypiła łyżeczek wódki. - Pan Marlowe podziwiał, jaka jestem piękna.
-
- Właśnie widzę - odparł Tommy.
 - Panie Marlowe, to jest mój mąż, Tommy Ricardo. Skinąłem grzecznie głową.
-
- - No, dobra, koleś - rzekł Ricardo. - Ruszaj w swoją stronę i to szybko.
-
- Sondra Lee zachichotała i poruszyła się na kozetce.
-
- Sonny, na miłość boską, okryj się - powiedział Ricardo, a potem znów spojrzął na mnie. Wciąż siedziałem dumając nad papierosem.
 - Zabieraj się stąd, koleś. Już raz ci to powiedziałem i nie zamierzam powtarzać.
 - Pewnie, że nie - odparłem. - Zaraz poznałem, jaki z ciebie twardy facet. Ona często tak robi?
-
- - Bardzo często - rzekł. - To pijaczka. Wynoś się. Zrobił dwa kroki w moją stronę i wyjął prawą rękę

- z kieszeni sportowej marynarki w kratę. Miał w niej kastet.
- - Czy te pierścionki znaczą, że jesteśmy zaręczeni? - zapytałem.
- Zrobił jeszcze jeden krok, a ja zdążyłem zerwać się na nogi w samą porę, żeby uchylić głowę przed kastetem, który mignął obok. Wyprostowałem się pod wyciągniętym prawym ramieniem, wsunąłem mu lewą rękę pod lewe ramię, założyłem podwójnego nelsona i przytrzymałem.
- - Nazywam się Marlowe - powiedziałem. – Jestem prywatnym detektywem i przyszedłem zapytać pańską żonę o coś, co nie ma z tym żadnego związku.
- Ricardo ciężko dyszał. Ale się nie szarpał. Wiedział, że mi się nie wyrwie i czekał.
- - Z czym nie ma związku? - spytał na wpół zduszonym głosem.

- Nie ma związku z jej ubzdryngowaniem się i rozbieraniem.
- Ty sukinsynu - wyzipał.
- To nie był mój pomysł. Jest ładna, ale ja mam żonę jeszcze ładniejszą, i kiedy się pojawiłaś, właśnie to mówiłem.
-

- Sondra wciąż chichotała na swojej kozetce. Był to chichot pełen prawdziwego podniecenia. Spojrzałem na nią. Wciąż leżała golusieńka.
- - Pani Ricardo, czy wie pani cokolwiek o człowieku nazwiskiem Les Valentine? - spytałem.
- Potrząsnęła głową przecząco. Oczy miała rozwarte a źrenice rozszerzone. Może w karafce było coś więcej niż tylko wódka.
- - Dobra - powiedziałem. Przygiąłem Ricarda jeszcze bardziej w przód, przyłożyłem do tyłka kolano, zwolniłem uścisk i pchnąłem kolanem. Poleciał potykając się kilka kroków i zanim zdołał odzyskać równowagę, ja już byłem w połowie salonu. Nie miałem przy sobie broni. Nie przyszło mi do głowy, że mogę jej potrzebować na samym szczycie Beverly Glen. Ricardo nie ruszył za mną. Wyszedłem na zewnątrz, wsiałem do oldsa i pojechałem w dół wciąż mając w uszach jej chichot.
- Była piąta i od Los Angeles płynął obok mnie sznur samochodów powracających do doliny. W domach rozblyskiwały światła tworząc na tle ciemnych wzgórz efekt bożonarodzeniowego drzewka. Dom Sondry Lee prawdopodobnie wyglądał teraz równie ładnie jak inne, o wczesnym wieczorze, w gęstniejącym mroku. Oni tu nie byli tacy głupi. Wiedzieli, że przy odpowiednim oświetleniu wszystko może wyglądać ładnie.
-

- Trzygodzinna droga powrotna do Poodle Springs była czymś ponad moje siły, zjadłem więc befsztyk w knajpie przy La Cienega i zatrzymałem się na noc w karaluszarni przy

Hollywood Boulevard, gdzie łóżko wibruje przez minutę, gdy wrzucić do automatu ćwierćdolarówkę. W hotelu nie można było nic zamówić do pokoju, ale recepcjonista powiedział, że może mi sprzedać ćwiarteczkę żytniówki za dolca. Sącyłem żytniówkę rozmawiając przez telefon z Lindą. Potem zasnąłem i śniła mi się jaskinia z drzwiami z bali, na wpół otwartymi, i z ciemności dochodził wciąż powtarzający się chichot. Rano wykapałem się i ogoliłem, zjadłem jaja z grzankami przy ladzie u Schwaba i wypilem trzy filiżanki kawy. Nabiłem fajkę, zapaliłem, wsiadłem do oldsa i pojechałem przez Laurel Canyon. Skręciłem na 101 w Venturze i pojechałem przez góry Santa Monica na zachód, a potem wzdłuż wybrzeża na północ. San Benedict wygląda tak, jak turyści wyobrażają sobie Kalifornię. Jest pełne białe tynkowane domy z czerwonymi dachami. Pacyfik obmywa brzegi porośnięte długimi rzędami palm. Izba Handlowa mieściła się dwie przecznice w górę od wybrzeża oceanu w grupie domów w stylu hiszpańskim, które wyglądały niby czyjeś wyobrażenie haciendy. Łysy jegomość pracujący w biurze był w zarękwach, szelkach i palił cuchnące cygaro, wyraźnie nie warte piąta, którego na nie wydał.

- - Nazywam się Marlowe - powiedziałem. - Dzwoniłem wczoraj z pytaniem, czy jakaś spółka kręci tutaj film.
- Łysol wyjął z ust cygaro i odparł:
- - Tak. Sam zapisywałem ten telefon. O, tutaj. - Spojrzał z dumą na otwartą księgę. - NDN Pictures kręci coś, co ma tytuł *Mroczna Przygoda* - Mówiłem panu.

- Tak - przyznałem. - Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie są dzisiaj?
- Oczywiście. Muszą nam to codziennie mówić, żebyśmy mogli informować ludzi, jak ich omijać, albo jak do nich trafić, zależnie od tego, co kto chce.
- Sprytne - powiedziałem.
- A co pana interesuje? - spytał.
- Jak do nich trafić.
- Dziś kręcą... - Zajrzał do pliku papierów na biurku. Były spięte wielkim metalowym uchwytem sprężynowym. Poślinił kciuk. - Dziś kręcą... - Przerzucił kilka papierów, znowu poślinił kciuk, natrafił na powielony arkusz, chwilę mu się przyglądał. - Dziś kręcą na rogu Sequoia i Esmeralda. To jest blisko.

- Spojrzał na mnie z szerokim przyjaznym uśmiechem, przesunął cygaro w drugi kącik ust. Pokazał w uśmiechu żółte zęby.
- - W dół wzgórza, w lewo wzdłuż brzegu, jakieś sześć przecznic, nie może ich pan nie zauważyć. Wszędzie stoją te cholerne ciężarówki, trailery i różne takie.
- Podziękowałem, wyszedłem, pojechałem z powrotem w dół wzgórza, skręciłem w lewo i dalej wzdłuż brzegu. Miał rację. Nie można ich było przegapić. Zaparkowałem za ciężarówką pełną elektrycznych szpej i dalej poszedłem piechotą. Ilekroć odwiedzałem miejsce, gdzie kręcono film, zawsze mnie uderzało, jak łatwy był tam dostęp. Nikt mnie nie pytał, kim jestem. Nikt nie mówił, żebym się stąd zabierał. Nikt nie proponował próbných zdjęć. Zagadnałem faceta przy ciężarówce pełniące rolę kantyny. Był bez koszuli i opalony brzuch zwisał mu nad

krótkimi spodenkami.

- Kto tu jest szefem? - zapytałem.
- Dobre pytanie - odparł. - Pan jest ze studio?
- Nie, ja tylko szukam jednego faceta. Z kim mogę porozmawiać o ludziach z obsługi?

- Grubas wzruszył ramionami.

- Producentem jest Joe King - odrzekł.
- Gdzie go znajdę?
- Ostatnio widziałem go przy kamerach. - Grubas trzymał w obu rękach po papierowym kubku z kawą i wskazał mi brzuchem kierunek, gdzie były kamery.

- - Tam, gdzie są wszystkie jupitery - rzekł. Poszedłem, jak powiedział, błędząc wśród plątaniny kabli i omijając reflektory i generatory. Musieli tu przybyć z ranną rosą, bo teren był zabłocony a trawa wdeptana w błoto przez ludzi rozstawiających ekwipunek. Filmy wprowadzają bałagan jeszcze przed nakręceniem.
- Za kamerami stała grupka kilku mężczyzn i patrzyła jak reżyser poprawia coś w oświetleniu.
- - Który z panów jest Joe King? - spytałem. Odwrócił się do mnie wysoki młody facet. Rozluźniony, poruszał się swobodnie, miał też w sobie jakiś ogromny wrodzony spokój. Nosił okulary w rogowej oprawie i białą koszulę z zawiniętymi powyżej łokci rękawami. - Ja jestem Joe - odparł.
- Pokazałem mu fotostat mojej kalifornijskiej licencji w celuloidowej oprawce w portfelu.
- - Nazywam się Marlowe - powiedziałem. – Szukam fotografa nazwiskiem Les Valentine.
- King obejrzał uważnie moją licencję, a potem spojrzał na mnie, przyjaźnie jak radny miejski na pikniku.

- Nie powiem, że bym go znał.
- Dano mi do zrozumienia, że jest tu, wykonuje zdjęcia reklamowe.

- King potrząsnął głową przecząco.

- Nie, mamy swojego stałego fotografa studyjnego, który wykonuje dla nas tego rodzaju

prace. Nazywa się Gus Johnson. Nie znam żadnego Lesa Val... jakkolwiek brzmi jego nazwisko.

- Wiedziałyby pan o tym, gdyby u był?
- Oczywiście.
- Dziękuję panu - powiedziałem.
- Jeżeli pan chce, proszę popatrzeć jak kręcimy. Naszą gwiazdą jest Elayna St. Cyr.
-
- - Mam w samochodzie zdjęcie Thedy Bary. Popatrzę sobie na nią w drodze powrotnej. King wzruszył ramionami i odwrócił się do kamer, a ja skierowałem się do swego samochodu. Jadąc z powrotem wzdłuż wybrzeża oceanu myślałem o kilku rzeczach. Najważniejsze, że Les Valentine nie był tym, co opowiadała jego żona. Ani tym, co sam mówił żonie. Nie miał studia w L. A. Nie fotografował Sondry Lee. Nie robił zdjęć na planie filmu kręconego w San Benedict. Po dwóch dniach podążania jego śladem, wiedziałem mniej niż na początku.
-

10

- Obserwowałem dom Muffy Valentine przez cały tydzień. Siedziałem w samochodzie z włączoną klimatyzacją i pracującym na wolnych obrotach silnikiem gromadząc w cylindrach osady węglowe. Co ranka Muffy wychodziła w lawendowych spodniach i lekkim płaszczu od deszczu i szła na ćwiczenia gimnastyczne. Dwie minuty później japoński służący wychodził z dwoma szarpiącymi się na smyczy i szczekającymi pudelkami i nikł za zakrętem. Codziennie wracał z nimi mniej więcej pięć minut po powrocie swej chlebobawczyni. Po trzech dniach takiej obserwacji poszedłem za nim za zakręt, zobaczyłem, jak wchodzi z pudłami i wszystkim przez frontowe drzwi innego domu. Pozostawał tam przez jakieś 45 minut, a gdy wychodził, ujrzałem na mgnienie japońską pokojówkę zamykającą za nim drzwi. Jakies 20 minut później przyjeżdżała srebrnym mercedesem kobieta o platynowych włosach i w różowych spodniach, i wchodziła do domu. Nawet z tak dużej odległości widziałem lśnienie jej brylantów.
- Myślałem pilnie o tych sprawach i w następny poniedziałek, gdy Muffy i jej sąsiadka były na ćwiczeniach gimnastycznych a służący pełnił rolę piastuna utulającego w łóżku swoją japońską rodaczkę, wyruszyłem na zbadanie domu Muffy. Miałem z sobą kupioną w śródmieściu Spring tabliczkę z przytwierdzonym zaciskiem żółtym notatnikiem oraz ołówek za uchem. To normalnie wystarcza, żeby się dostać bez przeszkód nawet do sypialni samego prezydenta, ale żeby się jeszcze bardziej zabezpieczyć miałem przy pasku taśmę pomiarową. Z taśmą mierniczą i tabliczką z notatnikiem można wejść do sypialni nawet wtedy, gdy Prezydent i Pierwsza Dama są w cielesnym uścisku. Zaparkowałem przed domem Valentine'a, poszedłem ścieżką od frontu jak człowiek z pieniędzmi w kieszeni, następnie udając, że mierzę drzwi, sprawdziłem, z jakiego rodzaju zamkiem mam do czynienia. Był to bulger. Przypiąłem taśmę z powrotem do paska, wyjąłem pęk kluczy, które nagromadziłem w ciągu lat i przy drugiej próbie otworzyłem

drzwi. Schowałem klucze, sprawdziłem zamek i zawiasy, jeszcze raz zmierzyłem drzwi dla pucu i wszedłem do środka. Cisza. Jeśli był gdzieś podłączony alarm, to teraz milczał. Nie martwiłem się, co będzie, gdy się zjawią gliny, niech najpierw się zjawią, wtedy będę myślał. Byłem fachurą z L. A., czemu więc miałbym się bać policji z Poodle Springs? Sprawdziłem zegarek. Miałem około pięćdziesięciu minut. W salonie nie było nic, czego wcześniej nie widziałem, pokój stołowy był po prostu pokojem stołowym, w żadnym z nich nie dostrzegłem niczego, co mogłoby zawierać jakieś wskazówki. W kuchni także nie. Poszedłem długim korytarzem wzdłuż tylnego skrzydła domu i znalazłem ich sypialnię. Wiedziałem, że jest ich, bo w szafie wisiało kilka męskich garniturów, lecz reszta rzeczy należała do niej. Wielkie różowe łóżko z baldachimem i grubą różową kołdrą puchową, może ze dwadzieścia pięć biało-różowych poduszek. Długa toaletka wzdłuż ściany równoległej do łóżka. Toaletka z jasnego drewna, niemalowanego, ale pociągniętego czymś, co nadawało mu połysk. Stały na niej buteleczki z perfumami, pojemniczki na szminki i róż, tusz do brwi i rzęs, cienie do powiek, krem przeciw zmarszczkom, krem do rąk i może ze trzydzieści innych kosmetyków, na których się nie znałem, choć widziałem podobne w łazience u Lindy. Zasłony były różowe i opadały aż na podłogę, jakby dekorator zrobił o półtora metra za długie. Ściany białe, a po obu stronach tej ogromnej toaletki szafy. Drzwi szaf były różowe, pobielone dla stworzenia efektu starości. Po obu stronach łóżka stały nocne stoliki, a na nich bardzo duże lampy z kutego mosiądzu. Abażury różowe. Stoliki nocne nie miały szuflad. Jedyne szuflady znajdowały się w komodzie. Górna zawierała damskie fatałaszki z jedwabiu w pastelowych barwach. W rogu szuflady, pod fatałazkami, leżał wibrator elektryczny i tubka żelu. O mało się nie zaczerwieniłem, ale przecież byłem wytrawnym wielkomięskim detektywem. W drugiej szufladzie leżały bluzki. W trzeciej pończochy i rękawiczki. W czwartej swetry. W dolnej męskie koszule, skarpetki, bielizna. Nic nadzwyczajnego. Na komodzie stało pudełko w białe i różowe paski, mniej więcej przypominające pudełko od cygar i drugie, podobne, wielkości prawie skrzynki piwa. Małe zawierało parę złotych spinek z turkusami, klamerkę i szpilkę do krawata. Była tam również książeczka czekowa, szczypczyki do paznokci i buteleczka kropli do oczu. Schowałem do kieszeni książeczkę czekową. Większe pudełko zapełniała biżuteria. Dwie szafy były wypchane sukniami, plus sześć garniturów męskich, a raczej spodni i marynarek wiszących schludnie na wieszakach. Na drzwiach szafy umieszczono wieszak na krawaty z tuzinem jedwabnych krawatów w kolorach podstawowych. W głębi szafy z lewej strony, za sukniami, wisiało kilka leciutkich jak pianka, nieco komicznych przezroczystych nocnych koszulek z czarnej koronki i białej pajęczynki, które w pojęciu młodych panienek uchodzą za seksowne. W głębi korytarza mieściły się dwa pokoje gościnne i dwie łazienki. Oba pokoje i jedna łazienka wyglądały na sterylne nieużywane. Spojrzałem na zegarek. Mój czas dobiegał końca. Wyszedłem, zamknąłem za sobą frontowe drzwi, upewniłem się, że są zamknięte, niespiesznie ruszyłem ścieżką, wsiałem do oldsa i gdy jechałem uważając, aby nie przekraczać ograniczenia szybkości, minąłem się z Muffy wyjeżdżającą zza zakrętu, ledwie widoczną nad deską rozdzielczą ogromnego czarnego chryslera. Nie zauważyła mnie mając całą uwagę skupioną na pilotowaniu chryslera. Moje biuro nad stacją benzynową nie posiadało klimatyzacji. Gdy otworzyłem drzwi, poczułem się jak w piecu do pieczenia pizzy. Tylko zapach nie był tak przyjemny. Zostawiłem drzwi otwarte i włączyłem wahadłowy wentylator, przywieziony z L. A. kiedy zamykałem swoje biuro w gmachu Cahuenga. Gorący podmuch rozwiewał pot na mojej twarzy, a ja siedziałem przy biurku i przeglądałem książeczkę czekową. Niewielkie przestępstwo, karalne osadzeniem na rok do pięciu w więzieniu w Soledad. Książeczka była Lesa, nie wspólna, z

wydrukowanym na czekach nazwiskiem Lester A. Valentine i adresem. Miał na koncie 7.754 dolary i 66 centów. Przejrzałem rejestr wydatków. Konto zostało otwarte 8 listopada ubiegłego roku. Czeki wystawiano na sprzęt fotograficzny, na męskie ubrania, sporo zostało podjęte gotówką, poza tym na opłaty w Racquet Club, miesięczny rachunek u Melvina w Hotelu Poodle Springs i Ośrodka Wypoczynkowym, oraz na mandat za złe parkowanie w Biurze Opłat Parkingowych Miasta Los Angeles z podanym numerem mandatu. Była to jedyna rzecz w książeczce czekowej, która się nie wiązała z Poodle Springs. Uznałem ją za trop. Spisałem numer czeku i numer mandatu, włożyłem książeczkę czekową do szuflady, zamknąłem szufladę na klucz i wyjąłem butelkę szkockiej, którą trzymałem w biurku na wypadek ukąszenia przez jadowitą jaszczurkę zwaną potworem Gila. Nalałem sobie kielonek i sącząc whisky myślałem, czemu ktoś wyjeżdża nie zabierając książeczki czekowej opiewającej na ponad siedem i pół tysiąca dolarów. Dopilem drinka i nalałem sobie następnego. Nie widziałem nigdzie żadnego potwora Gila, ale czy to wiadomo.

11

-
- Wydaliśmy nasze pierwsze przyjęcie w sezonie zimowym, a właściwie Linda je wydała. Ja próbowałem trzymać się na uboczu. I nie udało się. O wpół do szóstej, kiedy przybyli pierwsi goście, witałem ich razem z Lindą, ubrany w białą marynarkę, którą ona uwielbiała a ja nie. Gdy ludzie wchodzili, Linda witała ich, jakby byli milej widziani niż chłodny deszcz w sierpniu. Wiedziałem na pewno, że pogardzała co najmniej co trzecim. Moja przeciętna była wyższa i rosła z upływem wieczoru. Przyszło chyba ze dwieście osób. Barem zajmował się Tino - piękny we fraku, który mu pasował jak tylko azjatyckim służącym może pasować. Ludzie dostawcy poruszali się jak tancerze wśród tłumów z szampanem na srebrnych tacach i z przekąskami. Stałem oparty o bar ze szkocką w ręku.
- A więc to pan jest tym nowym mężem - powiedziała jakaś kobieta.
- Wolę określenie „bieżąca miłość” - odparłem.
-
- - Pewnie, że tak - rzekła. - Nazywam się Mousy Fairchild. Znamy się z Lindą od niepamiętnych czasów jak na dwie bardzo młode kobiety.
- Pierwsze, co u niej zauważyłem, to że pachniała opłukanymi deszczem kwiatami, a drugie to, że jej blado-fioletowa jedwabna suknia przylegała do niej jak skórka do winogrona. Włosy miała jaśniejsze niż Pan Bóg przeznaczył, a skórę ciemno i równo opaloną, co sprawiało, że jej równiutkie zęby wydawały się jeszcze bielsze w uśmiechu. Wargi miała pomalowane na kolor sukni i dolna była pełna i jakby stworzona do skubania.

- Może woli pani coś innego niż ten musujący soczek z winogron? - spytałem.
 - Och, jaki pan miłutki. Tak, napiję się martini z wódką na kostkach lodu i ze skórką cytrynową - odparła. - Zmieszane w shakerze.
-
- Spojrzałem na Tina. Już przygotowywał jej martini. Tino był chłopcem, który nie tracił czasu na nie-podsłuchiwanie.
 - - Bądź miły - powiedziała Mousy - i zrób mi od razu podwójne.
 - Tino uśmiechnął się, jakby go jeszcze nigdy nie spotkała podobna przyjemność i dołał więcej wódki do shakera.
-
- Ma pan papierosa? - zapytała. Wyjąłem paczkę i wytrząsałem z niej jednego.
 - Boże - rzekła. - Camele? Zasłabnę, jeśli zapalę. Wzięła papierosa i nachyliła się ku mnie, gdy podawałem
-
- jej ogień. Kiedy przypaliła, pozostała nadal nachylona i wciągnęła dym nie odrywając ode mnie na wół przymkniętych oczu, a dym unosił się między naszymi twarzami.
-
- - Śliczne - powiedziałem. - Godzinami ćwiczyłem ten wyraz przed lustrem, ale daleko mi do tak wspaniałych wyników.
-
- Drań - odparła i wyprostowała się. - Jeśli zemdleję, zrobi mi pan sztuczne oddychanie usta w usta?
 - Nie - oświadczyłem i sam zapaliłem papierosa.
 - Cóż - powiedziała Mousy - jest pan inny. Znał pan pierwszego męża Lindy?
 - Tak.
 - Nudziarz. Traktował siebie niezwykle poważnie. Czy pan traktuje siebie poważnie?
 - We czwartki - odrzekłem - kiedy idę zrobić sobie pedicure.
-
- Mousy uśmiechnęła się i wypila spory łyk martini. Wyciągnęła lewą rękę i ścisnęła mi ramię.
 - - No, no - powiedziała - niezłe mamy bicepsy. Puściłem to mimo uszu. Wszystkie odpowiedzi, jakie
 - mógłbym wymyśleć, włącznie z tak lub nie, zabrzmiałyby nieco głupio.

- Czy detektywi wdają się w bójkę, panie Marlowe? - spytała.
- Czasami - odparłem. - Zwykle jednak przywołujemy przestępców do porządku celnymi zdaniami.

- Ma pan broń przy sobie? Potrząsnąłem głową.
- Nie przewidziałem, że pani tu będzie.

- Podszedł jakiś łykowaty facet z krótkimi siwymi włosami i wziął ją za łokieć. Jej uśmiech był pełen blasku, lecz zupełnie pozbawiony ciepła, kiedy zwróciła się do niego.

- -Panie Marlowe - powiedziała - to jest mój mąż, Morton Fairchild.
- Morton Fairchild kiwnął mi głową bez cienia zainteresowania.

- Miło mi - rzekł i pohołował żonę ku miejscu, gdzie tańczono, byle dalej od baru.
- On mnie chyba nie lubi - powiedziałem do Tina.
- Nie o to chodzi, proszę pana - rzekł Tino. - Myślę, że nie chce, aby jego żona zbliżała się zarówno do mężczyzny, jak do baru.
- Mało uchodzi twojej uwadze, co, Tino?

- - Tak, proszę pana, tylko to, co powinno ujść. Nadeszła Linda z jakimś gościem.
- - Kochanie-powiedziała - bardzo bym chciała, żebyś poznał Corda Havoca. Cord, to jest mój mąż, Philip Marlowe.

- Rany, Marlowe, miło mi ciebie poznać - rzekł Havoc. Wyciągnął wielką kwadratową dłoń. Uścisnąłem ją mocno. Wiedziałem dobrze, kim jest. Widziałem go w kilku gangsterskich filmach. Był bardzo przystojny, miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, regularne rysy, mocno zarysowaną szczękę, szeroko rozstawione bladonie-bieskie oczy. Ubranie leżało na nim jak frak na Tino.
- Jestem ogromnie rad, Marlowe, że ta dziewczyna znalazła wreszcie odpowiedniego męża. Złamała serce nie tylko mnie jednemu, kiedy to zrobiła, ale cholernie miło widzieć ją szczęśliwą.

- Uśmiechnąłem się do niego. Kiedy się uśmiechałem wyciągnął nie patrząc rękę ze szklanką w stronę Tina i Tino nalał mu whisky. Havoc jednym łykiem opróżnił ją w jednej trzeciej.

- -W przyszłym tygodniu będzie premiera nowego filmu Corda - powiedziała Linda.
- - Gangsterskiego - rzekł Havoc i gołnął połowę pozostałej whisky. - Pewnie wyda ci się bardzo ugrzeczniomy, Marlowe.
- - Na pewno - odrzekłem. - Ja normalnie o tej porzeduszę aligatory.
- Havoc odchylił głowę w tył i głośno się roześmiał. Potem dopił drinka do końca.

- Brawo, Phil. - Znowu wyciągnął rękę z pustą szklanką i Tino ją napełnił. - Możesz mi podziękować, chłopie. Póki ona cię nie poznała, cały czas jej pilnowałem. - Znowu się roześmiał odrzucając głowę w tył tak samo jak przedtem.
- Cord, wiesz dobrze, że nie pilnowałeś - zaproponowała Linda. - Usiłowałeś mnie wciągnąć do łóżka.

- Cord właśnie miał nos w szklance. Wyjął go, trącił mnie łokciem i rzekł:
- - Możesz mnie za to potępić, Phil?
- Mówiąc omiatał wzrokiem pokój. Nie należał do tych, którzy lubią marnować okazję. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, czy go potępiam, dostrzegł kogoś.

- Hej, Mauny - krzyknął i pomknął przez pokój stołowy ku łysemu człowiekowi o ostrych rysach i silnej opaleniznie, w rozpiętej pod szyją koszuli i kołnierzykiem wyłożonym nad kłapami kremowej marynarki z wielbłądziej wełny.
- Pewnie trudno było - zauważyłem - nie stoczyć się z nim na siano.
-

- -Kiedy on stacza się na siano - odparła Linda – to jest przeważnie nieprzytomny.
- Nachyliła się i pocałowała mnie leciutko w usta.
- - Publicznie? - spytałem.
- - Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, kto jest tutaj czyj
- - powiedziała.

- Najważniejsze, że my sami wiemy. Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po policzku.
- Wiemy, kochanie, wiemy.

- Kiwnąłem głową, a Linda poszła znów witać gości, jakby wciąż wstawali z martwych. Mousy Fairchild najwyraźniej urwała się mężowi na chwilę i przemknęła obok mnie z wysokim

ciemnowłosym facetem w bardzo porządnym garniturze. Zatrzymała się, zamówiła martini u Tina i powiedziała do ciemnowłosego mężczyzny w porządnym garniturze:

- - Poznaj szczęściarza. Panie Marlowe, to jest pan Steele.
- Steele wyciągnął rękę. Oczy miał nieprzeniknione a twarz gładką i znamionującą zdrowie. Wyglądał na człowieka, który umie się żwawo ruszać, a wtedy lepiej, żeby i inni się żwawo ruszali. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Nadszedł mąż Mousy i znów ją zagarnął.
- - Był taki facet nazwiskiem Steele - powiedziałem
- - Arnie Steele, który prowadził ciemne interesy w San Berdoo i w Riverside.

- Ach tak? - odparł Steele. - Podobno jest pan prywatnym detektywem.
- W wolnych chwilach między podawaniem kanapek

- - rzekłem - i sprzątaniami po przyjęciach brydżowych.

- Niezły numer - zauważył Steele - wżenić się w taką kupę forsy.
- Wspaniały - odparłem. - Słyszałem, że ten Steele wycofał się kilka lat temu z ciemnych interesów. Kupił sobie dom na pustyni.

- Wiedział, kiedy się wycofać, co?
- Ehem - mruknąłem.

- Podeszedł opalony łysy człowieczek o ostrych rysach i w rozpiętej koszuli.
- - Arnie, przepraszam cię - powiedział – ale chciałbym, żebyś kogoś poznał. Corda Hovoca, tego gwiazdora filmowego, koło którego jest tyle szumu w tym roku. Chcemy coś razem zrobić, co może cię zainteresować.
- Steele kiwnął głową bez wyrazu, gdy łysy odepchnął go ramieniem ode mnie. Odchodząc spojrzał na mnie nad głową łysego.
- - Bądź na luzie, plاتفusie - rzekł.
- Kiwnąłem głową. Podeszedł Tino i odświeżył mi drinka z uroczym oszczędnym uśmiechem. Gdy odwróciłem się od baru, stanąłem nos w nos, i nie tylko, z blondyneczką z szalowym dekoltem, pijaną w dwa capy. Oczy miała bardzo duże i bardzo niebieskie.

- Czy pan gra w filmach, panie Marlowe?
- Niestety - odparłem. - Starąłem się, ale woleli zatrudnić konia.
- Ktoś mi powiedział, że pan gra w filmach - rzekła. Miała kłopoty z głoskami syczącymi.

Pochyliła się ku mnie i drutami biustonosza wypychającymi biust do góry kolnęła mnie w żebra.

- Ja gram - powiedziała.
-

- Wiem - odparłem.

Jestem aktorką. - Miała coraz większe trudności z mówieniem. - Występuję w pirackich kawałkach. Gram ulicznice. Wiesz? Noszę głęboko wycięte suknie i dużo się schylam przed kamerą. Reżyser mówi: gibnij się teraz w przód, Cherry. Wszyscy to o mnie wiedzą.

- A teraz jeszcze i ja - powiedziałem. Nie napierała na mnie ciałem z namiętności, ale żeby się wesprzeć.
- Czy pani przyszła z kimś? - spytałem.
- Pewnie, pan Steele mnie przyprowadził. Nigdy bym nie bywała w takich eleganckich domach, gdyby pan Steele albo ktoś inny mnie nie przyprowadzał.

- - Och, założę się, że bywa pani wszędzie - rzekłem. Uśmiechnęła się, czknęła i zaczęła osuwać się na

podłogę. Wziąłem ją pod pachy, postawiłem prosto i w chwili, gdy siły ją opuściły i całkiem zwiotczała, włożyłem jej lewą rękę pod plecy a prawą pod kolana i uniosłem w górę. Zza baru wyszedł Tino.

- - Pomóc, proszę pana?
- - Powiedz panu Steele, że chciałbym go zobaczyć, Tino. Tino kiwnął głową i pomknął przez pokój poruszając się wśród tłumu bez widocznego wysiłku i nie zderzając się z nikim. Widziałem, jak rozmawia ze Steelem, który odwrócił się i spojrzał na mnie. Twarz mu się nie zmieniła, lecz skinął mi głową, spojrzał ku frontowym drzwiom i ruchem głowy wskazał komuś mnie. Ospały blondyn o przydługich włosach oderwał się od ściany, o którą się opierał i podszedł do mnie.
- - Ja ją wezmę - zaofiarował się.

- - Jest jak kłoda - powiedziałem. - Da sobie pan radę? Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Wziął ją ode mnie i odszedł spokojnie. Wyniósł ją w ciemność przez frontowe drzwi. Po jakichś dwóch minutach wrócił.

- Jest w samochodzie - wyjaśnił. - Leży na boku na tylnym siedzeniu. Jak ją położyć na plecach, to chrapie.

Dzięki - odparłem. Kiwnął głową i wrócił na swój posterunek przy frontowych drzwiach. Steele nawet nie spojrzał ani na mnie, ani na niego.

- Już wszystko w porządku z tą panią, proszę pana?
- Tak, Tino, odsypia w samochodzie.
- Ma więcej szczęścia od pana.

- Ale pomyśl o zabawie, jaką traci, Tino.
- Tak, proszę pana - odparł Tino.
-

12

- Wyruszyłem w drogę wcześniej, jeszcze przed upałem, zmierzając na zachód, do Los Angeles. Marlowe, dojeżdżający do pracy detektyw. Pracuje w L. A., mieszka w Poodle Springs. Spędza 20 godzin dziennie w drodze. Pustynia o tak wczesnej porze była istotnie pusta, jeśli nie liczyć zielsk, kaktusów i chwilami jastrzębi, które unosząc się na prądach powietrznych wypatrywały śniadania. Minąłem lokal sprzedający napój daktylowy. Trudno sobie coś takiego wyobrazić. Za jedyne towarzystwo w drodze do Los Angeles miałem ogromne dziesięciokołowce, które wyprzedzały mnie z podmuchem powietrza jadąc z góry, a potem blokowały pnąc się mozolnie pod górę. Niebo było pogodne i czyste, gdy dojechałem do L.A. Zjechałem z autostrady przy Spring Street i zaparkowałem samochód. W Ratuszu, koło Urzędu Miejskiego Doradcy Prawnego, pod wielkimi centralnie umieszczonymi schodami znajdował się mały pokój. Na mleczej szybie drzwi był napis czarnymi literami: BIURO OPŁAT PARKINGOWYCH. Wszedłem. Przez całą szerokość pokoju biegł
 - długi kontuar, za którym siedziały trzy urzędniczki w starszym wieku, a z prawej strony, za barierką, trzy małe klitki. Wszędzie stały kolejki. Ustawiłem się w kolejce do kontuaru. Kolejka posuwała się wolniutko. Starzy ludzie w znoszonych ubraniach zobowiązywali się zapłacić przekazem pocztowym, eleganccy mężczyźni w krzykliwych garniturach płacili gotówką i starali się sprawiać wrażenie, że jest to tylko drobne uprzykrzenie w dniu pełnym ważnych konferencji. Urzędniczka obsługująca kolejkę, w której stałem, była taka tęga, że jej głowa jakby wyrastała z pleców a policzki sięgały obojczyków. Włosy miała białe z wyraźnym niebieskim nalotem i sapała załatwiając bardzo wolno klientów. Gdy przyszła moja kolej, powiedziała:
 - - Proszę przedstawić mandat. Gotówka? Czek? Czy zobowiązuje się pan zapłacić pocztą?
 - Uśmiechnąłem się jak człowiek mający się zaraz oświadczyć.
 - - Chciałbym poprosić panią o pomoc - powiedziałem. Nie podniosła wzroku.
 - - Najpierw proszę pokazać mandat. Podsunąłem jej karteluszek, na którym napisałem numer mandatu Lesa Valentine'a.
 - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie nastąpiło to naruszenie zakazu parkowania? - spytałem.
 - Jeżeli chce pan złożyć zażalenie, albo zakwestionować słuszność wydania mandatu, proszę przejść przez barierkę i poczekać, aż urzędnik będzie mógł pana wysłuchać.
 - Nie chcę złożyć zażalenia - odparłem. - Staram się zlokalizować miejsce nałożenia tego mandatu. Szukam osoby zaginionej.

-
- Ludzie w kolejce za mną zaczęli szemrać. Kobieta spojrzała na mnie. Miała małe oczka i zakrzywiony jak kurzy dziób nosek.
- - Chce pan zapłacić mandat czy nie - powiedziała.
- - Ludzie czekają.

- No właśnie - odparłem - albo jedno, albo drugie?
- Chce pan ze mną dowcipkować, mądralo?
- Za nic w świecie - powiedziałem. - To by była strata czasu.

- Odwróciłem się, przepchałem przez tłum i wyszedłem. W załomie, koło głównych drzwi, był rząd automatów telefonicznych. Wrzuciłem monetę i wykręciłem numer biura opłat parkingowych. W słuchawce zabrzmiał głos starszej kobiety.
- - Tu Marlowe z Podkomisariatu Policji w Encino - powiedziałem. - Potrzebne mi miejsce wydania mandatu.
- - Jesteśmy zajęci - odparł głos starszej kobiety.
- - Proszę wypełnić formularz.
- - Słuchaj, panienko - warknąłem. - Myślisz, że rozmawiasz z jakimś pętakiem z Fresno? To jest sprawa policyjna, więc wstań z grubego tyłka i podaj mi ten adres.
- Usłyszałem jak wciąga gwałtownie powietrze, a potem głos zapytał:
- - Jaki jest numer mandatu? Wyrecytowałem numer i dodałem:
- - Tylko z życiem, panienko. Nie mogę czekać cały dzień.
- Przez kilka minut w słuchawce panowała cisza, a potem znów zabrzmiał głos, bardzo wyniosły.

- Naruszenie zakazu miało miejsce na Western Avenue pod numerem 1254 - powiedziała. - I muszę wyznać, że nie podoba mi się pański ton.
- Całuj psa w ucho, panienko - odparłem i odwiesiłem słuchawkę.

- Numer 1254 Western Avenue mieścił się po zachodniej stronie odcinka między bulwarami Hollywood i Sunset. Był to dwupiętrowy budynek z rodzaju budowanych tam tuż po wojnie, gdy jeszcze nie wiadomo, że Hollywood zmieni się w dziurę, i uchodził za awangardowy. Był kanciasty z mnóstwem szkła dopraszającego się umycia. Fasadę wyłożono wielkimi arkuszami polerowanego aluminium, tak iż dom wyglądał niczym wielkie pudło na chleb, dla którego los nie okazał się łaskawy. Na parterze, za szybą wystawową z tarłowego szkła, mieściło się biuro pośrednictwa kupna i sprzedaży nieruchomości oraz ubezpieczeniowe. Schylony nad

staroświecką księgą rachunkową siedział w nim starszy facet, który mógłby być rodzonym bratem pani z biura opłat za złe parkowanie. Za biurkiem siedziała zajęta manicure ruda kobieta, która za jakieś dziesięć lat będzie wyglądała jak rodzona siostra parkingowej urzędniczki. Sień znajdowała się z lewej strony biura pośrednictwa i schody pięły się wzdłuż lewej ściany. Nie było windy. Na ścianie obok drzwi do biura pośrednictwa wisiała tablica wyłożona czarnym filcem z nacięciami na białe litery. Szyba, która ją pokrywała, była popstrzona przez muchy i zakopcona latami smogu. Les Valentine nie figurował w spisie. Z dziesięciu podnajemców na wszystkich piętrach jeden był fotografem. Larry Victor, fotoportrety. Te same inicjały, pomyślałem. Kto wie?

- Wszedłem na drugie piętro. W budynku śmierdziało, jakby na klatkach schodowych mieszkały koty. Studio Larry'ego Victora mieściło się w głębi drugiego piętra. Przez szybę z mrożonego szkła prześwitywał blask. Miał białawy wygląd światła dziennego, jakby naprzeciwko było okno albo świetlik. Napis głosił: *Larry Victor, Fotograf. Zdjęcia Reklamowe, Przemysłowe. Specjalność: Portrety.* Zapukałem, żadnej odpowiedzi. Spróbowałem klamki, zamknięte na zamek. Nie przywiozłem mojej kolekcji kluczy, ale miałem w wewnętrznej kieszeni marynarki narzędzie odebrane kiedyś włamywaczowi. Wyglądało jak jedno z tych, którymi dentyści oskrobują zęby. Tylko z dłuższą igłą na końcu. Włożyłem tę igłę między drzwi a framugę i obróciłem tak, aby wcisnąć zasuwę zamka. Był to zamek zatraskowy i zasuwa ustąpiła. Znalazłem się w środku. Zamknąłem drzwi za sobą i rozejrzałem się. Pomieszczenie wyglądało jak biuro, w którym spędziłem pół życia. Stare biurko z zamknięciem żaluzjowym, rozchwiane krzesło obrotowe z wytartym siedzeniem, dębowa szafka na segregatory, a na ścianie wielki arkusz białego kartonu. Przed kartonem stały dwa aparaty fotograficzne na statywach. Przyjrzałem się tym aparatom. Jednym był Rolleiflex, drugim 35 mm Canon. Światło dzienne napływało z brudnego świetlika zabezpieczonego drucianą siatką. Na biurku znajdował się telefon i onyksowy komplet do pisania. Podeszedłem i usiadłem na krześle obrotowym. To wcale nie musiał być ten budynek, oczywiście. Valentine mógł zaparkować samochód tutaj i pójść na Hollywood Boule-vard w poszukiwaniu gwiazd filmowych. Albo na Sunset w poszukiwaniu rozrywek. Albo mógł złapać taksówkę i udać się do Bakersfield, gdzie miał mniej więcej takie same szanse na jedno i drugie. Mimo to Valentine dostał mandat karny przed tym właśnie domem, w którym mieściła się pracownia fotografa o takich samych inicjałach. Zbadałem zawartość biurka. Na samym wierzchu leżała fotografia ładnej czarnowłosej kobiety, może dwudziestopięcioletniej, o wielkich ciemnych oczach. Kąty były zapchane głównie rachunkami, w większości nie zapłaconymi, włącznie z jeszcze trzema mandatami. Środkowa szuflada zawierała plan miasta Los Angeles, lewa dolna książkę telefoniczną L.A., a prawa dolna butelkę taniej whisky, ledwie napoczętą. Wstałem i podeszedłem do szafki z segregatorami. Górna szuflada zawierała samochodową polisę ubezpieczeniową, jeszcze nie odpieczętowaną butelkę takiej samej szkockiej whisky, paczkę papierowych kubków i wielką kopertę z manili z metalową sprzączką u góry. Otworzyłem tę kopertę. Zawierała plik lśniących odbitek o wymiarach 8 na 10 cali, przedstawiających nagie kobiety, niektóre dosyć stare, wyczyniające rozmaite sztuczki. Pozostałe dwie szuflady były puste. Zaniósłem tę dużą kopertę na biurko i przyjrzałem się bliżej jej zawartości. A była w niej głównie pornografia, mnóstwo pornografii, dość niezłej jakości, może nawet sporządzonej

przed wielkim białym arkuszem kartonu po mojej prawej ręce. Od dawna widok ludzi kopulujących na zdjęciu przestał mnie podniecać. A gdyby nawet mnie jeszcze podniecał, było tam tego tak dużo, że nadmiar zdławiłby lubieżność samą masą swojej rozwiąłości.

- Nie dość, że te zdjęcia były dobrze naświetlone i ostre, to jeszcze przedstawiały dość ładne modelki. Aktorki, niewątpliwie, przybyłe do Hollywood, by wkrótce stać się gwiazdami, może gwiazdeczki oczekujące na swą wielką rolę. Mężczyźni, przeważnie bez twarzy, byli jedynie rekwizytami dla tych kobiet, równie mało rzucali się w oczy co lampa na dalszym planie, lub naga metalowa nóżka kanapki, na której toczyła się akcja. Przerzucałem te zdjęcia i w pewnej chwili znieruchomiałem. Ujrzałem nagą, jak przed kilku dniami i z wyglądu młodszą Sondrę Lee, pozującą samotnie, sugestywnie, z tym samym pustym uśmieszkiem. Zwinąłem to zdjęcie, spiąłem gumką i wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przejrzałem pozostałe zdjęcia, lecz już nie zobaczyłem na nich nikogo znajomego, więc wstałem i położyłem kopertę na miejsce. Wróciłem, usiadłem z powrotem na krześle, oparłem nogi o biurko i zamyśliłem się na chwilę. Miałem do czynienia z coraz większym zbiegiem okoliczności: fotograf, te same inicjały, zdjęcie Sondry Lee. Kiedy myślałem o tych rzeczach, usłyszałem jak klucz pociera o zamek i wsuwa się do dziurki. Nie miałem gdzie się skryć. Siedziałem więc dalej z nogami na biurku. Klucz się obrócił, drzwi się otworzyły i wszedł facet wyglądający jak finalista w konkursie na najpiękniejszego mężczyznę Południowej Kalifornii. Miał dość długie włosy blond, szesane do tyłu. Był opalony, szczupły, średniego wzrostu i średnio silnej budowy ciała. Miał na sobie kremową sportową marynarkę, białe spodnie i czarną koszulę z wykładanym kołnierzykiem.
- Kiedy mnie zobaczył, stanął jak wryty, odrzucił głowę w tył, uniósł brwi i wytrzeszczył oczy.
- Nie daj się zwieść - powiedziałem. - Nie jestem tobą.
- Widzę to, koleś - odparł - ale kim jesteś, u licha?
- Ty pierwszy - rzekłem.
- Ja pierwszy? To jest moje biuro.
- Aha - powiedziałem. - Musisz być Larry Victor.
- Tak, muszę - odparł. - Ale wciąż nie wiem, kim ty jesteś. Albo czemu siedzisz na moim krześle i jak się tu dostałeś.
- Jak w piosence, no nie?
- Victor wciąż stał przy otwartych drzwiach na wypadek gdyby musiał wziąć nogi za pas.

- Powiesz mi, czy nie? - spytał.
 - Jestem Marlowe - odparłem. - Szukam faceta nazwiskiem Les Valentine.
 - Jesteś gliną?
 - Nie. Poznałem Valentine'a przy kartach. Przerzynałem z nim z dwiema parami. On miał porządek. Wziął ode mnie kwit na pół patola i podał ten adres.
 - A drzwi? - pytał Victor. - Pewnie były otwarte?
-
- Tak - odparłem. - Właśnie tak. Victor pokiwał głową.
 - Mogę usiąść przy moim biurku, Marlowe? Wstałem, odstałem na bok, a on usiadł.
 - Chyba wypiję małego - powiedział. - A ty?
-
- - Pewnie - odrzekłem. Wydobył lichą szkocką z szuflady i nalał trochę do dwóch papierowych kubków. Wypiłem łyżeczek. Smakowała jak coś, co się bierze na świerzb.
-
- Victor wyłopał od razu wszystko i nalał sobie ponownie. Następnie rozsiadł się wygodnie w krześle i próbował udąć, że jest rozluźniony. Udając, że jest rozluźniony rzucił szybko okiem na szafkę z segregatorami. Potem spojrzał znowu na mnie.
-
- Śmieszna rzecz - powiedział. - Znam Lesa Valentine'a.
 - Nie do wiary.
 - Nic tak znów nie do wiary. Uprawiamy ten sam zawód. Obaj robimy dużo zdjęć do filmów, zdjęć reklamowych, takie tam rzeczy. Robimy też dużo zdjęć do magazynów mody.
-
- Rozejrzałem się po jego studio.
-
- Hej - powiedział - szkoda pieniędzy na wystrój, rozumiesz? Jak masz dobry towar, to nie potrzebujesz całego tego blasku i parady, tego hollywoodzkiego blichtru.
 - Właśnie widzę, że nie tracisz na to sił - powiedziałem. Popłukałem sobie jego szkocką usta. Jeśli miałem ją wypić, mogłem równie dobrze zapobiec dziurom w zębach. Victor nie miał z nią kłopotów. Nalewał sobie właśnie trzecią porcję. Może był mocniejszy niż wyglądał.
 - Więcej jak mówiłem, znam Lesa. Dobry fotograf.
 - Gdzie teraz jest? - spytałem.
 - Słyszałem, że wyjechał z kraju.

- Równie dobrze mógłbym uwierzyć, że piję Chivas Regal.
- - W związku z jakimiś pracami rządowymi. Zdaje się, że do Chin.
- Odchylił się w tył i smakował whisky, nonszalancki facet, który dla zabicia czasu popija sobie z włamywaczem. Był autentyczny jak uśmiech gwiazdki filmowej.

- Znasz modelkę nazwiskiem Sondra Lee? - spytałem.
- Sonny? Oczywiście, któryż fotograf jej nie zna. Jest najlepszą modelką na wybrzeżu.
- Fotografowałeś ją?
- Nieee, nigdy nie miałem tej przyjemności. To znaczy chciano, żebym ją fotografował, ale wiesz, jak jest. Ty masz zobowiązania, ona ma zobowiązania. Nigdy nam się nie udało tego jakoś zgrać.
- Nawet kiedy była młodsza? - zapytałem. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam. Chciałem tylko podtrzymać rozmowę. Coś mogło w niej wypłynąć.

- Potrząsnął głową przecząco.
- - Za czasów jej młodości, Marlowe, ja jeszcze nie byłem w branży. Sonny, jak wiesz, nie jest nastolatką.
- Kiwnąłem głową i wlałem sobie kropelkę tej szkockiej w usta, próbując jakby zająć ją z boku. Nadal była obrzydliwa.
- - A co powiesz o Mannym Lipshultzu?
- Jeśli to go zaskoczyło, nie dał po sobie poznać. Ściągnął lekko usta i spojrzał w róg sufitu. Potem potrząsnął głową.
- - Nie znam żadnego Lipshultza - odparł. - Ale to fajne nazwisko, nie?
- Zgodziłem się, że jest fajne. Wszyscyśmy byli fajni. A zwłaszcza on i ja, para fajnych facetów prawiących sobie kłamstwa w miłe popołudnie.

13

- Wyszedłem na Western Avenue, usiadłem w samochodzie i czekałem. Czekając zastanawiałem się, co ja właściwie takiego robię. Wiedziałem, że przygotowuję się do śledzenia faceta, który nie był człowiekiem przeze mnie poszukiwanym, ale miał zdjęcie Sondry Lee i biuro w budynku, przed którym człowiek przeze mnie poszukiwany dostał mandat karny. Nie miałem żadnego powodu, aby to robić, poza tym, że facet był bardzo dziwny. Kiedy się wchodzi do swojego biura i zastaje tam nieznanego człowieka, to nie popija się z nim. Dzwoni się po prostu na policję. Po jakichś dwudziestu minutach oczekiwania zobaczyłem jak Victor wychodzi z budynku i idzie po Western piechotą. Zaczekałem, aż dojdzie do rogu, a kiedy skręcił na Sunset w prawo, wsiałem w oldsa i ruszyłem ostro za nim zwalniając przed skręceniem w Sunset. Przeszedłem na południową stronę Sunset i ruszyłem na zachód. Victor szedł drugą stroną ulicy o jakieś czterdzieści metrów przede mną. Szedł jakby się skradając, ale

to prawdopodobnie było instynktowne. W połowie następnego kwartału wszedł do baru zwanego Reno. Pozwoliłem mu się tam rozgościć, a potem wśliznąłem się do środka i do najbliższej łoży. Kelnerka spojrzała na mnie kwaśno, jeden facet w łoży dla czworga.

- Jestem z drużyny futbolistów Południowej Kalifornii - powiedziałem. - Koledzy zaraz przyjdą.
- Każdy tu jest okropnie dowcipny - odparła. - Co podać?
- Zamówiłem dzin z sokiem z limony i lodem, i sączyłem wolno, by zabić smak zabójczej szkockiej Victora. Victor siedział na stołku przy barze ze zwieszonymi ramionami nad kieliszkiem czegoś, co sądząc po jego szkockiej musiało smakować jak płyn do czyszczenia fajek. Obok niego siedziała blondynka w bardzo krótkiej spódniczce. Siedziała bokiem, ze skrzyżowanymi nogami, nachylona do Victora. Miała zielone cienie na powiekach, bardzo jaskrawą, czerwoną szminkę a gdy się pochylała między jej zielono-czerwoną bluzką a spódnicą błyskał kawałek ciała. Poza nimi jedyną osobą przy barze był podstarzały rudzielec z wielkim biustem pod sweterkiem w cekiny i nieco wystrzępionymi rękawami. Piła manhattany i kiedy patrzyłem, barman przyniósł jej właśnie jednego i wskazał gestem Victora. Kobieta wzięła koktajl, kiwnęła głową w podziękę Victorowi i zanurzyła nos w kieliszku. Larry zsalutował jej dotykając dwoma palcami do czoła, po czym skierował uwagę na La Blondie. La Blondie jej się domagała. Nie mogłem usłyszeć słów, ale sądząc z żywości jej ruchów i prędkości poruszania się warg, najwyraźniej była wściekła. Victor potrząsał wciąż głową i mruczał coś do niej.
- Wnętrze baru było wykończone fałszywym fornerem z sękaty sosny, na ścianach wisiało tu i ówdzie kilka poroży i stare dagerotypy Frederica Remingtona w ramkach. Jaskrawość słońca Południowej Kalifornii na zewnątrz sprawiała, że bar wydawał się jeszcze mroczniejszy. Panował w nim chłód i zapewne byłoby spokojnie, gdyby rudzielec w końcu baru nie wrzucał wciąż monet w maszynę grającą. Chłodny bar w upalne popołudnie bywa czasem miłym miejscem. Blondynka wyjęła coś z torebki, co wyglądało jak fotografia i podsunęła Victorowi. Victor wyjął z wewnętrznej kieszeni swojej bezkształtnej sportowej marynarki okulary bez oprawki i włożył je, żeby obejrzeć zdjęcie. Gdy tylko zobaczył, przykrył je szybko ręką, po czym rozejrzał się niespokojnie dokoła. Następnie oddał blondynce zdjęcie, zdjął okulary i schował do kieszeni. Blondynka włożyła zdjęcie do torebki. Całe zdarzenie trwało niespełna dwadzieścia sekund, ale to mi wystarczyło, bo kiedy rozglądał się po barze w swych okularach bez oprawek, zrozumiałem, co mnie w nim niepokoiło. Wyjąwszy włosy, wyglądał kropka w kropkę jak Les Valentine na zdjęciu, które widziałem. A włosy, to coś, co można zmienić. Victor wstał nagle, cisnął banknot dziesięciodolarowy na kontuar i wyszedł z baru jak człowiek, który na dobre opuszcza swoją żonę. Blondynka wciąż siedziała patrząc za nim. Wstałem i wyszedłem uważając, żeby się nie znaleźć na linii wzroku blondynki. Mogłaby jeszcze wypalić mi nim w żebrach dziury. Był w połowie drogi do rogu Western, kiedy znalazłem się na chodniku. Zanim zdążył wsiąść do swego samochodu przy krawężniku w pobliżu pracowni, ja już siedziałem w

oldsie i miałem włączony silnik. Zawrócił w Sunset na zachód, póki nie dojechał do autostrady i dalej, na południe do Venice Boulevard. Był środek pogodnego popołudnia, ruch samochodowy niewielki. Staralem się jechać o jakieś dwa lub trzy samochody za Victorem i co jakiś czas zmieniałem pasma ruchu. Nie spodziewał się, że ktoś może go śledzić, miał co innego na głowie. Mogłem go ścigać choćby diabelskim kołem. Mknąłem za nim aż nad brzeg oceanu. A kiedy wjechał na wąziutkie miejsce do parkowania za bungalowem przy plaży, pojechałem dalej i zaparkowałem pomiędzy dwoma blaszanymi pojemnikami na śmieci pod tabliczką: *Parking Prywatny. Nie Zajmować Miejsca*. Wróciłem do bungalowu przy plaży, minąłem tyły zatęchłych drewnianych domków z desek na zakładkę, każdy z samochodem przyciśniętym do tylnej ściany, by nie wystawał na jezdnię. Kiedyś ktoś posadził drzewa oliwne wzdłuż tej drogi, i tu i ówdzie, gdzie słony wiatr ich nie zabił, rosły skarłowaciałe i nieszczęsne, zaśmiecając wokół ziemię niedojrzałymi czarnymi oliwkami, które wyglądały jak ludzkie odchody. Ostra woń ich liści mieszała się z zapachem morskim i zapachami kuchennymi, a przez to wszystko przebijał mocny, nieokreślony smród gnijących odpadków z przeładowanych pojemników, które dzieliły miejsce malutkich podwóreczek z samochodami. Za domem Victora, przy małej wybetonowanej ścieżce, która prowadziła wokół domu do frontowych drzwi, była skrzynka na listy. Napis na niej głosił *Larry i Angel Victor*. Poszedłem dalej, minąłem dwa domki i skręciłem na ścieżkę gdzie chwasty przebijały się spod betonu. Przed domami była druga ścieżka, dalej plaża, a jeszcze dalej potężne chwianie się oceanu zahaczające o plażę. Dwa domy dalej Larry Victor siedział na frontowym ganku na leżaku z nogami opartymi o barierkę. Obok niego siedziała młoda czarnowłosa kobieta o wielkich ciemnych oczach. Kobieta ze zdjęcia na jego biurku. Miała na sobie luźną hawajską sukienkę i białe pantofelki z paskami na wysokich obcasach. Trzymała nogi oparte tak jak Victor o barierkę i pozwoliła sukience ześliznąć się do połowy ud. Pili oboje meksykańskie piwo z butelki i trzymali się za ręce. Była to scena rodzinna, jakie wykorzystują spółki ubezpieczeniowe, aby człowieka przekonać, że dostateczna suma ubezpieczenia, czyni go bezpiecznym. Stałem za grządką olbrzymich geranium, u węgła domku przy plaży i patrzyłem. Wszechwidzący Marlowe, który wszystko zobaczy, wszystko podejrzy. Dziewczyna pochyliła się i pocałowała Victora, a ten pocałunek przedłużył się i rozwinął. Gdy pocałunek i wynikłe z niego zmaganie zakończyło się, Victor sięgnął machinalnie i przygładził włosy. Uśmiechnąłem się. Bingo! Les Yalentine w peruce.

14

-
- Wróciłem do Springs w samą porę na późną kolację, Tino przygotował mi ją w kuchni. Linda była w Racquet Club i wróciła, kiedy kończyłem sałatę, którą Tino uparł się podać mi po posiłku.
- - Tak to się tu robi, proszę pana - rzekł Tino. - Wszyscy w Springs robią w ten sposób.
- - Oprócz mnie, Tino - odparłem. - Ja jadam sałatę przed posiłkiem.
- Tino potrząsnął głową.
- Pani Marlowe powiedziała, że chyba nigdy nie uda nam się pana ucywilizować.

- Jestem cywilizowany w stopniu, na jaki mnie stać.
- - Pan jest wspaniały, jaki pan jest, proszę pana. I w tym właśnie momencie weszła Linda.
- - Patrzcie - powiedziała - mój kochany mąż wrócił do domu po dniu ciężkiej orki. Jak miło.
- Podeszła i pocałowała mnie leciutko. Poczułem od niej zapach alkoholu.
- - Może pani też coś zje, proszę pani?
- -Nie, Tino, proszę tylko dużą szkocką z odrobiną wody sodowej i lodem.
- Usiadła naprzeciwko mnie. Tino przyniósł jej drinka.
- Czy wyszedłeś dziś coś zasługującego na uwagę, kochanie?
- Znalazłem Lesa Valentine'a - powiedziałem.
- Jakie to podniecające. Mam nadzieję, że wynagrodziło ci to nieobecność na naszej kolacji z Mousy i Mar-tonem.
- Świetnie - pochwaliłem. Myrna Loy nie potrafiłaby wyrecytować tego lepiej.
- Nie bądź taki grubiański, kochanie. Wiesz, że naprawdę mnie zawiodłeś.
- - Wiem - odparłem. - I bardzo przepraszam, że musiałem. Ale moja praca nie jest normowana w czasie.
- - A ja o tym wiedziałam wychodząc za ciebie – rzekła Linda.
- Nie było sensu się kłócić. Puściłem to mimo uszu.
- - Czułabym się podniesiona na duchu, kochanie, gdybym czasami mogła odnieść wrażenie, że chętnie odłożyłbyś pracę na później, żeby być ze mną.
- Tylko w ten jeden sposób mogę być z tobą - odparłem. - Twój stary ma ze sto milionów dolarów. Gdybym zaczął odkładać pracę, żeby być z tobą, bardzo szybko leżałbym tylko i dawał sobie wyskubywać brwi.
- Jesteś strasznym głupcem - powiedziała Linda.
- Zapewne - odparłem. Wypiła łyczek.
- Już nawet nie chcesz ze mną być? - spytała.
-
- - Do licha, w tym cała rzecz. Oczywiście, że chcę z tobą być. Chciałbym cały czas spędzać z tobą w łóżku, pić z tobą koktajle przy basenie, pomagać ci segregować bieliznę. Ale jeżeli

ulegnę temu pragnieniu, to czymbędę? Będiesz mogła wtedy kupić mi obrózkę wysadzaną drogimi kamieniami i wyprowadzać mnie na spacer.

- Linda wstała i odwróciła się ode mnie z na wpół wypitym drinkiem w dłoni. Zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, zatrzymała się i cisnęła szklankę w stronę zlewu. Nie trafiła, szklanka uderzyła o szafkę, rozbiła się a odłamki szkła rozsypały się po dywanie. Linda obróciła się, opadła na moje kolana i przywarła ustami do moich ust.
- - Ty draniu - powiedziała prosto w moje usta. – Ty nieujarzmiony draniu.
- Wziąłem ją na ręce i zniosłem do sypialni. Pieniądze mają swoją dobrą stronę. Tino posprząta. Rano Lindę bolała głowa i pozostaliśmy w łóżku pijąc sok pomarańczowy i kawę w oczekiwaniu na ustąpienie bólu.
- - Za dużo whisky - powiedziałem.
- - Ależ skąd - zaprzeczyła Linda. - Byłam na spokojnym przyjęciu, wypiałam parę malutkich drinków, wróciłam senna do domu i... cóż, z całą pewnością bardzo mało spałam.
- - Zauważyłem - rzekłem.
- Tino zapukał cichutko do drzwi i wszedł ze śniadaniem na tacy. Linda szybko odwróciła głowę.

- - Ach, proszę pani - powiedział Tino z uśmiechem. - Pan Marlowe na pewno zje całe swoje i większą część pani śniadania na dodatek.
- Tino postawił tacę z mojej strony łóżka i wyszedł. Zabrałem się do roboty, by udowodnić, że miał rację.

- Jak możesz, ty bestio - rzekła Linda.
- Ruch - odparłem. - Zdrowy ruch przez całą noc w sypialni. Dodaje apetytu.

- Nie patrząc Linda wyciągnęła rękę, namacała pół grzanki i odgryzła kawałek. Przeżuła dokładnie i oparła się o poduszkę, żeby odpocząć i pozwolić kęsowi ułożyć się w żołądku.

- Wczoraj wieczorem powiedziałeś, że znalazłeś męża Muffy Blackstone - rzekła Linda cicho z wciąż zamkniętymi oczami.
- Tak - odparłem. - Mieszka w Venice pod nazwiskiem Larry Victor. Ma studio fotograficzne w Hollywood.
- Jestem pewna, że pan Lipshultz będzie z ciebie bardzo dumny, kochanie.
- Jeżeli mu o tym powiem.

- - Czemu miałbyś nie powiedzieć? - zapytała. Patrzyłem na jej profil, na małą żyłkę pulsującą na opuszczonej powiece. - Gdyż istnieje pani Victor.

- Linda obróciła głowę na poduszce w moją stronę i wolno otworzyła oczy.
- Naprawdę? - zapytała. - Ten mały, bojaźliwy, nijaki człowieczek?
- W L. A. nosi perukę i obywa się bez okularów. Istny ogier.
-
- Perukę?
- Tak, z długimi włosami blond, szesany w tył
- - odparłem. - Ubiera się jak agent gwiazdki filmowej drugiej kategorii. - Sięgnąłem do stolika przy łóżku i wyjąłem zwiniętą fotografię Sondry Lee. Podałem ją Lindzie.
- - Specjalizuje się w tego typu zdjęciach - powiedziałem.
- Linda spojrzała na fotografię i szybko ją odwróciła.
- - Och - jęknęła. Potem powoli znów odwróciła zdjęcie i jeszcze raz popatrzyła. Jej brwi ściągnęły się w najbardziej uroczym skrzywieniu, jakie kiedykolwiek oglądałem. Ponownie przyjrzała się fotografii.
- - Ma strasznie małe piersi – skrytykowała - i zaczątek brzuszka.
- Jakiego tam brzuszka.
- Czy mężczyźni lubią takie zdjęcia?
- Niektórzy - odparłem.
- Spojrzała na mnie i w milczeniu odkryła kołdrę.
- Ja wolę rzeczywistość - powiedziałem. Kiwnęła głową i zakryła się.
- Mąż Muffy robi takie zdjęcia?
- Całymi setkami.
- Skąd je wzięłeś?
- - Włamałem się do jego pracowni - odparłem.
- - Tylko nikomu nie mów. Zmarszczyła nos.

- Musisz się tym zajmować? - zapytała. Nie odpowiedziałem. Dotknęła mego ramienia.
- Tak - rzekła - wiem, że musisz. Ja tylko...
-
- Milczeliśmy chwilę. Linda przyglądała się zdjęciu.
-
- Więc czemu nie powiesz panu Lipshultzowi?
- Nie wiem. Chodzi o to, że on i ta druga żona... Pojechałem za nim do jego domu. Ona się tak ucieszyła na jego widok... - Wzruszyłem ramionami.
- A co z Muffy? - spytała Linda.
- Właśnie - powiedziałem.
- Och - westchnęła.
-
- Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Potem odłożyła je na nocny stolik, odwróciła się do mnie i znieruchomiała. Znów obróciła się na plecy, sięgnęła, przewróciła zdjęcie wierzchem do dołu, z powrotem obróciła się twarzą do mnie.
- - Czuję się już znacznie lepiej - oznajmiła.
-

15

- Zacząłem się czuć po trosze jak stalowa kulka obijająca się wciąż o Poodle Springs i L.A. Tym razem wjechałem do L. A. przez Dolinę i dalej Cahuenga. Hollywood Boulevard wyglądał zawsze rano jak dziwka bez makijażu. Zaparkowałem na Hollywood koło Wilton i wróciłem piechotą do Western. Miałem w kieszeni zdjęcie Sondry Lee. Przyszedł czas, żeby porozmawiać z Larrym - Lesem. Kiedy wchodziłem do budynku stary grubas siedział tak samo za biurkiem swojego biura pośrednictwa. Schody tak samo zalatywały starą stęchlizną i cierpkimi żywotami. Drzwi pracowni Victora były otwarte, toteż wszedłem. Nie było go, było jednak coś innego. Siedziała w krześle obrotowym, odchyłona w tył, z głową odrzuconą i rękami wiszącymi sztywno. W środku czoła miała dziurkę a ciało wokół niej trochę nabrzmiące i odbarwione. Nie widziałem krwi, lecz czułem jej zapach. Wyszłej zapewne na czarną plamę na podłodze. Usta miała otwarte, a zeszywniałe wargi wykrzywione jakby w drwiącym uśmiechu, który za często widywałem.
- Poczulem skurcz żołądka. Przez zapach wyschłej krwi wciąż mogłem wyczuć uporczywą woń kordytu. Zamknąłem drzwi, podszedłem bliżej i przyjrzałem się twarzy martwej kobiety. Już ją gdzieś widziałem, ale nie od razu przypomniałem sobie gdzie. To była ta blondynka, która

kłóciła się z Larrym Victorem w barze Reno. Dotknąłem jej policzka, skóra była zimna. Poruszyłem jej ręką. Była sztywna. Za krzesłem stała kałuża zaschłej krwi. Wiedziałem, co będę musiał zaraz zrobić, ale najpierw podszedłem do szafki i zajrzałem do środka. Zdjęcia zniknęły. Obejrzałem całe pomieszczenie. Wyglądało, że wszystko inne jest na miejscu. Spojrzałem jeszcze raz na twarz blondynki. Zaczerpnąłem głęboko tchu i wykręciłem numer policji. Najpierw przybyli dwaj policjanci z komisariatu policji Zachodniego Hollywood przy San Vincente. Weszli ze zwykłym u siebie czujnym wyrazem twarzy za okularami od słońca. Jeden z nich ukląkł, żeby zbadać zwłoki, drugi zaczął mnie wypytywać.

- Dotykał pan czegoś? - spytał. Głos miał surowy.
- Telefonu.
- A po co? - zapytał głosem, w którym kryła się groźba, że byłoby lepiej, gdybym miał do tego uzasadnione powody.
- Żeby zadzwonić do was. Kiwnął głową. Ten drugi wstał.
- Nie żyje już od kilku godzin - rzekł. Pierwszy chrząknął.
- No, słuchamy - powiedział do mnie.
-

- -Jestem prywatnym detektywem - odrzekłem.
- - Przyszedłem tu do Larry'ego Victora.

- PD? Słyszałeś, Harry? Ale mamy szczęście. Otrzymujemy donos i zastajemy na miejscu PD.
- Mammy szczęście - przyznał Harry.
- Po co pan przyszedł do Victora? - zapytał pierwszy gliniarz.
- W związku ze sprawą, nad którą pracuję.
- Ma pan jakiś dowód tożsamości?
- Oczywiście. - Wyjąłem portfel i pokazałem. Adres na mojej licencji prywatnego detektywa był wciąż moim starym adresem w L.A.

- - Co to za sprawa? - spytał Harry. Potrząsnąłem głową.

- To nie ma sensu - powiedziałem. - Zaraz będę się musiał tłumaczyć przed detektywami. Po co mam się tłumaczyć dwa razy?
- Będzie się pan tłumaczył tyle razy, ile uznamy za stosowne, tajniaku - powiedział pierwszy gliniarz. - Co to za sprawa?
- W chwili obecnej jeszcze nic nie wskazuje na to, że moja sprawa ma jakieś związki z

waszą sprawą. Jeśli tak będzie, wówczas wam powiem. Ale na razie nie.

- Słuchaj, cwaniaku - powiedział pierwszy gliniarz.

- - Nie ty decydujesz, co ma związek z naszą sprawą. My decydujemy.
- - My? - powtórzyłem. - Wy, chłopaki, jesteście baby-sitterami. Jak tylko przyjdzie wydział zabójstw, wróćcie do szarzyzny życia i sprawdzania zegarów parkingowych.

- - Dobra, pyskaczu - rzekł Harry. - Ręce na tył.
- W tym momencie wszedł Bernie Ohls z cygarem-zabawką w zębach wyglądający jak człowiek, który zjadł dobre śniadanie i zażył dużo ruchu na świeżym powietrzu. Był głównym inspektorem prokuratora okręgowego.
- - Znowu zdenerwowałeś chłopaków z radiowozu, Marlowe? - spytał.
- Dwaj policjanci niezupełnie stanęli na baczność, ale w każdym razie wyraźnie się wyprostowali. Harry znieruchomiał z na wpół odpiętymi od pasa kajdankami.
- - Ohls - rzekł Bernie. - Biuro Prokuratora Okręgowego.
- - Tak, panie poruczniku, wiemy - odparł pierwszy gliniarz.
- Bernie uśmiechnął się obojętnie i wskazał ruchem głowy drzwi.

- Przejmiemy sprawę - rzekł i dwaj policjanci wyszli. Ohls podszedł i przyjrzał się denatce. Był facetem średniego wzrostu o włosach blond i sztywnych białych brwiach. Zęby miał równe i białe, a bladoniebieskie oczy ogromnie spokojne. Mówił miłym, policyjno-cwanym głosem, który był o włos za bardzo niedbały, by mu zaufać. Towarzyszyło mu dwóch innych policjantów, obaj po cywilnemu. Ci w ogóle nie zwracali na mnie uwagi.
- Z bliska - rzekł Ohls patrząc na ciało - broń małokalibrowa, pocisk prawdopodobnie spreparowany, znacznie większy otwór wylotu niż wlotu.

- Jeden z ubranych po cywilnemu policjantów rzekł:
- - Ekspert medyczny będzie za chwilę, poruczniku. Ohls kiwnął głową z roztargnieniem.

- Znasz ją? - spytał mnie.
- Nie - odparłem.

- Ohls podniósł wzrok i spojrzał na mnie twardo.

- Wyglupiasz się?
- Jeszcze nie - powiedziałem.

- Znowu kiwnął głową. Wszedł lekarz, niski gruby facet w garniturze z kamizelką i wielkim cygarem w prawym kąciku ust. Za nim weszli dwaj laboranci i zaczęli zdejmować odciski palców.
- - Chodź - powiedział Ohls i wyszliśmy na korytarz.
- - Mów, co robisz. - Wciągnął dym z cygara i wypuścił w półmrok korytarza.
- - Poszukuję zaginionego w Springs - powiedziałem.
- - Trop przywiódł mnie tutaj. Rozmawiałem z facetem, który ma to biuro, powiedział, że mi nie może pomóc. Mówił, że zna zaginionego, ale ten gdzieś wyjechał i nie zamierza wrócić. Zostawiłem go, porozglądałem się trochę, stwierdziłem, że parę rzeczy nie trzyma się kupy i wróciłem, żeby pogadać z facetem jeszcze raz. Drzwi były otwarte. Wszedłem i znalazłem ją.

- Facet nazywa się Larry Victor? - spytał Ohls.
- Tak jak napisane na drzwiach - odparłem.
- Wiesz, gdzie teraz jest?
- Nie.

- - Możesz powiedzieć coś jeszcze, co mogłoby mi pomóc? - spytał.

- Nie.

- Myślę, że gdybym cię zapytał o nazwisko twojego klienta, to byś mi nie powiedział - rzekł Ohls.
- Facet w moim fachu, Bernie, nie rozpowiada glinom, dla kogo pracuje, jeżeli nie musi - odparłem.
-

- A kto decyduje o tym, czy musi? - spytał Ohls. Wzruszyłem ramionami.
- Jakoś dojdziemy do ładu.

- Na pewno - rzekł Ohls. Wyjął malutkie cygarko z ust, chwilę przyglądał mu się w milczeniu, potem cisnął je na podłogę i rozdeptał nogą.

- Bądź z nami w kontakcie - powiedział. Odwrócił się i wszedł do pracowni Victora. Chwilę patrzyłem za nim, ale nie mogłem dostrzec tam dla siebie miejsca. Więc odszedłem.

16

- Jechałem Western, a potem na zachód bulwarem Santa Monica mocno naciskając pedał gazu. Niebawem gliniarze się dowiedzą, gdzie mieszka Larry Victor, a wtedy ktoś pojedzie i go zgarnie. Chciałem tam być przed nimi choć wcale nie byłem pewien czemu. Dojechałem do Venice Beach w dwadzieścia pięć minut, prawa noga mi się trochę trzęsła, kiedy ją wreszcie zdjąłem z pedału gazu i wygramoliłem się z oldsa za domem Victora przy plaży. Nigdzie nie zauważyłem wozu patrolowego. Przeszedłem na front domu, wszedłem przez patio i zapukałem do szklanych rozsuwanych drzwi. Podeszła ciemnowłosa młoda kobieta, którą widziałem przedtem z Victorem i rozsunęła je troszeczkę.

- Słucham?

- Jestem Marlowe - powiedziałem. - Muszę się szybko zobaczyć z Larrym Victorem.

- Uśmiechnęła się i rozsunęła drzwi szerzej.

- - Proszę wejść - rzekła. - Larry przygotowuje drinki w kuchni. Napije się pan z nami?

- - Za chwilę wszystkim nam to się bardzo przyda - odparłem. - Proszę powiedzieć Larry'emu, że sprawa jest pilna.

- Kiedy wypowiadałem te słowa, z kuchni wyszedł Victor niosąc dzbanek i dwie szklanki. Spojrzał na mnie.

- Czego tu, u diabła chcesz? - zapytał.

- Nie mam czasu na wyjaśnienia - odparłem. - Musisz mi uwierzyć na słowo, Victor. W twojej pracowni jest martwa kobieta i policja już tu jedzie.

- Oczy Angel zrobiły się ogromne.

- Martwa kobieta? - rzekł Victor.

- Chodź do mego samochodu. Angel, proszę powiedzieć policji, że pani nie wie, gdzie on jest. - Stali, jak wryci. Wziąłem Victora za ramię. - Albo pójdziesz ze mną, albo spędzisz długą noc w śródmieściu - powiedziałem. - Angel, proszę uprzątnąć szkło i napoje. Niedługo wrócimy.
- Wyszedłem frontowymi drzwiami wlokąc za sobą yictora.
- Larry - krzyknęła za nami Angel - zadzwoń!
- Proszę uprzątnąć szklanki - przypomniałem. Potem wsadziłem Victora do samochodu i ruszyliśmy na Lincoln Avenue a stamtąd na Venice Boulevard mknąc na wschód.
- O co, u diabła chodzi, Marlowe? - spytał Victor. Poczęstowałem go papierosem. Zapalił go samochodową zapalniczką. Samochód wypełnił się zapachem, jaki wydziela jedynie papieros zapalony samochodową zapalniczką.
- Zaciągnął się głęboko i wypuścił dwie strużki dymu przez nozdrza.
- - No, dobra - rzekł. - O co chodzi?
- Opowiedziałem mu wszystko.
- Ja jej nie zabiłem - powiedział Victor. - Nawet nie wiem, co robiła w moim biurze.
- Ale ją znałeś - rzekłem.
- O czym ty gadasz?
- To ta blondynka, z którą kłóciłeś się onegdaj w barze Reno.
- Victor przez chwilę patrzył na mnie ze zdumieniem. Usta mu się otwierały i zamykały jak u tropikalnej rybki.
- Skąd... - zaczął i urwał.

- Śledziłem cię - wyjaśniłem.
- Śledziłeś?

- Postaraj się nie powtarzać wszystkiego, co mówię. Śledziłem cię do Reno, a potem do twojego domu. Czy Angel jest twoją żoną?

- Tak - odparł.
- A Muriel Valentine?
- Muriel Valentine?
- Mówiłem ci, żebyś tego nie robił.
- Kto to jest Muriel Valentine?

- Żona Lesa Valentine'a - odparłem. - Widziałem u niej w domu jego fotografię. Gdybyś włożył okulary i zdjął tę perukę, wyglądałbyś dokładnie jak on.

- Chwilę milczał paląc. Na koniuszku papierosa utworzył się długi czerwony węgielek, jak bywa wtedy, kiedy jednego papierosa pali kilku ludzi. Potrząsnął głową, opuścił szybę i wyrzucił rozżarzony niedopałek na jezdnię. Posypały się z niego iskry, gdy się oddalaliśmy. Czuję na sobie wzrok Victora.
- - No i co będzie? - rzekł. Głos miał ponury.

- Mam ci mówić Larry czy Les? - spytałem. Nie odpowiedział.
- Masz ślub z Angel? Nadal nie odpowiadał.

- To bardzo przyjemnie - rzekłem - tak do siebie mówić. Nie ma niczyjego wymądrzania się, niczych kłamstw, tylko kojący dźwięk własnych pytań. Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni zdjęcie Sondry Lee, ściągnąłem z niego gumkę i rozwinąłem, cały czas prowadząc jedną ręką. To żaden wyczyn w porównaniu z operacją mózgu.
- Przypuszczam, że dopiero zaczynała karierę, kiedy je zrobiłeś - powiedziałem. Podałem mu zdjęcie. Wziął je w milczeniu, a potem rzekł:
- Jezu Chryste, Marlowe.

- No więc mów - powiedziałem. Jeszcze raz powtórzył:
- Jezu Chryste.

- Wszystko się rozpadło - powiedziałem. - Przez morderstwo. Miałeś to pięknie, ładnie ułożone i zorganizowane, aż tu zdarza się morderstwo i wszystko bierze w łeb.
 - Co ja teraz zrobię? - rzekł Larry.
 - Opowiesz mi, co jest grane - odparłem. - Może znajdę jakieś wyjście.
 - Czy policja o mnie wie? - spytał.
 - Nie ode mnie - odparłem. - Kiedy się z nimi rozstawałem, mieli tylko trupa w twoim biurze.
 - Byłeś tam?
-
- To właśnie ja znalazłem zwłoki. Jechaliśmy teraz na północ, po Sepulveda.
 - Ty?
 -
-
- Ja, Marlowe, wykrywacz trupów - odparłem. - Poszedłem tam, żeby porozmawiać z tobą, że jesteś Larry Victor i Les Valentine. Będę ci mówił Larry. Drzwi były otwarte, ona siedziała w środku. Na twoim krześle. Ktoś ją zastrzelił z bliskiej odległości, z małokalibrowej broni.
-
- I wzięłeś to zdjęcie z mojego segregatora?
-
- Nie, wzięłem je poprzednim razem. Tym razem twoje segregatory były puste.
-
- Nie było zdjęć?
 - Nie było - odparłem.
 - Masz jeszcze papierosa? - spytał.
-
- Podałem mu paczkę. Po prawej stronie znajdował się Supermarket Vona. Na parkingu było mnóstwo samochodów kombi, kobiet i wózków z zakupami. Zjechałem z Sepulveda i zaparkowałem pośród nich. Victor palił papierosa. Zwrócił mi paczkę, a ja położyłem ją na desce rozdzielczej.
 - - Czym się zajmujesz, Marlowe? Jesteś wyłudzaczem? Potrząsnąłem głową.
-
- Prywatna licencja - odparłem. - Zostałem wynajęty do odnalezienia ciebie.

- Przez kogo? Muriel?
- Przez Lipshultza - odparłem. Zrobił wielkie oczy.
- Lippy'ego? Kiwnąłem głową.
- Z powodu kwitów?
- Ehm.
- Chciałem zbić trochę forsy - rzekł. Nie skomentowałem tego.
-

- Dużo się dowiedziałeś w krótkim czasie.
- Jestem ciekawski - odparłem. - Chciałeś zbić forszę, żeby wydostać się ze Springs?
- Tak. Uciec ze Springs, od Muriel, jej starego i całej reszty.
- Jesteś żonaty z Angel?
- Taa.
- Przed czy po Muriel.
- Przed.

- - Fajnie - powiedziałem. - Pozwól, że zgadnę. Poznałeś Muriel przypadkiem, może podczas robienia zdjęć.

- Taa.
- No tak - ciągnąłem. - Spodobałeś się jej i nagle, po całym życiu uganiania się za dziesiątakami, ujrzałeś przed sobą wielkiego burrito. Czy Angel wie, że się ożeniłeś z Muriel?
- Nie, ona myśli, że wyjeżdżam na zdjęcia.
- A więc zamierzałeś dobrać się do funduszy Muriel - ciągnąłem - a potem dać dyla do L. A. i zniknąć z Angel.
- Coś w tym rodzaju - odparł.

- Ale nie zdołałeś się dobrać do tej forsy. Potrząsnął głową.
- Ani, ani - rzekł. - Nic a nic.

- Więc próbowałeś wygrać forszę w klubie i stwierdziłeś, że bardzo trudno rozbić bank.
- Dużo grywam. Jestem dobry. Myślę, że gra nie była fair.
- Oczywiście - powiedziałem. - W przeciwnym razie rozbiłbyś bank. Na pewno. Ale oni grywają z takimi frajerami jak ty, najwyżej pięćdziesiąt, sto razy dziennie.
-

- Dużo wygrywam.
 - Czy tyle samo, ile przegrywasz;
- Nie odpowiedział. Patrzył w bok na klientów sklepu spożywczego na parkingu, którzy się zastanawiali, czy kupić pieczeń wołową na obiad, czy raczej kotlety baranie. Wcale nie myśleli o trupie w swoim biurze. Wreszcie rzekł nie patrząc na mnie:
- Czemu nic nie powiedziałeś glinom?
 - A co by mi z tego przyszło?
 - Nie jesteś lojalnym obywatelem?
 - W granicach zdrowego rozsądku - odparłem.
 - Więc czemu im nie powiedziałeś? Czemu gnałeś tu na łeb na szyję z Hollywood, by zdążyć przed policją?
 - Bo jestem romantykiem - powiedziałem.
 - Co!?
 - Widziałem cię onegdaj z Angel. Wyglądaliście na szczęśliwych.
- Wytrzeszczył na mnie oczy.
- Dobry z ciebie numer, Marlowe - rzekł.
 - I niedrogi - przytaknąłem.
 -
 -

17

- Słońce przesunęło się na zachód, ku plaży, i jego promienie padały pod ostrzejszym kątem sprawiając, że cienie na parkingu stały się długie i rozciągnięte. Klientela sklepów zrzędła, ponieważ gospodynie wróciły do domu, by zabrać się za obiad i mieć go na stole, zanim mężowie zdążą wypić po trzecim manhattanie. Pierwsze strużki powodzi dojeżdżających do pracy już zaczynały zwalniać na Sepulve-da, zmierzając na północ, do Zachodniego L.A. i do Valley. Victor buszował w moich papierosach jak koza w koniczynie. Wyjąłem z bocznej kieszeni marynarki fajkę, nabiłem, zapaliłem i oparłem się o drzwi.
- Ja jej nie zabiłem - rzekł Victor.

- Powiedzmy, że nie. Powiedzmy, że jesteś zimnym draniem, bigamistą, nałogowym graczem, człowiekiem, który robi pornograficzne zdjęcia, i żygolakiem, ale powiedzmy, że jakoś nie wyobrażam sobie ciebie w roli mordercy. Powiedz, jak się mogło stać, że skończyła w twojej pracowni siedząc na twoim krześle z dziurą od kuli w czole?
- Jesteś dość szorstki, Marlowe.
-
- Pewnie, że jestem, ale gdzie mi do szorstkości, jaką cię poczęstują w pokoiku w głębi gmachu sprawiedliwości w śródmieściu, gdzie policjanci siedzą z nogami na barierce.
- Jeżeli mnie znajdą - rzekł.
- Jeżeli znajdą? Ty bałwanie, ja cię znalazłem w ciągu trzech dni z powodu kwitu dłużnego. Myślisz, że policja cię nie znajdzie z powodu morderstwa? Myślisz, że tylko ja jeden widziałem, jak się kłóciłeś z tą blondynką w barze Reno? Jak ona się nazywa?
- Nie wiem. Lola, Lola jakoś tam. Prawie jej nie znałem.
- O co się kłóciliście?
- Była pijana.
- O co się kłóciliście?
- Kiedyś się z nią umawiałem - powiedział Victor.
-
- Aha, ale nie pamiętasz jej nazwiska. Wzruszył ramionami.
- Wiesz, jak to jest, Marlowe.
- Nie - odparłem. - Nie wiem.
-
- Spotykasz mnóstwo różnych ciż, sypiasz z nimi, a im się zaczyna wydawać, że to coś poważniejszego, niż ty uważasz.
- Ale nie aż tak poważnego, żeby ci powiedzieć swoje nazwisko, co?
- - Chyba mi powiedziała, ale nie mogę pamiętać wszystkich nazwisk, nie? - Odcinał mi się, lęk zaczynał ustępować nieco w cień. Postanowiłem mu zatem dopomóc.
-
- Przypomnij sobie to jedno, koleś, albo powiozę cię prosto do śródmieścia.
- Jezu Chryste - powiedział znowu. Lęk powrócił. - Nie rób tego. Pamiętam, ona się nazywała, ach...
-

- Udawał, że wyteża pamięć.
- Nazywała się Faithful, Lola Faithful. Zdaje się, że kiedyś trochę stepowała.
- Lola Faithful - powiedziałem.
- Tak, to jest prawdopodobnie sceniczne nazwisko, ale takie właśnie było w książce, kiedy się z nią umawiałem. Przysięgam Bogu.
- I była wściekła, bo przestałeś się umawiać.
- Właśnie - rzekł Victor. - Była wściekła jak cholera, Marlowe.
- Od jak dawna jesteś mężem Angel?
- Od trzech lat i... ach, siedmiu miesięcy.
- A przedtem zerwałeś z Lolą?
- No, pewnie, myślisz, że kto jestem?
- Nie chcę wiedzieć.
- Taa - rzekł Victor. - Zerwałem z Lolą na długo przed ślubem. Rzuciłem ją, jak tylko zacząłem chodzić z Angel.
- Aha - powiedziałem. - Więc jakieś cztery lata temu rzuciłeś Lolę Faithful, a przed kilkoma dniami ona dorwała cię w barze i zrobiła o to awanturę?
- - Jest zakochana, Marlowe, czy to moja wina? Popykałem trochę fajkę i spojrzałem na niego przez dym.
- - Słyszałem, jak marynarze opowiadali lepsze bajki barmankom filipińskim.
- - Więc, jeśli mi nie wierzysz, to dlaczego siedzisz tutaj ze mną?
- - Z dwóch, a może trzech powodów - powiedziałem. - Pierwszy to ten, że nie jesteś typem mordercy. Jesteś
- oszustem, kanciarzem, facetem, który ciągle robi jakieś szwindle, ale uważam, że nie masz w kościach dość żelaza, żeby zabić człowieka.
- A ty kiedyś zabiłeś człowieka, twardzielu? - spytał Victor.
- Drugi - ciągnąłem - po co byś ją zabijał w swoim biurze i zostawiał tam nie zamykając nawet drzwi na klucz? Zupełnie jak byś chciał, żeby policja przyszła, zabrała cię i powiedziała, że to ty zrobiłeś.
- Taa - powiedział - nie jestem aż tak głupi.
- Zobaczymy - rzekłem.

- Mówisz, że są trzy powody - przypomniał Victor. - Jaki jest ten trzeci?
- Wyłowił z mojej paczki ostatniego papierosa, a samą paczkę zgniótł i wyrzucił przez boczne okienko. Potem wcisnął zapalniczkę na desce rozdzielczej i czekał aż wyskoczy.
- Jak powiedziałem, jestem romantykiem. Victor odwrócił się twarzą do mnie.
- Ja jej nie zabiłem, Marlowe. Musisz mi uwierzyć.
- Wcale nie muszę - odparłem. - Uczynimy z tego roboczą hipotezę. Masz gdzie spędzić noc?
- Może u ciebie? - spytał.
- U mnie nie ma miejsca - powiedziałem.
- Tak, ale wiesz, mnie dużo nie trzeba.
- Wszystko zajęte - odparłem - przeze mnie i moją żonę. Ty nie jesteś proszony.
- - Chryste, Marlowe, nie mam takiego miejsca, o którym gliny by się nie dowiedziały.
- - A wiedzą o Muriel?
- Nie, Jezu, nikt o niej nie wie.
- Jedź do niej - poradziłem.
- Do Muriel?
- Czemu nie? Ona uważa, że jest twoją żoną. To twój dom.
- Potrząsnął głową.
- - To jej dom - rzekł. - Jej i jej starego. - Wolisz spędzić noc oparty o ścianę aresztu?
- Victor milczał. Papieros dopalał mu się w palcach.
- Victor zaciągnął się jeszcze raz uważając, aby nie oparzyć ust.
- Jak się tam dostanę? - spytał.
- Zawiozę cię.
- Aż do Poodle Springs?
- Mieszkam tam - powiedziałem. - Będzie mi po drodze.

- Mieszkasz w Springs? - zdziwił się Victor.
- Oczywiście - odrzekłem. - Spójrz na linię mojej szczęki, na dumnie zadartą brodę.
- Marlowe - spytał - Chryste, a może jesteś tym, który się ożenił z córką Harlana Pottera?
- To ona wyszła za mnie - odparłem.
- Rany, mieszkamy niemal na tej samej ulicy.
- Świat jest mały - stwierdziłem.

18

- Większość drogi przejechaliśmy w milczeniu. Co jakieś piętnaście minut Victor mówił, jak bardzo mu się chce palić. Kiedy minęliśmy skrót na Bakersfield, poprosiłem:
 - Powiedz mi coś o ojcu Muriel.
 - O Claytonie Blackstone? - Słyszałem jak wciąga powietrze i wypuszcza nosem.
 - Taa.
- Słońce już zaszło i droga biegła przez pustynię jak słabo widoczna wstęga w świetle reflektorów.
 - - Jest bogaty - rzekł Victor.
 - Czekałem, a wstęga szosy odwijiała się przed nami w nieruchomym mroku.
- Bogaty i skąpy - dodał.
 - Tak właśnie zostaje się bogatym - powiedziałem.
 - On się bogacił na różne sposoby - rzekł Victor. - Nie wszystkie z nich były zgodne z prawem.
- Poczekałem jeszcze trochę.
 - -Większość z tych sposobów była nielegalna – ciągnął Victor. - Ale to dawno, więc teraz należy do wyższych sfera jego córka jest księżniczką.

- Żyjemy w wielkim i brutalnym kraju - powiedziałem. - To się wciąż zdarza.
- Tak, ale nie mnie.
- Z twojej własnej winy - powiedziałem, żeby w ogóle coś powiedzieć.
- Blackstone zrobił pieniądze na hazardzie, statkach przy brzegu, za trzymilowym pasmem przybrzeżnym
- - rzekł Victor. - Można tam wtedy było dostać, co chciałeś. Karty, kości, ruletka, bukmacherka, pokoje do prywatnych gier. Mogłeś dostać dziewczyny, alkohol, marihuanę, kokainę, a było to w czasach, gdy młodzież ze szkół średnich jeszcze o tym nie słyszała.
- - Tak - powiedziałem - Dowozili ludzi wodnymi taksówkami z pirsu w Bay City.
- - Teraz ma banki, hotele, kluby, restauracje, ale pieniądze na to zarobił właśnie w taki sposób. Wciąż się otacza obstawą.
- Twardymi facetami? - zapytałem.
- Takimi, co najpierw wybiją ci zęby, a potem strzelą w łeb za to, że seplenisz.
- Czy ma jakiś związek z Klubem Szał?
- Nie, to klub Lippy'ego.
- Lippy mówi, że ma szefa, który się nazywa Blackstone i ten Blackstone jest bardzo surowy jak chodzi o księgi rachunkowe.
- Jezu! - wykrzyknął Victor. - Nie wiedziałem o tym.
- - Potarł oczy nasadami otwartych dłoni. - No, cóż, stary
- Clayton nie porąbie mnie na kawałki, póki jestem mężem jego córki.
- Chyba że się dowie, że jesteś również mężem Angel.
- Chryste, Marlowe!

- W mroku nocy zamajaczył skręt do Poodle Springs. Skręciłem w jeszcze głębszą czerń pustynnej drogi. Tu i ówdzie w kanionach błyskały światelka, gdzie ktoś się pobudował na spieczonym zboczach arroyo i żył sobie robiąc wszystko, co robią pustynni osadnicy. Czułem się oddalony o milion mil od wszystkiego, nie bliższy cywilizacji niż gwiazd, które błyszczały zimno nade mną. Sam w ciemnościach nasłuchujący litanii żalów słabego człowieka, który próbował być zbyt cwany.
- - Jak wam się układa współzycie z Blackstonem? - zapytałem. - Z takim człowiekiem jak Blackstone się nie współżyje - odparł Victor. - On albo kogoś toleruje, albo nie. Mnie toleruje, bo należę do jego małej Muffy.
- Słyszałem gorycz przebijającą przez jego słowa jak gdy się ugryzie niedojrzałą pomarańczę.
- A więc rzecz wygląda tak - powiedziałem. - Lippy cię ściga, bo jesteś mu winien pieniądze. Policja cię ściga, bo jesteś podejrzany o zabójstwo Loli Fraithful. Blackstone cię toleruje, ale jeśli się dowie o Angel, może wpompować ci trochę powietrza do mózgu.
- Taa - rzekł Victor, zaciskał dłonie i patrzył na swoje kciuki. - Ja się o siebie nie martwię, Marlowe. Ale musimy uchronić Angel.
- - Od razu wiedziałem - rzekłem. - Jak cię tylko zobaczyłem, zaraz wiedziałem, że twoje życie jest jednym pasmem poświęcenia i troski o innych.
- Naprawdę, Marlowe. Kocham tę dziewczynę. Ona jest być może jedyną miłością mego życia. Chłopaki pewnie by się śmiali, gdyby usłyszeli, jak to mówię, ale oddałbym się w ręce policji, gdyby to miało pomóc Angel. Nie mogę jednak tego zrobić, bo jeśli Blackstone dowie się o mnie i Angel, każe zabić także ją.
- Jeżeli zdołasz opanować swój odruch samopoświęcenia - powiedziałem - będziesz trzymał gębę na kłódkę i ukryjesz się u swej nieszczęsnej żony z Poodle Springs, póki tego jakoś nie rozwikłam..
- Umilkłem. Sam nie wiedziałem, jak dokończyć zdanie. On także nie wiedział. Milczeliśmy, póki nie zajechaliśmy pod dom Muriel. Zdjął perukę, włożył ją do mego schowka na rękawiczki i z ciężkim sercem ruszył ścieżką. Gdy doszedł do drzwi, zobaczyłem, jak prostuje plecy. Wrzuciłem bieg i pojechałem dalej, do domu, który dzieliłem z Lindą.

- - Clayton Blackstone jest bardzo przyzwoitym człowiekiem - powiedziała Linda. - Wcale nie wierzę w to, co ci mówił mąż Muffy.
- Jedliśmy śniadanie nad basenem w już teraz solidnym gorącu pustynnego ranka. W powietrzu stał zapach bouga-invillaei i świergot ptactwa posilającego się rankiem przed zbyt wielkim upałem.
- - To zagadnienie prawne, czy on jest jej mężem - odparłem. - Myślę, że pierwsze małżeństwo wyklucza następne. - Sączyłem kawę, jakiś gatunek Kona, który sprowadził Tino. - Ale nie bardzo się orientuję w kwestii prawa dotyczącego bigamii.
- Clayton Blackstone jest przyjacielem taty - powiedziała Linda. Miała na sobie coś bladoniebieskiego z jedwabiu, co osłaniało ją akurat tyle, ile nakazywało prawo, ale nie więcej.
- Nie wiem, skąd twój tata ma pieniądze - powiedziałem - ale jeżeli ktoś ma ich sporo, to przynajmniej część musi być brudna.
-
- Myślisz, że mój ojciec postępuje nieuczciwie?
- To nie jest takie proste - odparłem.
- Więc, co myślisz?
- Myślę, że prawdopodobnie co najmniej przystał na trochę nieuczciwości.
- Phi! - powiedziała Linda.
- Wszedł Tino i zabrał puste szklanki po sokach.
- Ten cały Les czy Larry, czy jak się tam nazywa, jest oczywiście nałogowym graczem. Jest też oczywiście łowcą posagów. Jest w sposób oczywisty nieuczciwy. Czemu więc go chronisz? Czemu po prostu nie oddasz go policji? - powiedziała Linda. - Donieś panu Lipshultzowi, gdzie on jest i zacznij spędzać popołudnia ze mną popijając dzin z limoną, trzymając się za ręce i robiąc... hm, cokolwiek.
- On tego też nie rozumie - odparłem.
- Les? Pewnie, że nie rozumie, ten bydlak. Kim trzeba być, żeby się w ten sposób uwikłać. - Oczy jej płonęły niesmakiem.
- Jest uzależniony - powiedziałem.
- Od narkotyków?
- Nie. Od ryzyka. Jest nałogowym graczem i wszystko dla niego jest grą.
- Skąd to się u ludzi bierze? Skąd taki stosunek do gry?
- Nie chodzi o grę - odparłem. - Chodzi o ryzyko, niebezpieczeństwo przegrania, to go podnieca.
- Lubi przegrywać? - spytała Linda. Gniewny blask spełzył z jej oczu i teraz tylko ściągnęła lekko śliczne brwi sprawiając, że ukazała się między nimi pionowa zmarszczka. Pochyliła się ku

mnie na leżance przytrzymując swój skąpy

-
- niebieski ubiór przy szyi, aby zachować coś na kształt przyzwoitości a jednocześnie nie dać mi się wymknąć.
- Nie, ale lubi szanse przegrania - odparłem. - To go podnieca.
- A więc gra, popełnia bigamię, robi zdjęcia pornograficzne i kto wie, czy nie morduje?
- Bywa, że sprawy wymykają się spod kontroli - powiedziałem. - Teraz znów jest zbyt niebezpiecznie. To już go nie podnieca. Teraz się boi. I wcale nie myślę, że to on zabił tę kobietę w jego pracowni.
- Linda oparła się na leżance i lekko zagryzła dolną wargę spoglądając na mnie kątem oka.
- Myślisz - powiedziałem.
- Ehm.
- Jesteś śliczna, kiedy myślisz.
- Świetnie rozumiesz tego człowieka - powiedziała Linda.
- Jestem detektywem, proszę pani. Spotykam bardzo wielu ludzi w tarapatach.
- Może jesteś troszeczkę do niego podobny. Może zajmujesz się tym, czym się zajmujesz, bo to jest niebezpieczne.
- Jak Larry Victor? Czerpię podniecie z niebezpieczeństwa?
- Musi istnieć jakiś powód - rzekła Linda - dla którego nie chcesz pomagać mi wydawać dziesięciu milionów dolarów.
- Może powinienem dać sobie wszczepić złote kółko w kark, żebyś mnie mogła nosić przy bransoletce jak breloczek.
-
- Jesteś naprawdę niemożliwy - powiedziała Linda. Na szczęście uważam, że jesteś fantastyczny.
- Wiem - odparłem.
-

- W Hollywood wiatr wiał od Santa Ana przepędzając smog za Catalinę. Niebo było błękitne jak bławatek a temperatura nieco powyżej 20 stopni, kiedy zaparkowałem na Sunset i cofnąłem się ku Western do baru Reno. Minęło południe i większość dziwek zeszła z posteruj.. na obiad. Na północy i na wschodzie za Valley, koło Pasadena, widziałem śnieg na szczytach gór San Gabriel. Wszedłem do Reno. Pachniało tam jakby od dłuższego czasu nie czyszczono rusztu do pieczenia. Usiadłem w końcu baru. Przy drugim końcu siedziało nad notesem dwóch facetów w kraciastych ubraniach, a w łoży, w której ja siedziałem przed paroma dniami, jakiś siwowłosy facet w czarnej sportowej koszuli wlewał drinki w starszawą kobietę o surowej twarzy i słabym wspomnieniu koloru blond we włosach. Miała na nosie jasnoniebieskie arlekinowe okulary wysadzone imitacją diamentów. Zęby starszego faceta miały natomiast idealny kształt świadczący, że mogą pochodzić jedynie ze sklepu.
- Poza tymi osobami nie było nikogo. Barman sunął wzdłuż baru jakby miał więcej czasu niż mu było trzeba. Był wysoki, szczupły i łysy. Co gorsza, miał przyklejone do czaszki kosmyki czarnych włosów. Zęby żółte, a cerę jak ktoś, kto wychodzi na świeże powietrze tylko nocą.
- Co podać, kolego? - spytał.
- Żytniówkę - odparłem. - Czystą.
- Wziął z półki za plecami butelkę, nalał mi stopkę Old Overholta, zadzwonił kasą rejestrującą i położył przede mną kwitek.
- - Lola Faithful często tu bywa? - zapytałem. Barman wzruszył ramionami i zaczął się oddalać wzdłuż
- lady. Wyjąłem z kieszeni banknot dwudziestodolarowy, zgąłem go wzdłuż i postawiłem przed sobą jak mały zielony namiocik. Barman zawrócił i zbliżył się ponownie.
- Myślałem, że chce pan zapłacić - rzekł.
- Tak - potwierdziłem.
- Patrzył na banknot i zwilżył wargi językiem koloru surowej ostrygi.
- - Czy Lola Faithful często tu bywa?
- - Och, Lola, tak. Nie zrozumiałem za pierwszym razem. Do licha, ona tu przesiaduje cały czas. Wciąż tu przychodzi.
- Uśmiechnął się, odsłaniając wielkie żółte jak u starego konia zęby. Wciąż patrzył na

dwudziestkę. Wziąłem banknot za rożek i podniosłem do góry.

- Co możesz o niej powiedzieć?
- Ona pije manhattany - odparł.
- Co jeszcze?
- Kiedyś była tancerką hula-hula - rzekł.
-
- I co jeszcze?
- I już nic - odparł. - Więcej nie wiem. Kiwnąłem głową.
- Znasz faceta nazwiskiem Larry Victor?
- Nie - odparł barman. Oczy mu się poruszały wraz z ruchem dwudziestki. - Znam tylko kilku stałych bywalców. Większość tutejszych klientów to nie są stali bywalcy. - Oderwał oczy od banknotu i omiół wzrokiem lokal.
- Do licha - rzekł - kto chciałby tu stale bywać?
- - A Les Valentine? - zapytałem. Potrząsnął głową. Wypuściłem banknot z palców i pchnąłem w jego stronę.
- Chwycił go długimi palcami, złożył wprawnym ruchem i wsunął do kieszonki brunatnych popelinowych spodni. Potem wziął butelkę żytniówki i nalał mi do pełna.
- - Na koszt firmy - rzekł.
- Kiwnąłem głową, a on odszedł w drugi koniec baru i ścierką, która znacznie lepiej nadawała się do innych celów, jął polerować szkło. Czekałem. Dwaj faceci w ubraniach w kratę zamknęli notatnik i poszli zbijać fortunę. Starszy mężczyzna w loży zaczął odnosić aż za wielkie sukcesy u swojej damy. Była już pijana i obmacywała go. Do baru wszedł mały Meksykanin, może dziesięcioletni.
- Wyczyścić buty, proszę pana?
- Nie, dziękuję - odparłem.
- Hej, Chico - powiedział barman. - Ile razy mam powtarzać? Wynoś się. - Ruszył ku niemu zza baru.

- Zdjęcia? - powiedział do mnie chłopak.
-
- Potrząsnąłem głową.
-
- Może trawka? Koka? Barman zdzielił malca ścierką.
- Jazda, wynoś się.
-
- Wyjąłem z kieszeni dolara i dałem chłopcu.
- - Masz - powiedziałem. - Za to, że spytałeś. Chłopak chwycił dolara i pomknął do drzwi.
- - Jak będziesz tu przychodził, chłopcze, to jeszcze, do cholery, skończysz w sądzie dla nieletnich.
- Barman wrócił za ladę kręcąc głową.
- - Smarkacze - mruknął do siebie.
- Wypiłem łyk żytniówki. Barman kroił plasterki cytryny i limony, i wkładał do szerokiego słoja. Starsza para w łoży zamówiła następną kolejkę. Kobieta siedziała teraz z głową opartą o jego ramię, z na wpół przymkniętymi oczyma i z otwartymi ustami. Nad mokrą plamą, gdzie stał mój kieliszek, krążyła sennie mucha. Wolno zbliżyła się do niej machając przezroczystymi skrzydełkami, siadła, spróbowała trochę płynu i potarła z aprobatą nóżką o nóżkę. Wypiłem jeszcze łyczek. Do baru weszła ruda kobieta, rozejrzała się, zobaczyła mnie, podeszła i usiadła o dwa stołki dalej. Była to ta sama kobieta, która wrzucała monety do maszyny grającej podczas kłótni Victora z Lolą.
- - Białe wino, Willie - rzuciła do barmana. Barman wyjął z lodówki pod ladą wielki dzban wina, nalał kieliszek i postawił przed nią na serwetce. Wstawił dzban do zlewu wypełnionego lodem, aby mieć wino pod ręką, zadzwonił kasą rejestrującą i położył kwit koło niej na ladzie. Kobieta wzięła kieliszek, chwilę mu się przyglądała, a potem ostrożnie wypija od razu połowę. Postawiła kieliszek na ladzie nie wypuszczając nóżki z ręki i spojrzała na barmana.
-
- Ach, Willie - powiedziała. - Na tym jednym można zawsze polegać, co?
- Oczywiście, Val.
-
- Uśmiechnęła się, wyjęła długiego cienkiego papierosa w brązowej bibułce, chwilę szukała w torebce, a potem zwróciła się do mnie trzymając papierosa między palcami przy ustach.
- - Masz ogień? - spytała.
- Wyjąłem z kieszeni marynarki kuchenną zapałkę i już za pierwszym razem udało mi się ją zapalić o paznokciec. Przytrzymałem płonąca zapałkę nieruchomo, a kobieta pochyliła się i przyłożyła koniuszek papierosa do płomienia. Zaciągnęła się głęboko i prostując się wypuściła

wolno dym. Włosy miała rude, jaśniejsze niż je Pan Bóg stworzył, ale prawdopodobnie będące wersją ich pierwotnego odcienia. Twarz łagodna, a zmarszczki przy kącikach ust pogłębiły się z latami tworząc coś na kształt nawiasu. Okropnie upacykowana miała sztuczne rzęsy, zielone cienie na powiekach, a usta poszerzone krechami szminki. Nad kołnierzykiem bluzki widniała linia, gdzie kończył się makijaż, a miękki podbródek sprawiał, że zarys brody zlewał się z zarysem szyi. Bluzka była biała z kołnierzykiem z falbankami, a spódnica czarna i nad kolana. Paznokcie miała bardzo długie, ostre i pomalowane taką samą jaskrawą czerwienią jak usta. Z uszu zwisały dwa wielkie złote koła. Nawet w półmroku tego baru widziałem drobne pionowe zmarszczki na jej górnej wardze i delikatną siateczkę wokół oczu.

- - Wino, papierosy i dobry chłop - powiedziała.
- - Czegóż więcej można chcieć od życia.
- Dopiła wino i ruchem głowy dała znać barmanowi, by jej jeszcze nalał.

- Pierwsze dwie rzeczy i mnie odpowiadają - zauważyłem.
- Nie chcesz dobrego chłopca. - Roześmiała się chrapliwym, zgrzytliwym, nieco męskim śmiechem zakończonym sapnięciem.
- Widać nie jesteś zwolennikiem mężczyzn - wychrypiała opanowując śmiech. Zakaszła i wypiła trochę wina. Uśmiechnąłem się zachęcająco.
- Chciałabym móc powiedzieć to samo o sobie - ciągnęła. - Łatwo o wino i papierosy. Ale piekielnie trudno o dobrego chłopca.

- Znow się zakaszła i znowu popiła winem. Wzięła papierową serwetkę spod kieliszka i osuczyła nią wargi.
- - A Bóg świadkiem, że próbowałam wielu. Kieliszek był pusty. Spojrzała na barmana, ale ten z kolei patrzył na parę w starszym wieku w loży.
- - Willie - powiedziałem - nalej pani. Dopisz to do mojego rachunku.
- Willie nalał jej z dzbanka bez zbędnych uwag. Rachunek podsunął mnie.

- Dzięki - powiedziała. - Jesteś zbyt miły, żeby tu przesiadywać.
- To samo miałem właśnie powiedzieć o tobie.
- Tak, tak, oczywiście - odparła. - A potem miałeś mnie zaangażować do filmu.
-

- - Gdybym pracował w branży filmowej przed kilku laty - rzekłem. Widziałem swoją twarz w lustrze za butelkami. Miała niewinny, przymilny wyraz kojota kradnącego kurczę. - Wyglądasz na faceta, który potrafi dopiąć swego, jeśli chce.

- - Byłem tutaj przed paru dniami i widziałem cię
- - powiedziałem. - Jakiś mężczyzna i kobieta skakali sobie do oczu, a ty grałaś na maszynie grającej.
- Val wypła trochę wina. Jej papieros wypalił się niemal do cna w popielniczce. Wygrzebała drugiego z torebki, a ja trzymałem w pogotowiu kuchenną zapalną. Marlowe dworak. Byłbym świetnym lokajem.
- Tak - powiedziała - Lola z Larrym.
- O co się tak kłócili? - spytałem. Val wypła parę łyków. Żłopała wino jakby w Encino dostrzeżono Czterech Jeźdźców Apokalipsy.
- Wzruszyła przesadnie ramionami. Wszystko robiła przesadnie, jakby udawała.
- Jak się nazywasz, złotko?
- Marlowe - odparłem.
- Byłeś kiedy zakochany, Marlowe?
- Nawet jestem - powiedziałem.
- No, to poczekaj aż miłość zwietrzeje - rzekła. Skinąłem na Willie'ego, aby napełnił jej kieliszek.
- Kiedy zwietrzeje, jest jak gnijące róże. Cuchnie.
- Lola i Larry?
- Przez jakiś czas, kawał czasu temu. - Potrząsnęła głową wolnym, pokazowym ruchem. - Ale on ją rzucił.
- - A o co konkretnie w tej kłótni chodziło? - zapytałem.
- - Ona coś o nim wiedziała - odparła Val. - Zdaje się, chciała się na nim odegrać.
- Wypła łyczek.
- - Kobieta odtrącona - powiedziała ciężko. - My zostałyśmy stworzone do miłości. Potrafimy być dość jadowite, kiedy przemija.
- Znowu wypła parę łyków. Trochę wina spłynęło z kącika ust. Osuszyła je papierową serwetką.
- Musiała mieć coś na niego - rzekłem.
- Na pewno - potwierdziła Val. - Chciała, żeby popamiętał.

- Ale co na niego mogła mieć? - spytałem.
- Skąd mam wiedzieć, Marlowe. Zawsze coś można znaleźć. Prawdopodobnie także i na ciebie, jak się dobrze przyjrzeć. - Zaśmiała się znów swoim chrapliwym śmiechem i zrobiła ruch kieliszkiem w moją stronę.
- Prosit - powiedziała i jeszcze się zaśmiała. Brzeżek kieliszka był usmarowany szminką.
- - Znasz także Larry'ego - powiedziałem. Kiwnęła głową i zaczęła grzebać w torebce wyjmując z niej różne rzeczy. Puderniczkę, szminkę, zmiętą chusteczkę papierową, gumę do żucia, różaniec, pilniczek do paznokci.
- Masz może ćwierćdolarówki, Marlowe? Pchnąłem piątaka ku Willie' mu.
- Ćwierćdolarówki - powiedziałem.
- Rozmienił banknot i postawił przede mną pięć kupek monet, po cztery w każdej.
- - Jesteś dżentelmenem - powiedziała Val. Wzięła jedną kupkę monet i podeszła z nią do maszyny grającej. Po chwili wróciła i zdążyła usiąść nim zabrzmiał pierwszy
- żalony ton pieśni o jakiejś kobiecie, która kochała mężczyznę, a ten ją skrzywdził. Muzyka nastrojowa.
- - O co mnie pytałeś? - zainteresowała się Val.
- Dobrze znasz Larry'ego? - spytałem ostrożnie. Pijacy to delikatne stwory. Trzeba się z nimi obchodzić jak z napełnioną po brzegi szklanką. Wystarczy ją przechylić, a wszystko wylejesz. Znałem pijaków. Spędziłem pół życia na rozmowach z nimi w takich barach jak ten. Kogo widziałeś, co słyszałeś? Napijesz się jeszcze? Pewnie, że płacę, ja, Marlowe, wielki rozrzutnik, kumpel moczymordów, pij, moczymordo. Czujesz się samotna a ja jestem twój kumpel.
- Pewnie, że znam. Każdy zna Larry'ego. Człowieka z aparatem. Człowieka ze zdjęciami.
- Dopłało wino. Willie znowu jej nalał. Stary Willie nie jest z tych, co marnują szanse. Zapra gnęła papierosa. Wyjąłem jednego z paczki leżącej na barze, zapaliłem i podałem jej. Może nie byłbym dobrym lokajem. Może byłbym lepszym żygolakiem. Może nie chciało mi się o tym myśleć. Może za bardzo to pachniało moim domem.
- Pozowała kiedyś Larry'emu.

- Wierzę.
- Val kiwnęła głową i spojrzała na mnie.
- - Jeszcze niedawno wciąż dobrze wyglądałam bez ubrania.
- I w to wierzę - odparłem.
- Naprawdę dobrze wyglądałam.
- Czy Larry zawsze fotografuje kobiety bez ubrania?
- Oczywiście - powiedziała Val. - On widział więcej nagich kobiet niż mój ginekolog.
-
- Spodobało jej się to, co powiedziała, i śmiała się i sapała, póki się nie rozkaszała i musiałem klepnąć ją po karku, żeby jej przeszło.
- Mądry stary doktor Larry - wyzipała. - Sprzedawał te zdjęcia na bulwarach, kiedy jeszcze było o nie trudniej. Teraz chyba sprzedaje je hurtowo. Nie wiem. Komu teraz potrzebne zdjęcia porno. Nie?
- Można je dostać w każdym kiosku - powiedziałem. - A czy robił jakieś normalne fotografie? Zdjęcia modeli?
- Val stłumiła beknięcie, machinalnie dotknęła ust koniuszkami palców.
- Przepraszam - rzekła pogodnie. Z maszyny grającej płynęła następna smutna ballada. Starsza para w łóżku wstała i wyszła chwiejnie obejmując się w pasie. Kobieta miała lewą rękę wsuniętą do tylnej kieszeni męczyzny a głowę wspartą na jego ramieniu. Val wciąż uśmiechała się do mnie.
- Czy kiedykolwiek robił zdjęcia modelek?
- Kto?
- Larry.
- Ach, tak, zdjęcia modelek. - Umilkła na dłuższą chwilę. Czekałem. Czas ma dla pijaków inny wymiar.
- Nnnie - powiedziała Val. - Nigdy ich nie robił. Mówił, że robi, a nie robił i ja nie znałam nikogo, kogo fotografował.

- Miała kłopoty ze słowem *fotografował*.
- Gdzie mieszka Lola? - zapytałem.
- Lola?
- Tak.
- A co Lola?
- Gdzie mieszka?
-
- Na Kenmore - rzekła Val. - Kenmore nr 222, tuż za Franklin.
- Miała ostatnio jakieś kłopoty?
- Lola? Nie, nie miała. Co miesiąc dostawała alimenty. Ja muszę się wciąż prawować w sądzie o swoje. Bywam w sądzie częściej niż sędzia.
- Nikomu się nie naraziła ani nic?
- Val uśmiechnęła się. Szminkę miała rozmazaną od częstych wycieczek na krawędź kieliszka.
- Tylko Larry'emu - odparła Val.
- Z powodu tej kłótni?
- Aha.
- Wypiła jeszcze trochę wina. Kilka kropel ściekło jej po brodzie. Nie zwracała na to uwagi. Śpiewała teraz cicho w takt smutnej muzyki.
- Chcesz zatańczyć? - spytała. - Kiedyś tańczyłam jak łabędź.
- Łabędzie to dobrzy tancerze - powiedziałem.
- Wcale nie musisz - zastrzegła - jeżeli nie chcesz. - Kołysała się w takt muzyki.
- Jeśli to coś wolnego... - odparłem. Wstałem i wyciągnąłem ręce. Zsunęła się ze stołka, trochę się zachwiała, ale odzyskała równowagę i przysunęła się do mnie. Była tak naperfumowana, że jej woń mogłaby odeprzeć szarżującego nosorożca, ale ta woń nie pochodziła z kryształowego flakonika. Włożyła lewą dłoń w moją, a prawą rękę założyła na moje lewe ramię i zaczęliśmy się poruszać w pustym barze w takt smutnej muzyki.
- Tu się nie powinno tańczyć - rzekł Willie. Ale powiedział to bez przekonania i żadne z nas

nie zwróciło na

-
- niego uwagi. W barze panował półmrok, a całe oświetlenie stanowił blask odbity od butelek oraz lustra na ścianie, za butelkami. Tańczyliśmy wśród stołów i wzdłuż łóż, ku frontowi baru, gdzie przez brudne szyby docierało trochę słonecznego światła. Oprócz stęchłego zapachu kuchennego w barze unosił się świeży, zwodniczy zapach alkoholu, który sprawiał, że powietrze wydawało się chłodniejsze. Val oparła głowę na moim ramieniu, kiedy tańczyliśmy zataczając wolny krąg, i nuciła słowa piosenki. Znała je. Znała prawdopodobnie słowa wszystkich smutnych piosenek, tak samo jak wiedziała, ile kieliszków białego wina mieści się w dwulitrowym dzbanie. Muzyka ucichła. Ówierćdo-larówki, które wrzuciła do maszyny grającej już się zużyły, ale my wciąż tańczyliśmy, z jej głową na moim ramieniu. Val chwilę jeszcze nuciła, a potem przestała i słychać było tylko szuranie stóp w pustym barze. Val zaczęła cicho płakać nie odrywając głowy od mego ramienia. Milczałem. Na zewnątrz na Sunset, ktoś przegazowywał silnik z podwójną rurą wydechową i zmienne natężenie warkotu przedarło się przez ciszę. Przetaliśmy z Val obok stolika z czterema krzesłami, gdy nagle zwiotczała mi w ramionach. Rozstawiłem nogi, ugiąłem się w kolanach, wziąłem ją na ręce i poniosłem do łóż. Była bezwładna jak rozgotowana kluska, z rozrzuconymi i wlokącymi się po ziemi nogami. Zgiąłem się i wwindowałem ją do łóż, gdzie ją ułożyłem z zachowaniem resztek godności, jakie jej pozostały. Wille patrzył na moje wysiłki bez słowa.

- Obejdzie się bez pomocy - powiedziałem. - Ona nie waży więcej jak dwudrzwiowy buick. Dam sobie radę.
- Pijani są ciężcy - rzekł Willie.
-
- Wyjąłem jeszcze jedną dwudziestkę. Bardzo mi się one ostatnio w portfelu przeredziły. Podszedłem do baru i dałem ją Willie'mu.
- Wsadź ją do taksówki, jak oprzytomnieje - powiedziałem.
- Jak oprzytomnieje - odrzekł Willie - wypije drugi galon białego wina i znów straci przytomność.
- Dobra - powiedziałem - więc niech to zrobi.
- Wydałeś kupę forsy na tę pijaczkę - zauważył.
- Mam bogatą żonę - odparłem.
- Zapłaciłem ostatnią dwudziestodolarówką rachunek i wyszedłem w upalne, okrutne,

bezlitosne słońce.

21

Numer 222 znajdował się po lewej stronie jadąc przez Kenmore w stronę Franklin. Dom stał na niewielkim trawniku, a jego drzwi frontowe kryły się pod nawisem dachu werandy. Był to jeden z wygodnych, chłodnych bungalowów z wielkimi werandami od frontu, jakie budowano w czasach, kiedy L. A. było wygodnym, przestronnym miastem z mnóstwem słońca i bez smogu. Ludzie siadywali na tych werandach wieczorami i popijając mrożoną herbatę patrzyli jak sąsiedzi podlewają trawniki długimi spętłonymi węzami. Sypiali przy otwartych drzwiach frontowych, a siatkowych zamkniętych jedynie na haczyk. Słuchali radia, a czasem, w niedziele, siadali do któregoś z miejskich pociągów i jechali na piknik na plażę. Zaparkowałem za rogiem na Franklin i wróciłem pieszo. Trawnik przed domem zszedł na psy. Trawa tak wyrosła, że poszła w nasienie. Dom domagał się odmalowania, a siatka drzwi była w kilku miejscach oderwana i podwinięta jak końce kołnierzyka starej koszuli. Drzwi frontowe były zamknięte, ale framuga tak się zeszcła, że łatwo je otworzyłem. Przycisnąłem ramię do framugi a dłoń na płask do drzwi, pchnąłem nimi jednocześnie i znalazłem się w środku. Pachniało tam jak w pomieszczeniach, które stoją przez pewien czas puste. Po prawej stronie, za sklepionym przejściem wchodziło się do saloniku. Stał w nim tapczan z szydełkową kapą, odrzuconą w bok, jakby ktoś, kto pod nią leżał, właśnie wstał. Naprzeciwko widniał wielki stary telewizor na nóżkach. Na telewizorze stał kwadratowy stół aptekarski pełen kolorowych landrynek w celofanie. Cienki niebieski dywan roboty Indian Nawahów był wytarty, a przy tapczanie stał stolik do kawy wykonany z giętych prętów bambusowych. Leżały na nim czasopisma filmowe i jedno z prawdziwymi romansami, a także popielniczka pełna niedopałków papierosów z filtrem. Późnopołudniowe promienie słońca sączące się przez zakurzone firanki z muślinu oświetlały drobinki pyłu tańczące w powietrzu. Policja z pewnością to wszystko widziała. Wszystko obejrzała jak zwykle i cokolwiek uznała za ważne dla sprawy znalazło się w pudełku z przywieszką w magazynie. Mimo to policja nie wiedziała tego wszystkiego co ja, toteż łudziłem się, że zobaczę coś, co ona mogła uznać za nic nie znaczące. Nie znalazłem tego w saloniku. Przeszedłem do kuchni. Zrobiło się ciemno. Zapaliłem światło. Gdyby policja obserwowwała dom, zobaczyłaby mnie jak wchodzę i dawno by tu była. Sąsiedzi mogli mnie wziąć za jednego z gliniarzy. W lodówce leżało pół bochenka chleba i Tozwinięta kostka masła na spodeczku. W zamrażalniku znalazłem butelkę wódki. W naczyniu ze szkła żaroodpornego na kuchni zóółkło kilka limon, a w szafce było trochę kawy rozpuszczalnej. Na brzegu zlewu leżała kostka mydła do mycia rąk. I to wszystko. Żadnej mąki, soli, żadnego mięsa, żadnych kartofli. Tylko chleb, masło, wódka i kawa. Limony miały być zapewne przeciw skorbutowi. Zajrzałem za lodówkę, pod zlew i do pustych szafek. Wyjąłem sitko ze zlewu i zajrzałem do rury odpływowej. Sprawdziłem piecyk i czy nic nie zostało wsunięte pod linoleum. Rozwinąłem rolety, przysunąłem krzesło, wszedłem na nie i zajrzałem do klosza lampy kuchennej. W czasie tej czynności usłyszałem za sobą głos:

- - Nie ruszaj się, przyjemniaczku.
- Miałem rewolwer w kaburze pod pachą, ale równie dobrze mógłbym go mieć w kufrze

samochoду, kiedy tak stałem z rękami nad głową. Znieruchomiałem.

- - Teraz połóż ręce na głowie i zejź na podłogę – rzekł głos. Był to cichy głos bez akcentu, ale z cudzoziemskim nalotem.
- Udało mi się jakoś zejź z krzesła trzymając ręce na głowie, nie uszkadzając przy tym rzepki w kolanie.
- - Odwróć się - powiedział głos. W jego cichości nie brzmiało nic łagodnego. Była to cichość syku węża. Odwróciłem się.
- Stało ich dwóch. Jeden to Kalifornijski Plaźowicz, bardzo opalony, bardzo umięśniony, z ilością rozumu zezwalającą na rozpoznanie, z której strony pałki jest rączka. Był w białych spodniach, kwiecistej koszuli i trzymał w ręku kolta kaliber 11,43 mm, jakich kiedyś używano w wojsku. Trzymał go na sposób południowokalifornijski, prawie na płask w dłoni, nie mierząc w nic szczególnego, ale zwrócony w moim ogólnie kierunku. Ten drugi był niższy
- i szczuplejszy. Miał na sobie czarny garnitur, czarną koszulę, wąski czarny krawat i poruszał się z ogromnym wdziękiem. Nawet stojąc nieruchomo wyglądał na tancerza. Miał gęsty czarny wąsik i dość długie czarne włosy szesane do tyłu. Ciemne oczy nie zdradzały żadnych uczuć. Głos należał do niego.
- No, więc przyjemniaczkę, powiedz mi, kim jesteś i skąd się tu wzięłaś na krzesło w kuchni. Takie rzeczy.
- A kto pyta? - odparłem.
- Uśmiechnął się bez wyrazu i wskazał pistolet automatyczny plaźowicza.
- - Och - rzekłem - on. Znam go. On na mnie nie robi wrażenia.
- - Twardziel - powiedział. Spojrzał na plaźowicza.
- - Sami twardziele - dodał. Bardziej bym mu zaimponował, gdybym zamachał uszami.
- - Mam mu odstrzelić kawałek czegoś, Eddie? Żeby zrozumiał, że nie żartujemy?
- Eddie potrząsnął głową.
- - Nazywam się Garcia - rzekł. - Eddie Garcia.
- - Wskazał ruchem głowy plaźowicza. - A to jest J. D. Cudny, co nie?
- Piękny - odparłem. - Czy jak pociągnie za cyngiel tego czegoś to trafi, w co wymierzył?
- Z tak bliska? - Eddie uśmiechnął się. Miało to taki efekt, jakby przez płaski kamień przesunął się promień światła. Kamień się nie zmienił.
- - Reprezentujemy bardzo ważną osobistość, która interesuje się tym domem i jego mieszkańcem i chcemy jej donieść, co tutaj robiłaś i dlaczego. W przeciwnym razie będziemy

musieli dostarczyć jej twoje ciało w bagażniku samochodu.

- Kiwnąłem głową.
- - A kto jest tą ważną osobistością?
- Garcia potrząsnął głową. J.D. odciągnął kciukiem kurek kolta. Patrzyłem na Garcie. J.D. się nie liczył. Obsydianowe oczy bez wyrazu patrzyły na mnie bez drgnienia powieki. Wiedziałem, że zrobiłby to.

- Nazywam się Marlo we - powiedziałem. - Jestem prywatnym okiem rozpracowującym pewną sprawę. Może zaprowadzicie mnie do tej ważnej osobistości, a ja jej powiem resztę. Może nasze interesy są zbieżne.
- Wiesz, kto jest właścicielem tego domu? - spytał Garcia.

- - Kobieta imieniem Lola - odparłem. - Ona nie żyje. Garcia kiwnął głową. Patrzył na mnie bez wyrazu.
- Zakładałem, że właśnie myśli.
- - Dobra - rzekł. - Masz kopyto pod lewym ramieniem. Muszę ci je zabrać. I chcę zobaczyć jakiś dowód tożsamości.
- - Portfel jest w lewej tylnej kieszeni - powiedziałem. Garcia przybliżył się, wyjął mój rewolwer z kabury pod pachą, potem portfel z tylnej kieszeni i odsunął się, a wszystko jakby jednym harmonijnym ruchem. Wsunął rewolwer do bocznej kieszeni i otworzył mój portfel. Popatrzył chwilę na fotostat licencji a później zamknął portfel i podał mi go. Zdjąłem dłoń z głowy wziąłem portfel i wsunąłem do tylnej kieszeni.
- - Dobra, przyjemniaczku - rzekł Garcia. – Jedziesz z nami.

- Wyszliśmy gęsiego: Garcia, ja i J.D. Garcia siadł za kierownicą lincolna. J. D. i ja usiedliśmy z tyłu. Ruszyliśmy po Franklin na zachód z podniesionymi szybami i włączoną klimatyzacją. Nikt nic nie mówił. Przy Laurel Canyon zjechaliśmy w Sunset a potem jechaliśmy Sunset, przy którym domy stawały się coraz większe a trawniki rozleglejsze w miarę mijania Zachodniego Hollywood i Beverly Hills, aż dojechaliśmy do Bel Air. Przejechaliśmy bramę Bel Air i minęli posterunek prywatnej policji zagłębiając się coraz bardziej w Bel Air, póki Garcia nie zatrzymał lincolna przed ponad trzymetrową żelazną bramą ze złożonymi szpikulcami u góry. Opuścił szybę, gdy facet w granatowej bluzie i szarych spodniach wyszedł z budki przy bramie. Facet zajął do wnętrza samochodu, zobaczył Garcie i wrócił do budki. Zobaczyłem, jak podnosi słuchawkę telefonu, po chwili brama powoli się otworzyła i Garcia wjechał. Na razie nie było widać domu tylko krętą drogę dojazdową wysypaną czymś białym, jakby skruszonymi muszlami ostryg. Światła reflektorów samochodu oświetlały las kwitnących krzewów i niskich drzewek, których po ciemku nie mogłem zidentyfikować. Zjechaliśmy z niewielkiego wzgórza, wspięliśmy się na nieco wyższe i skręciliśmy w bok. Dom, który pojawił się przed nami, nie był aż tak duży, aby móc zmieścić całą Kalifornię. Najwyżej tylko ludność

całego Los Angeles, lecz za to wygodnie. Był oświetlony z zewnątrz punktówkami: białe mury ze szczytami, wieżycami i wąskimi tudorskimi oknami o romboidalnych szybkach. Wjechaliśmy w wielką bramę i zatrzymaliśmy się. Pojawiło się dwóch ludzi w granatowych bluzach, aby otworzyć drzwi.

- Pracujecie dla Walta Disneya? - zapytałem.
 - Trochę to pretensjonalne - przyznał Garcia. Wysiadł z samochodu, po nim ja, a po mnie J.D.
 - Zaczekaj tu, J.D. - rzekł Garcia.
 - Długo to zajmie, Eddie? - spytał J.D. - Mam jeszcze coś do zrobienia dziś wieczorem.
-
- Garcia przystanął, odwrócił wolno głowę i spojrzał na J.D. Nie powiedział ani słowa. J.D. przestąpił z nogi na nogę. Potem próbował się uśmiechnąć.
 - - Nie ma pośpiechu, Eddie - rzekł. - Wszystko inne może poczekać.
 - Garcia kiwnął głową i poszedł w stronę frontowych drzwi. Szedł zupełnie bez wysiłku, jakby płynął. Podążyłem za nim. Jedna z Bluz otworzyła nam prawą połowę podwójnych drzwi. Miały ze trzy metry wysokości i były nabijane wielkimi kutymi gwoździami. Wewnątrz, przez całą długość domu, ciągnęła się kamienna podłoga, a w głębi przeszklone drzwi wiodły do czegoś liściastego. Z lewej strony centralnego korytarza biegły ogromne zakrzywione schody. Sufit znajdował się na wysokości jakichś dziewięciu, dwunastu metrów, zwisał z niego olbrzymi żelazny kandelabr, w którym migotały świece. Prawdziwe świece na ogromnym żelaznym kole. Było ich chyba ze sto. Stanowiły jedyne źródło oświetlenia hallu. Przez całą długość kamiennej posadzki biegł wschodni chodnik a na ścianie wisiały gobeliny przedstawiające średniowiecznych rycerzy na tłustych koniach o delikatnych nogach. Drzwi frontowe zamknęły się za nami. Pojawił się lokaj. Otworzył jedne z drzwi po prawej stronie i przytrzymał.
-
- - Proszę za mną - rzekł. Weszliśmy przez bibliotekę z półkami wypełnionymi aż po trzymetrowy sufit i z wielkimi świecami płonącymi na dwumetrowych świecznikach. Był tam kominek, do którego mógłbym wjechać konno. Z prawej strony kominka otworzyły się inne drzwi i weszliśmy za lokajem do czegoś, co gdyby było trzy razy mniejsze, mogłoby ująć za czyjś gabinet. Przeciwległa ściana, cała ze szkła, odsłaniała basen i oświetlony ogród. Basen wyglądał na coś leśnego, z pnączami i inną roślinnością zwieszoną nad wodą i skalnym wodospadem wpadającym do niebiesciutkiej wody u odległego końca. Przy drugiej ścianie mieścił się bar, telewizor, podświetlony globus wielkości bliskiej oryginału, zielone skórzane meble z gatunku wyściełanych kanap i klubowych foteli porozrzucane po zielonej marmurowej podłodze oraz tu i ówdzie perski dywan, by móc na nim stanąć, gdy się komuś zmęczą nogi. Na ścianie z prawej, za biurkiem mogącym służyć jako lądowisko dla helikopterów, ubrany w czerwony smoking z czarnymi jedwabnymi kłapami, siedział mężczyzna o szczupłej, ostrej twarzy, białych jak śnieg, krótko przystrzyżonych włosach i tej fałszywej opaleniznie, którą

każdy w Południowej Kalifornii uważa za konieczną, aby dowieść, że nie musi mieszkać tam, gdzie jest smog. Widziałem kiedyś portret tego faceta wiszący na ścianie. Ostra Twarz palił fajkę z białej glinki z cybuchem niemal na pół metra, jakie widnieją na starych holenderskich obrazach. Spojrzał na mnie jak wilk na barani kotlet, włożył cybuch w usta i pyknął.

- - Jeśli spotkasz ludzi, którzy grają w kręgle na pagórkach - powiedziałem - nie pij niczego, czym cię poczęstują.
- Ostra Twarz nie zmienił wyrazu. Może nie mógł.
- - Facet nazywa się Marlowe, panie Blackstone – rzekł Garcia. - Myśli, że jest twardziel, i myśli, że jest dowcipny.
- Głos Blackstone’a brzmiał jakby ktoś sypał piasek przez lejek.

- Nie sądzę, aby był jednym czy drugim - rzekł. Puściłem to mimo uszu.
- Natrafiliśmy na niego w tym domu na Kenmore - rzekł Garcia. - Szperał w nim.

- Blackstone kiwnął głową. Ciągle trzymał długi cybuch w ustach, a miseczkę fajki w prawej dłoni.

- Czemu?
- Mówi, że jest prywatnym okiem. Ma kalifornijską licencję i rewolwer.
- Co jeszcze?
- Nie chciał mówić. Powiedział, że chce rozmawiać z panem. Pomyślałem, że może pan też zechce z nim porozmawiać.

- Blackstone kiwnął głową, jeden raz. Z aprobatą Garcia nie sprawiał wrażenia, że dbał, czy Blackstone to aprobuje. Z drugiej strony, Blackstone nie sprawiał wrażenia, że dbał, czy Garcia o to dba. Obaj nie należeli do ludzi, którzy noszą serca na rękawach. Blackstone przeniósł wzrok na mnie. Oczy miał bladoniebieskie, niemal szare.

- Co jeszcze? - spytał szeptem jak szmer piasku.
- Powiedziano mi, że mieszka tam kobieta imieniem Lola. Ma pewien związek ze sprawą.
-

- - I?

- - I pomyślałem, że dobrze byłoby obejrzyć jej dom, zobaczyć czy czegoś w nim nie znajdę.
- Blackstone czekał. Czekałem i ja. Eddie Garcia też czekał. Miałem wrażenie, że Eddie potrafi czekać całe wieki.

- I?
- I co pana interesuje? - zapytałem. Blackstone spojrział na Garcię a potem znowu na mnie.

- Może powinienem kazać Eddiemu nauczyć pana grzeczności.
- Może powinien pan przestać straszyć na śmierć, i podzielić się ze mną tym, co pan wie. Może nie jesteśmy adwersarzami.
- Adwersarzami. - Blackstone wydał odgłos, który zapewne miał znamionować śmiech. - Szpicel intelektualista.

- - Żona czytuje mi wieczorami - powiedziałem. Blackstone powtórzył odgłos.

- Ma żonę, która umie czytać - dodał. - Wie pan, że Lola Faithful nie żyje?
- Wiem, trafiona z bliskiej odległości w głowę z broni małokalibrowej, w biurze fotografa na Western Avenue.
- A co pan ma z tym wspólnego? - spytał Blackstone.
- Ja znalazłem ciało.

- Blackstone odchylił się trochę w fotelu. Wypchnął leciutko dolną wargę.

- Pan - powiedział.
- Tak i dlatego zainteresowało mnie, kto mógł ją zabić.
- Ma pan jakąś teorię?
- Niezupełnie teorię - odparłem.
-

- Blackstone patrzył na mnie przez chwilę, następnie spojrział na Garcię, a później znów na mnie.
- - Ja też chciałbym wiedzieć, kto ją zamordował - rzekł.

- Czulem, że to może pana zainteresować - powiedziałem. - Mniej więcej wtedy, kiedy pana chłopcy rzucili się na mnie w domu Loli. I myślę, że pan niewiele o tym wie, bo po co posyłałby ich pan, żeby przeszukali dom. Myślę też, że sprawa jest dla pana bardzo ważna, skoro jednym z tych facetów jest pana główny chłopak.
 - Czego jeszcze pan się domyśla? - szepnął Blackstone.
 - Ważne jest, czego się nie domyślam. A nie domyślam się, czy jest pan ciekaw, kto zabił Lolę, ze względu na nią, czy na tego, kto ją zabił.
-
- Znowu Blackstone spojrzał na mnie bez wyrazu. I znowu przeniósł wzrok na Garcie, co prawdopodobnie było u niego przejawem niezdecydowania.
-
- Nie znam Loli Faithful - rzekł.
 - A więc martwi się pan o tego, kto ją zabił - powiedziałem.
 - Gliny myślą, że fotograf - rzekł.
 - Gliny myślą to, co oczywiste - odparłem. - Zwykle mają rację.
 - A pan?
 - Ja myślę, że nie on.
 - Czemu?
 - Bo to do niego nie pasuje.
 - I to wszystko? - spytał Blackstone.
 - Tak.
 -
-
- Był pan kiedyś gliną?
 - Tak - odparłem. - Ale już nie jestem. Gliny nie mogą decydować, czy coś do kogoś pasuje, czy nie. Oni widzieli zbyt wielu morderców, którzy wyglądają na chórzystów. Nie mają czasu się zastanawiać, czy coś do kogoś pasuje. Muszą wrzucać wszystko do wspólnego leja i brać, co wypłynie na wierzch.
 - Pan mi wygląda na romantyka, panie Marlowe.
 - A pan nie, panie Blackstone.
 - Bo i nieczęsto nim bywam - rzekł Blackstone.
-
- - Wie pan, że znam pana córkę? - spytałem. Blackstone nie powiedział nic. Był to jego sposób na okazanie zdziwienia.
-
- Nie wiedziałem - odparł.
 - Wyszła za fotografa - powiedziałem.

- W pokoju zapanowała cisza, którą przerwało tylko niemal niedosłyszalne westchnienie Blackstone'a. Tylko jedno westchnienie. A potem cisza. Powiedzenie tego było ryzykowne. Mógł nie znać związku pomiędzy Lesem i Lar-rym. Mógł również znać. Prędzej czy później dowiedziałby się, że znałem Muriel, a także Lesa i Larry'ego, i jeśli niebezpiecznie było mówić mu o tym teraz, to jeszcze niebezpieczniej byłoby, gdyby się później dowiedział, że zataiłem to przed nim. Czuję za plecami obecność Garcii z moim rewolwerem w kieszeni. Blackstone odłożył długą fajkę, wsparł brodę na złożonych dłoniach i patrzył na mnie w milczeniu.
- - Panie Marlowe - rzekł w końcu - chyba po winniśmy się czegoś napić.

22

- Siedziałem w zielonym skórzanym fotelu.
- - Les był winien facetowi forszę - powiedziałem. Miałem w ręku wielką szklanę szkockiej z wodą sodową. Szkocka pochodziła z kryształowej karafki, a woda sodowa z syfonu. Blackstone pił to samo. Garcia nie pił nic. Stał przy ścianie koło baru jakby czas zatrzymał się w miejscu i miał ruszyć dopiero na jego rozkaz. Nie słuchał czy też nie słyszał. Po prostu trwał przy barze w pełni rozluźniony.
- I facet mnie najął, żeby go odnalazł.
- Kim jest ten facet? - spytał Blackstone. Potrząsnąłem głową.
- Klient ma prawo do anonimowości - rzekłem.
- Gdzie pan, pana zdaniem jest, Marlowe? - spytał Blackstone. - W jakimś sądzie?
- Facet w mojej branży ma niewiele do zaoferowania: trochę odwagi, trochę przebiecia i trochę tajemnicy.
- Założyłem nogę na nogę i oparłem szklanę o kolano.
- Jeżeli mam pozostać w swojej branży, nie mogę chodzić i rozpowiadać o wszystkim byle komu.
-
- Ja nie jestem byle kto, Marlowe.
- Pewnie że nie - odparłem. - Jest pan półtora gościa. Podpora społeczeństwa, czy czego tam, kto mieszka w tej dzielnicy. Założę się, że zasiada pan w zarządach wielu ważnych spółek.

- Blackstone kiwnął głową.
- I dlatego - powiedziałem - każe pan chodzić za sobą Eddiemu Garcii.
- Człowiek miewa wrogów, Marlowe.
- A Eddie się nimi zajmuje.
- Ilekroć zachodzi potrzeba.
- - Oczywiście - powiedziałem. Eddie Garcia po drugiej stronie pokoju ani drgnął. Dla niego mogliśmy rozmawiać choćby o cenie radnych miejskich.
- W każdym razie - powiedziałem i łyknąłem trochę szkockiej, która rozlała mi się łagodnie w ustach. Za butelkę tego płynu trzeba by chyba zapłacić cały mój tygodniowy zarobek. - Rzecz wydawała się dość prosta.
- Ale nie była - rzekł Blackstone.
- Nie - odparłem. - Zacząłem od jego żony, pana córki. Powiedziała, że Les przebywa gdzieś na planie i robi zdjęcia reklamowe do filmu. Kiedy u niej byłem, zobaczyłem zdjęcie znanej modelki z podpisem Lesa.
- I sprawdził pan tę wytwórnię filmową - powiedział Blackstone. - Ale tam o nim nie słyszano. Sprawdził pan modelkę. Ona też nigdy o nim nie słyszała.
- Widzę, że Eddie nie marnował czasu - zauważyłem. Blackstone wypił łyczek whisky.
- Wróciłem więc i przeszukałem jego dom.
-
- - Dom mojej córki - powiedział Blackstone.
- - Zapewne pana dom - odparłem. - Założę się, że Les nie wydał na ten dom ani jednego centa.
- - Podarowałem go jej. Kiwnąłem głową.
- - W jednej z szuflad znalazłem mandat za nieprawidłowe parkowanie. Poszedłem jego tropem, znalazłem adres i fotografa nazwiskiem Larry Victor pod tym adresem. Rozmawiałem z nim. Powiedział mi, że zna Lesa, ale Les wyjechał z miasta. Zacząłem go śledzić. Poszedłem za nim do baru i widziałem, jak się kłóci z Lolą Faithful. Zgubiłem Larry'ego i wróciłem, żeby przeszukać jego pracownię.
- Blackstone przerwał mi.

- Dlaczego?
- A dlaczego nie? - spytałem. - Nie miałem innego śladu, a on mówił, że zna Valentine'a.
- Blackstone kiwnął głową.
- Wszedłem i zobaczyłem Lolę z mózgiem na podłodze.
- A ten Larry?
- To Valentine - odparłem. - W peruce i szklach kontaktowych.
- Gdzie on jest?
- Nie wiem - odparłem.
- No, cóż - rzekł Blackstone - dużo pan osiągnął, ale jeszcze za mało. Wie pan, czemu Valentine przebiera się za Victora?
- Albo vice versa - powiedziałem. - Nie wiem. Blackstone kiwnął głową.
- Chciałbym wiedzieć dwie rzeczy - powiedziałem.
-
- Pociągnąłem łyczek szkockiej i rozsmakowywałem ją z zachwytem.
- Pierwsza to, czemu szukał pan Valentine'a, a druga, czemu kazał pan Garcii obserwować dom Loli?
- Jest pan, jak się zdaje, ze mną szczery, Marlowe. Do pewnego punktu. Szukam Valentine'a, bo go nie ma i moja córka martwi się o niego. Co do Loli Faithful, kobieta o tym nazwisku usiłowała szantażować moją córkę.
- - Czym? Blackstone potrząsnął głową.
- - Córka mi nie mówiła, a ja nie pytałem. Powiedziałem córce, że każę Eddiemu z nią porozmawiać. Eddie wyjeżdżał na parę dni za interesami, a kiedy wrócił, poszedł do Loli i dowiedział się, że ją zamordowano.
- Blackstone łyknął trochę szkockiej. Jej smak go nie zachwycił. Był do niej przyzwyczajony.
- Rozumie pan teraz moje zainteresowanie - rzekł. Kiwnąłem głową.

- A pana córka?
- - Powiedziałem jej tylko, że ta kobieta nie żyje. Nie pytałem o nic.
- Siedzieliśmy chwilę w milczeniu wchłaniając zapach szkockiej i zastanawiając się nad swoimi wzajemnymi zamiarami. W końcu zapytałem:
- - Jaki jest pana stosunek do Lesa Valentine'a, panie Blackstone?
- Blackstone ujął szklankę szkockiej w obie dłonie i zaczął wolno obracać, jakby chciał się nią zachwycać ze wszystkich stron. Wolniutko wciągnął nosem powietrze i jeszcze wolniej je wypuścił.
- Jest on kłamcą, kobieciarzem, drobnym złodziejaszkiem, oportunistą, głupcem i pechowym, zapewne nałogowym graczem, który ma tyle kośćca moralnego co mlecz. I moja córka go kocha. Póki ona go kocha, poty on będzie dla mnie cudem natury. Będę go utrzymywał. Będę go strzegł przed tymi, którzy mu źle życzą. Póki jest mężem mojej córki, poty należy do rodziny.
- Mimo że jest człowiekiem, któremu nie można ufać
- - powiedziałem.
- - Nie jestem dobrym ojcem, Marlowe. Mam tylko tę córkę. Jej matka już dawno nie żyje. Odnoszę się do mojej córki z pobłażliwością, niewątpliwie z przyczyn samolubnych. Jeżeli ona pragnie być żoną człowieka, który nie zasługuje na zaufanie, to jest on, że tak powiem, moim człowiekiem, który nie zasługuje na zaufanie.
- - Człowiek, który nie zasługuje na zaufanie jest w domu - powiedziałem. - Sam go tam odstawiłem.
- - Więc nie wyjawiał mi pan wszystkiego – rzekł Blackstone.
- Wcale nie mówiłem, że wyjawię.
- Ciekawy z pana człowiek, Marlowe. Nie chciał mi pan tego powiedzieć, zanim się pan upewnił, co zrobię z informacją.
- Nie powiedziałem ani słowa.
- - Podziwiam to, Marlowe. Ale niech pan nie popełni błędu i nie pomyli podziwu z cierpliwością. Mogę pana wyeliminować jednym ruchem głowy. I zrobię tak niechybnie, jeśli to posłuży mojemu celowi.
- Każdy może każdego wyeliminować, panie Blackstone. Kiedy człowiek zda sobie z tego

sprawę, wówczas wszystko nabiera właściwych proporcji.

- Gdzie go pan znalazł?
- W jego pracowni - skłamałem. - Powiedziałem mu, że lada chwila przyjedzie po niego policja i pojechał ze mną.

- A gdzie się podziewał? Wzruszyłem ramionami.
- Nie mówił.

- Blackstone przyłożył szklanekę do ust, zorientował się, że jest pusta i skinął, nie patrząc, na Garcję. Eddie natychmiast podszedł z karafką i syfonem. Spojrzał na mnie. Potrząsnąłem głową. Wrócił na swoje miejsce przy barze.
- - Uważaj, Marlowe. Ja nie żartuję. Więc bardzo uważaj.
- - Oczywiście - odparłem. - Nie weźmie mi pan za złe, jeśli co jakiś czas skubnę sobie kawałek rzepy?
- - Eddie, odwieź go do domu - rzekł Blackstone. - Kiedy znajdziecie się na miejscu, oddaj mu jego rewolwer.
- - To znaczy do domu Loli - powiedziałem – jeszcze nie skończyłem go przeszukiwać.
- Blackstone prawie się uśmiechnął.
- - Zawieź go, dokąd zechce, Eddie.
- Tym razem za kierownicą siedział J.D. a Eddie ze mną na tylnym siedzeniu. Gdy przyjechaliśmy na Kenmore, Eddie sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął mój rewolwer. J.D. zatrzymał się przed domem Loli. Dom był cichy. Na ulicy panowały ciemności. Wysoko na niebie blady księżyc świecił prosto na nas. Garcia podał mi rewolwer.

- - Niezły z ciebie numer, Marlowe - rzekł. - Muszę ci to przyznać. Wetknąłem rewolwer pod pachę i wysiadłem z samochodu. J.D. wrzucił bieg. Uniosłem rękę w geście pożegnania, kiedy odjeżdżali.

23

- Gdy wychodziłem z domu Loli Faithful była 3:37 w świetle księżycyca na moim zegarku. Niczego nie znalazłem, ale też i nikt nie pojawił się jak spod ziemi z wycelowanym we mnie pistoletem. Było za późno, by wracać do domu. Jechałem wolno. Hollywood opustoszało, domy stały ślepe i zagubione, a wszystkie bary zostały odmienione księżycowym blaskiem. Tylko neony na Sunset nie spały. Te nigdy nie zasypiają. Jaskrawe, rześkie i sztuczne, pełne hollywoodzkich obietnic. Dni przychodzą i odchodzą. Neon trwa wiecznie. Próbowałem sobie wyjaśnić, czemu tu jestem, sam, w nocy, na Sunset Boulevard i dumam nad neonami. Miałem klienta, ale on z całą pewnością nie zatrudnił mnie, bym chronił Valentine'a i starał się znaleźć

zabójcę Loli. Od dłuższego czasu nie zmrużyłem oka. Od dłuższego czasu nic nie jadłem, a żytniówka wypita na obiad i szkocka na kolację już wyparowały i sprawiały, że czułem się częścią Sunset Boulevard o 3:30 nad ranem i nie miałem dokąd się udać. Miałem piękną żonę, która teraz spała w domu, w wygodnym łóżku, z ręką zgiętą na czole i leciutko rozchyłonymi ustami. Gdybym położył się teraz koło niej, obróciłaby się na bok i objęła mnie ramieniem. Co mnie obchodzi, że to łóżko jest jej własnością? Co mnie obchodzi, że Les Valentine zabił Lolę Faithful? Czemu nie daję policji rozwikłać tej zagadki? Przy Western Avenue skręciłem w stronę Hollywood Boulevard. Nie miałem żadnego celu. Nie zmierzałem w żadnym określonym kierunku. Wszystko mi było jedno, dokąd jadę. Przejechałem obok domu, w którym była pracownia Larry'ego. Kilka metrów za nim zwolniłem, zawróciłem i pojechałem wolniutko z powrotem. Coś poruszyło się w drzwiach budynku. Pewnie jakiś włóczęga, który się skrył przed blaskiem księżyca. Czemu nie miałbym tego sprawdzić? To sprawa bez znaczenia. Zatrzymałem się przed wejściem do budynku, wyjąłem latarkę ze schowka na rękawiczki i poświeciłem. Stała tam skulona przed blaskiem latarki Angel, druga żona Lesa. Zgasilem latarkę i wysiadłem z samochodu, a wtedy ona wypadła na ulicę i pobięła wzdłuż Western w stronę Hollywood Boulevard. Jakby mi jeszcze tylko brakowało ścigania się z nią. Nabrałem głęboko powietrza i pomknąłem za nią. Złapałem ją, kiedy skręcała w Hollywood na zachód. Pewnie bym jej nie złapał, gdyby nie złamała obcasa pantofelka. - To ja - powiedziałem. - Marlowe, ten, który odjechał z Larrym. Dyszała ciężko i łkała ze strachu, nie bardzo mogąc się połapać, kim jestem. Trzymałem ją za ręce, a ona starała się wyrwać.

- - Marlowe - powtórzyłem - twój kumpel, twój opiekun, twój powiernik. Nie zrobię ci krzywdy.
- Zaczęła się mniej szarpać, potem jeszcze mniej i wreszcie w ogóle przestała, ciężko dysząc, z trzęsącymi się barkami i łzami spływającymi po twarzy. Wciąż trzymałem jej przeguby rąk, ale już nie starała się uderzyć mnie ani uwolnić się ode mnie.
- - To ja - powiedziałem jeszcze raz - Marlowe, księżycowy rycerz. Nędzny wybawiciel dam w wejściach do domów.
- Byłem tak zmęczony, że sam nie wiedziałem, co mówię.
- - Gdzie jest Larry? - zapytała.
- Nie odpowiedziałem. Nagle oślepił mnie błysk latarki z samochodu, który wyjechał z Western i zatrzymał się przy krawężniku obok nas.

- Nie ruszać się - rzekł jakiś głos. Był to policyjny głos, trochę srogi, a trochę znudzony. Stanęli z obu stron.
- Ręce na dach samochodu - powiedział jeden z nich.

- Położyłem dłonie na dachu samochodu. Jeden kopniakiem rozstawił mi nogi i obmacał od góry do dołu. Wyłuskał rewolwer spod mego ramienia. To mi kazało się zastanowić, po co go w ogóle noszę, skoro mi go wciąż zabierają. Potem policjant odstepił w tył.

- - Jakiś dowód tożsamości? - spytał.
- Wyjąłem portfel i podałem mu. Policjant obejrzał zawartość w świetle latarki. Obaj byli po cywilnemu, jeden gruby, z przekrzywionym krawatem. Drugi, ten, który mówił, był wysoki, szczupły i w okularach. Miał na sobie dzinsy, koszulkę z krótkimi rękawami i pistolet wetknięty za pas z przodu.
- - Jestem Bob Kane - rzekł zwracając mi portfel.
- - Może mi pan powiedzieć, czemu ścigał pan tę panią?
- - Chciałem ją odwiedzić do domu - odrzekłem. Kane uśmiechnął się radośnie.
- - Słyszałeś, Gordy? - powiedział do swego grubego współnika. - Facet chciał po prostu odwiedzić ją do domu.
- Gordy miał wciąż w ręku pistolet, ale zwrócony lufą w ziemię.
- Gówno prawda - rzekł Gordy. Był w szeroko-skrzydłej panamie z szeroką kwiecistą opaską.
- Nie wyglądało na to, że ona chce gdzieś jechać - powiedział Kane. - Wyglądała, jakby za wszelką cenę chciała od pana uciec.
- Bo mnie nie poznała - wyjaśniłem.
- Zna pani tego faceta? - spytał Kane. Jego okulary miały wielkie krągłe soczewki, zza których spoglądały miło bezlitosne oczy, nieco powiększone.
- Angel kiwnęła głową.
- Znam - odparła.
- Więc czemu pani uciekała?
- Bo jak mówi, nie poznałam go.
- Dobrze go pani zna?
- On jest... przyjacielem mego męża.
- Ach tak? - rzekł Kane. - Czy to prawda, Marlowe?
- Znałem jej męża - potwierdziłem.
- Tak? - Kane odstąpił i oparł się o drzwi nieoznakowanego radiowozu. Założył długie ręce i przyglądał nam się chwilę.
- Marlowe - spytał - czy nie jest pan tym, który znalazł zwłoki w pracowni jej męża?
-
- Tak - odparłem. Sprawy przybrały kiepski obrót i czułem, że to się nieprędko odmieni.
- A teraz wałęsał się pan koło tej pracowni i przypadkiem natknął się na jego żonę i zaczął

ją ścigać, bo ona pana nie poznała?

- Właśnie - powiedziałem.
- Gdybym był sprytnym gliną - rzekł Kane - to nie sterczałbym tu o czwartej rano w zasadzce. Więc to jest prawdopodobnie dla mnie za mądre, ale wygląda mi na podejrzany zbieg okoliczności, jeżeli pan dobrze mnie rozumie.
- Pan jest za skromny - powiedziałem.
- Tak, chyba tak, to moja wada - rzekł Kane. - Nie zamierza pan wybrać się gdzieś daleko, Marlowe?

- Wzruszyłem ramionami.
- - Chce pani, żeby ten człowiek odwiózł panią do domu, pani Victor?
- Angel kiwnęła głową.

- Świetnie - rzekł Kane. - To jedźcie.
- Bob - powiedział Gordy - powinieneś ich aresztować.
- Po co? - spytał Kane.
- No, żeby ich przesłuchać, potrzymać do rana, dać porucznikowi z nimi porozmawiać.
- Pani martwi się o swego męża - powiedział Kane. - Niech wraca do domu.
- A bodaj cię, Bob - rzekł Gordy.
- Gordy - upomniał go Kane. - Jeden z nas jest sierżantem, a drugi nie. Pamiętasz który?
- Ty, Bob.
-

- Kane kiwnął głową. - No, dobra, niech pan odwiezie panią Victor do domu, Marlowe. My pojedziemy za wami na wszelki wypadek. Oddał mi rewolwer, a ja wsadziłem go sobie pod ramię na wypadek, gdyby ktoś znów chciał mi go zabrać. Poszliśmy z Angel do mego samochodu i odjechaliśmy. W lusterku wstecznym widziałem światła nieoznakowanego radiowozu, który podążał za nami.

•

- Gdzie jest Larry? - spytała Angel. Wydawała się malutka na przednim siedzeniu obokjennie. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał 4:07.
- W bezpiecznym miejscu.
- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę - powiedziała.

- - To teraz niemożliwe - odparłem. – Zaprowadziłabyś policję wprost do niego.
- A gdzie on jest?
- Lepiej, żebyś nie wiedziała.
- Jestem jego żoną, panie Marlowe. - Usiadła twarzą do mnie.
- Dlatego właśnie policja cię śledzi.
- Śledzi?
- Myślisz, że znaleźli się tam przypadkiem? Chodzą za tobą krok w krok.
- Obróciła się i spojrzała na światła jadącego za nami samochodu.
- - Śledzą mnie?
- Zupełnie jakby ostatnie pół godziny w ogóle nie istniało.
- Tak jest, szanowna pani - odparłem.
- Czy on się dobrze czuje? - zapytała. Oderwała wzrok od jadącego za nami samochodu, podkurczyła nogę pod siebie i położyła ramię na oparciu siedzenia. Mówiąc pochyliła się trochę ku mnie.
- Świetnie, Angel. Jest bezpieczny. Tęskni za tobą. Kiwnęła głową.
- A ja za nim.
- Poza naszymi dwoma samochodami nie było innych na drodze do Venice. Policjanci jechali o kilka długości za nami.
- - Kim pan jest? - spytała Angel.
- Marlowe - odparłem. - Jestem prywatnym detektywem.
- Jest pan przyjacielem Larry'ego?
- Spotkałem go tylko raz przed tym wieczorem, kiedy uciekliśmy glinom.
- Więc czemu mu pan pomaga?
- Nie mam pojęcia - odparłem.
- To żadna odpowiedź - powiedziała. Reflektory policyjnego samochodu oświetlały wnętrze

mojego. W tym oświetleniu jej oczy były wielkie, ciemne i pełne słodyczy.

- Masz rację - odrzekłem. - Nie sędzę, aby zabił tę kobietę, ale wygląda na człowieka, który ma trochę kłopotów. Nie jest twardy i nie ma powiązań. Jest facetem jakich gliny chętnie przyskrzyniają. Osądzą go na nocnej sesji w Bay City i wsadzą w drelichy na dwadzieścia lat do dożywocia, nawet się nie zastanawiając, jak wplątał się w to wszystko.

-

- Larry nie mógłby nikogo zabić.
- Nie - zgodziłem się. - Ja też tak uważam. Masz z nim ślub?

- Kiwnęła głową. W tym kiwnięciu głową była dumna, zadowolenie i coś jeszcze, coś opiekuńczego, jak u młodej matki, kiedy ją zapytać, czy to jest jej dziecko.

- Od prawie czterech lat.
- Słyszałaś kiedyś o człowieku nazwiskiem Les Valentine?
- Nie.
- A o kobiecie nazwiskiem Muriel Blackstone?
- Też nie.

- Byliśmy na Wilshire, a gdy dojechaliśmy do Pacyfiku, skręciliśmy w lewo, wzdłuż pustej plaży. Światło księżyca na falach podkreślało pustkę oceanu i jego bezkres, ciągnący się od Zanzibaru.

- Larry ma kłopoty, prawda?
- Jest poszukiwany za zabójstwo - odparłem.
- Ale on go nie popełnił. Ma inne kłopoty - powiedziała. - Te, które pana do niego sprowadziły.

- Domy wyglądały w świetle księżyca bardzo majestatycznie, jak mauretańskie zamki, bo nie było widać łuszczącej się farby i odpadającego tynku.

- Prawda, panie Marlowe?
- Jest taki hazardzista nazwiskiem Lipshultz - powiedziałem. - Larry jest mu winien pieniądze. Lipshultz zaangażował mnie, żebym odnalazł Larry'ego.

- Kiwnęła głową na potwierdzenie.
- Miewał już przedtem kłopoty, prawda? - zapytałem.
- On jest artystą, panie Marlowe. Ma dużą wyobraźnię. Wielu ludzi uważa go za geniusza kamery.
-
- - I co? - zapytałem.
- - I jest impulsywny, nie potrafi stosować się do zasad. Gdy ma na coś ochotę, zaraz to robi. Ma artystyczny temperament.
-
- Więc stawia na przeczucia - powiedziałem.
- Tak.
- A to się nie zawsze opłaca.
-
- Nie, nie opłaca się. Ale musi mieć swobodę kierowania się intuicją, rozumie pan? Ograniczenia go duszą.
-
- - Czy miał kiedykolwiek kłopoty innego rodzaju? Chwilę milczała patrząc na wolno przybliżający się srebrny ocean. Na plaży w dole, nad linią przyływu, spali jacyś włóczędzy ściskając w ramionach swoje liche mienie.
-
- Myślę, że miał trochę kłopotów z kobietami.
- Jakiego rodzaju?
- Nie wiem, nigdy mi nie mówił. Nie pytałam.
- Czemu?
-
- Kocham go - odparła. Jakby to było odpowiedzią na wszystkie pytania.
- Skąd więc wniosek, że miał kłopoty z kobietami?
- Bo wydzwaniała tu do niego jakaś kobieta, a jak odkładał słuchawkę, był zły.
- Aha.

- I... - Spojrzała na swoje dłonie złożone na kolanach. Czekalem słuchając szumu opon na asfalcie.
- I? - podjąłem.

- - Widziałam pewne zdjęcie. Czekalem.
- - Było to zdjęcie kobiety. Nagiej kobiety upozowanej... - Wpatrywała się w swoje ręce. W lepszym świetle na pewno byłoby widać, że jest zaczerwieniona.

- Sugestywnie? - zapytałem.
- Tak. - Powiedziała to ledwie dosłyszalnie.
- A ty nie zapytałaś go o to?
- Nie. To było zdjęcie z czasów, kiedy mnie jeszcze nie znał. Miał wówczas do tego prawo. To nie miało ze mną nic wspólnego.
- Ufasz mu?
- Pod tym względem tak. On mnie też kocha.
- Ja myślę! - powiedziałem.

- Zatrzymaliśmy się za domem, w którym mieszkała z Lar rym... gdy Larry nie mieszkał ze swoją drugą żoną w Poodle Springs. Wsiadła, a ja wsiadłem przez swoje drzwi i podszedłem do niej. Policjanci zatrzymali się nieco za nami.
- - Odprowadzę cię do drzwi - powiedziałem.
- - Nie trzeba - odparła. Wyczułem w jej głosie zaniepokojenie.
- - Tylko, żeby się upewnić, że jesteś bezpieczna - wyjaśniłem. - Ja też jestem zakochany w swojej żonie.
- Angel uśmiechnęła się z nagłą, jakby po deszczowej nocy wzeszło słońce.

- To świetnie - powiedziała. - Prawda?
- Tak - przyznałem.

- Poszliśmy ścieżką między domami do frontowych drzwi. Angel otworzyła je i weszła.
- - Dziękuję - powiedziała.
- Po czym zamknęła drzwi. Usłyszałem odgłos zasuwy i wróciłem do oldsa. Gdy wsiadłem i odjechałem, policjanci błysnęli mi światłami, a potem zgasili je i zabrali się do pilnowania.

-

- Lindzie nie podobało się, że nie wróciłem na noc. Mnie też to się nie bardzo podobało, ale cóż mogłem zrobić. Przegadaliśmy o tym cały ranek zjadłem jajka i poszedłem spać. Było po czwartej po południu, kiedy wstałem, wziąłem prysznic, ogoliłem się i żywszy niż dwa pancerniki Armadillo, pachnący jak kwiat pustyni wyruszyłem do Klubu Szał, aby złożyć raport swemu pracodawcy. Parking w jaskrawym słońcu był równie pusty jak ostatnim razem. Zaparkowałem znowu pod drewnianą kratą bramy i wszedłem przez drzwi, które zdawały się zawsze lekko uchylone. Może stanowiły znak ochronny Lippy'ego, zawsze otwarte drzwi dla frajerów. Tym razem nie było w pobliżu rewolwerowców. Lippy zaczynał się robić nieostrożny. Przeszedłem przez salę gry i zapukałem do drzwi biura Lippy'ego. Żadnego odzewu. Chyba nie zostawiono by drzwi otwartych, gdyby nie było nikogo. Zapukałem jeszcze raz. Znowu nic. Nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się. Wszedłem i znalazłem go. Jeszcze nim znalazłem, wiedziałem, co znajdę. Klimatyzacja spowolniła rozkład, ale woń śmierci czuć było od razu. Lippy siedział na krześle obrotowym, tyłem do mnie. Głowa zwisała mu na piersi. Dłonie spoczywały na poręczach, zeszywniałe w śmierci, palce zaczynały pęcznieć. W tyle głowy była zakrzepła krew we włosach. Woń śmierci mieszała się z wonią nadpalonych włosów. Przyjrzałem się bliżej i zobaczyłem, że z krwią były pomieszane osmalone włosy. Obszedłem biurko i kucnąłem przed Lippy'm. Rana wylotowa była ciemna i galaterowata. Twarz Lippy'ego zaczynała puchnąć. Wstałem wolno i rozejrzałem się wokół. Nigdzie żadnego śladu walki, żadnego śladu rabunku. Na kredensie stała butelka dobrej szkockiej, wiaderko na lód z wodą na dnie, jedna szklanka. Szuflady segregatora były zamknięte i nienaruszone. Żadnego śladu próby wyłamania ich. Wróciłem do sali gry i obszedłem ją wokół czując, że jest pusta na długo przed sprawdzeniem, iż tak jest w istocie. Dwaj goryle znikli. Prawdopodobnie byli w biurze zatrudnienia. Westchnąłem głośno w pustym kasynie. Może powinienem zmienić branżę. Może powinienem zostać pracownikiem firmy pogrzebowej. Wróciłem z ciężkim sercem do biura Lippy'ego. Musiał siedzieć sobie wygodnie podziwiając przez okno piękno pustyni, gdy ktoś pochylił się nad biurkiem z małokalibrowym pistoletem i strzelił mu w tył głowy. A ja przyszedłem i znalazłem go. Sięgnąłem ręką, podniosłem słuchawkę jego telefonu i wykręciłem numer policji. Przynajmniej wkrótce nie będę tu sam.

- Najpierw z rykiem silnika przyjechało dwóch z patrolu drogowego, w pół minuty później dwóch policjantów z Ri-verside, a po paru minutach samochód policyjny z Poodle Springs, chociaż to poza ich jurysdykcją. Zaroilo się od mundurów. Policjanci przykazali mi, abym niczego nie dotykał i badali scenę zbrodni szukając jakichś wskazówek, póki nie przyjechało paru detektywów z Riverside. Byli po cywilnemu i przywieźli ze sobą techników laboratoryjnych oraz faceta o twarzy jak księżyc, z biura coronera. Detektyw nazwiskiem Fox przyjął ode mnie oświadczenie. Miał ciemne włosy, smagłą cerę i gdy ze mną rozmawiał, ciemne okulary uniesione nad czoło.

- Czy ja nie widziałem twojego nazwiska w biuletynie w ubiegłym tygodniu? - rzekł Fox. - Odkryłeś ofiarę zabójstwa w Hollywood?
- To dar - odparłem. - W szczycie sezonu odkrywam dwa, trzy trupy dziennie.

- Może nie tylko je odkrywasz - powiedział Fox.
- Pewnie, że nie - odrzekłem. - Rozwalam ludzi bez żadnej przyczyny, potem od razu dzwonię na policję i czekam, aż przyjdiesz i zaczniesz mnie podejrzewać. Uwielbiam, jak gliny biorą mnie na spytki.
- Fox kiwnął głową patrząc na notatki, które porobił, kiedy składałem oświadczenie.
- - Gliny też to uwielbiają. Przecież nie mamy nic innego do roboty, jak wymieniać uprzejmości z jakimś drugorzędnym prywatnym detektywem z pustyni.
- - Kiedyś byłem drugorzędnym prywatnym detektywem z L.A. - powiedziałem. - Ale ożeniłem się i przeprowadziłem tutaj.
- -Na nasze szczęście - rzekł Fox. - Mówisz, że Lippy najął cię do odnalezienia faceta, który był mu winien pieniądze.
- Kiwnąłem głową.
- - Co to za facet? Milczałem. Fox zaczerpnął głęboko oddechu.
- - Marlowe - rzekł - jeżeli wiesz coś więcej niż tylko jak zaglądać przez dziurki od klucza, to zdajesz sobie sprawę, że tu chodzi o morderstwo i facet, który nawiał z pieniędzmi Lippy'ego jest podejrzany, a ukrywanie nazwiska podejrzanego o morderstwo jest dostatecznym powodem, żeby ci zabrać licencję a ciebie samego posadzić na tyłku w pudle.
- Kiwnąłem głową. Miał rację. Znalazłem się teraz w piekielnie delikatnej sytuacji z powodu Larry'ego Victora czy Lesa Valentine'a.
- - Facet nazywa się Les Valentine - powiedziałem. - Mieszka w Springs.
- Fox zwrócił się do jednego z patrolowców z Poodle Springs, młodego chłopaka o jasnych krótko ostrzyżonych włosach i policzkach jak jabłuszko.
- - Monson - rzekł - znasz w Springs człowieka, który się nazywa Les Valentine?
- Monson kiwnął głową i odparł:
- - Porozmawiajmy na osobności, sierżancie. Fox uniósł brwi i poszedł za Monsonem w koniec pokoju. Stanęli przy drzwiach do gabinetu Lippy'ego i kilka chwil rozmawiali szeptem. Czekając wyjąłem fajkę, nabiłem i zapaliłem. Coroner skończył badanie zwłok Lippy'ego.
- Weszło dwóch facetów w kombinezonach z plastikową torbą i noszami. Wsadzili sztywne białe Lippy'ego do torby. Wwindowali je na nosze i wyszli przez drzwi biura. Lippy zawadził o framugę, kiedy wychodzili. Fox i Monson skończyli rozmawiać i Fox wrócił do mnie. Przysiadł jedną nogą na krawędzi biurka Lippy'ego i spojrzał na mnie w dół.
- Monson mówi, że Valentine jest żonaty z córką Clayтона Blackstone'a.

- Musiał to powiedzieć szeptem? - zapytałem.
 - Mówi też, że ty jesteś żonaty z córką Harlana Pottera.
 - To również musiał powiedzieć szeptem?
- Musiał wyszeptać jedno i drugie - rzekł Fox. - Nie chciał, żebyś się dowiedział, że na nas, wiernych pacholków prawa, taka rzecz wywiera wrażenie.
- A wywiera? - spytałem.
 - Może i nie, ale na niektórych w górze wywiera.
- Nie przejmuj się Harlanem Potterem - powiedziałem.
- Pewnie - odparł Fox. - Nie będę się nim przejmował, ty nie będziesz się nim przejmował i szeryf, któremu zależy za ponownym wyborze jesienią, też nie będzie się nim przejmował. A skoro ty się nim nie przejmujesz, usiądź na chwilę w sali gry, a my tymczasem tu posprzątamy. Chcemy z tobą jeszcze trochę pogawędzić.
- Przesiedziałem w sali gry z godzinę, a tymczasem technicy krążyli po terenie, zaś Fox spędził mnóstwo czasu na rozmowie przez telefon w biurze Lippy'ego. Około 7:30 wieczorem Fox wyszedł z biura Lippy'ego.
- Chcemy z tobą porozmawiać trochę dłużej, Marlowe rzekł. - Pojedziemy do Springs. Jest bliżej.
 - Mam samochód - powiedziałem.
 - Monson pojedzie z tobą - rzekł Fox.
 -
 -

- Byliśmy w pokoju przesłuchań w komisariacie Poodle Springs. Ja jako gość specjalny. Poza mną znajdowała się tam stenografistka o włosach barwy różowego grapefruta, sierżant Whitestone ze Springs, Fox, porucznik Wilton Gump, który był głównym oficerem śledczym powiatu Riverside, oraz jako niespodzianka, Bernie Ohls. Crump miał zaokrąglone ramiona i długie ręce, szyję natomiast krótką. Świńskie oczka były przedzielone płaskim, szerokim nosem. Ręce miał porośnięte włosami. Ubrany był w czarny garnitur z kamizelką i w borsalino. Nosił ten

kapelusz zsunięty na tył głowy.

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli, Marlowe - rzekł Crump. Żuł tytoń i trzymał w ręku papierowy kubek do poplufania. - Wiem, że jesteś zięciem Harlana Pottera i to na mnie nie robi żadnego wrażenia.
- Do licha - powiedziałem - a ja się łudziłem, że będziesz chciał ze mną zatańczyć.
- Crump trzymał kubek na sok tytoniowy w lewej ręce. Sięgnął prawą ręką pod połę marynarki i wyjął oplecioną
- skórą pałkę z ołowianą kulką. Pokazał mi ją i uśmiechnął się szerokim, ubarwionym sokiem tytoniowym, plugawym uśmiechem, po czym klepnął się lekko pałką w prawe udo.
- Nie mam wiele czasu, Marlowe. Nie mam wiele czasu na żarciki, nie mam wiele czasu na wygłupy. Znalazłeś w jednym tygodniu dwa trupy. W obu wypadkach śmierć nastąpiła na skutek strzału z broni małokalibrowej w głowę. Masz coś do powiedzenia na ten temat?
- Widać takie moje szczęście.
- Crump znowu klepnął się pałką po udzie i pochylił ku mnie. Cuchnęło mu z ust jakby najpierw wypił trochę szkockiej a potem dla niepoznaki zjadł coś śmierdzącego. Widziałem czerwone żyłki na białkach jego oczu.
- - Uważaj, Marlowe - rzekł Crump zduszonym głosem. - Radzę ci, cholernie uważaj.
- Uśmiechnąłem się do niego grzecznie.
- My jesteśmy tylko tępymi gliniarzami - rzekł wciąż trzymając twarz przy mojej twarzy - i taki bystry, bogaty prywatny detektyw z pewnością wie rzeczy, których nie dostrzegamy.
- Nie jestem bogaty-powiedziałem. - Moja żona jest bogata.
- Ale zastanowiło nas, czy nie ma przypadkiem jakiegoś związku pomiędzy dwoma trupami, które znalazłeś - ciągnął Crump, jakbym w ogóle nic nie powiedział. - A może nawet czy nie powiedziałeś policji z L. A. jednego, a nam czego innego. Porucznika Ohlsa zastanowiło to tak bardzo, że kiedy do niego zadzwoniliśmy i powiedzieliśmy, że mamy z tobą porozmawiać, pofatygował się aż taki kawał drogi.
-

- Ohls stał oparty o ścianę, z kapeluszem zsuniętym na oczy i założonymi na piersi rękami.
- Ciekawiloby nas również, nim Crump przestraszy nas obu na śmierć, czy zechcesz nam powiedzieć, jak to się stało, że biegałeś po Western i Sunset o trzeciej trzydzieści nad ranem z Angel Victor, która jest żoną głównego oskarżonego o zamordowanie Loli Faithful.
- Jeżeli on mi nie da odpowiedzi, której chcę - powiedział Crump - nie poprzestanę na straszeniu. - Rzucił okiem na Ohlsa a potem łypnął groźnie na mnie.
- Jeśli zabierzesz ten Chuch Myszołowa sprzed mego nosa - zwróciłem się do Berniego - to może zdołamy porozmawiać.
- Wciąż nachylony ku mnie Crump uderzył mnie pałką w bok lewego kolana. Ból przeszył mi całą nogę i pachwinę. Noga zaczęła pulsować. W kącie ust Crumpa pojawiła się kropelka soku tytoniowego.
- Chuch Myszołowa, cwaniaku? - warknął. Nadal oparty o ścianę i z założonymi rękami Ohls rzekł:
- Odłóż tę pałkę, Crump.
- Odwal się - odparł Crump. - To mój aresztant. Ohls wyjął jedno ze swoich malutkich cygar, włożył do ust i zapalił. Następnie oderwał się od ściany, przeszedł swobodnym krokiem przez pokój i przysunął twarz tuż do twarzy Crumpa.
- - Albo odłożysz tę pałkę - rzekł cichym i grzecznym tonem wypuszczając przy tych słowach trochę dymu - albo ci ją wbiję w zęby. Crump drgnął jakby go ktoś dźgnął w żebro. Chwilę milczeli obaj stojąc naprzeciw siebie.
- Potem Crump powiedział:
- Do diabła z tym wszystkim - wsunął pałkę do tylnej kieszeni spodni, odwrócił się i wyszedł. Ohls uśmiechnął się, jakby mu się coś śmiesznego przypomniało, wrócił na swoje miejsce i oparł się o ścianę.
- Opowiedz nam o tym wszystkim, Marlowe - rzekł.
- - Nie musisz się spieszyć, mamy całą noc. Fox będzie reprezentował Riverside.
- Wyjąłem papierosa, zapaliłem i zaciągnąłem się dymem. Może czas już uwolnić się od tej

sprawy, powiedzieć im, czego nie wiedzą, i niech idą w diabły, a samemu wrócić i popijać w domu dżin z limoną. Kiedy się dowiedzą, że Les był winien Lipshultzowi forszę, i że jest również Larrym, z którym Lola się kłóciła, zanim skończyła martwa w jego pracowni, wówczas rzecz zostanie zakończona. Larry pójdzie do pudła, Muriel zostanie sama, a Angel o wielkich oczach i uśmiechu...

- - Lippy zawsze miał przy sobie dwóch rewolwerowców - powiedziałem. - Ktokolwiek go zamordował, musiał się najpierw uporać z nimi.
- Ohls nawet się nie poruszył.
- - Domyślam się, że to kobieta - mówiłem dalej.
- - Broń małokalibrowa. Ktokolwiek go zabił, musiał to zrobić z bliska. Lippy siedział odwrócony tyłem. Stała szkocka, jakby przygotowana do picia. Ale tylko jedna szklanka. Może miał jakieś romantyczne spotkanie, które skończyło się w nocy strzałem.
- Ohls zdjął kapelusz i trzymał go za rondo w opuszczonej ręce. Mówił nie wyjmując z ust swego małego cygaraka.

- -Dla nas to nie pierwszozna, Marlowe. Tego rodzaju rzeczy umiemy odgadnąć i bez ciebie.
- Wzruszyłem ramionami.
- - Nic więcej nie wiem, Bernie.
- Ohls klepnął się leciutko kapeluszem w udo, drugą ręką wyjął z ust cygaro, końcem języka zdjął z górnej wargi okruch tytoniu i wypluł delikatnie w kąt pokoju.
- - Odkrywasz w ciągu jednego tygodnia dwa zabójstwa - rzekł. - Może to tylko zbieg okoliczności. Ale w ciągu trzydziestu dwóch lat pracy w policji jeszcze nie widziałem takiego zbiegu okoliczności jak ten.
- Cóż mogłem rzec na te słowa? Puściłem je mimo uszu.
- - Zbiegi okoliczności niczego nam nie dają, Marlowe. One nas nigdzie nie prowadzą. Wiara w zbiegi okoliczności jest jak wiara w ślepe zaułki. Gliny nie cierpią ślepych zaułków, Marlowe.

- Wiem - odparłem. - Bardzo mnie to martwi. W niektóre noce nie mogę zmrużyć oka.
- Ty nie tylko znajdujesz dwa trupy w ciągu jednego tygodnia, ale znajdujesz je szukając nicponia nazwiskiem Les Valentine, który jest, jak się okazuje, zięciem Claytona Blackstone'a.
- A on cię martwi?
- Tak, ja też nie śpiam po nocach - rzekł Ohls. Podeszedł do jednego z odrapanych biurka z drewna klonowego i zgasił cygaro w na wpół opróżnionym papierowym kubku z kawą.

- - Nie masz już klienta, Marlowe. Nie masz kogo chronić. Chyba, że chronisz samego siebie.
- - Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, Bernie.

- Może trzeba było pozwolić Crumpowi się nim zająć, poruczniku - rzekł Fox.
 - Crump to zbir z odznaką policyjną - powiedział Ohls. - Nie lubię go.
- Milczeliśmy wszyscy. Rożowowłosa stenografka siedziała w pogotowiu do stenografowania. Ale nie było już czego stenografować. Ohls westchnął.
- No dobra, Marlowe - rzekł. Zwrócił się do sierżanta Whitestone'a. - Mogę skorzystać z twojego aresztu?
 - Proszę bardzo - odparł Whitestone.
 - Zamknij go - powiedział Ohls. - Wsadź go do celi. Może mu wtedy przyjdzie do głowy jakiś związek.
 - Pod jakim zarzutem?
- - Pod jakim chcesz - odrzekł Ohls. - Wymyśl coś. Następnie włożył kapelusz i wyszedł z pokoju.

27

- W pudle Poodle Springs panowała cisza. Przebywało w nim paru innych więźniów, ale ponieważ pora była późna, już spali. Jedyne odgłosy to odgłosy nocy, czasem chrapanie, czasem mamrotanie, a raz krótkie łkanie któregoś ze śpiących mężczyzn. Leżałem po ciemku na pryczy. Na zewnątrz toczyło się nocne życie Poodle Springs. Ludzie jedli coś, kochali się, oglądali telewizję lub spali spokojnie z psem w nogach łóżka i cichym pomrukiem lodówki w kuchni. Areszt był przy komisariacie i słyszałem przyjeżdżające i odjeżdżające wozy patrolowe i dźwięki ich radia, niewyraźne w mroku nocy, chrzęst opon na żwirze, raz nawet syrenę, kiedy radiowóz odjeżdżał w pośpiechu. Ale przeważnie nie było nic słyszeć ani co robić. Zastanawiałem się, czy Lippy żyłby teraz, gdybym wtedy powiedział glinom wszystko, co wiedziałem. Gdybym im powiedział choćby tyle, ile powiedziałem Blackstone'owi. Tacy jak Lippy zawsze chodzą po barierce, ale śmierć to jest zbyt duża cena za upadek. Blackstone nie miał powodu zabijać Lippy'ego, gdyby nawet odkrył, że on ściga Lesa o pieniądze. Jedno słowo szefa powinno by wystarczyć. Lecz Les miał powód, miał też powody by zabić Lolę Faithful, szantaż związany z jakimś zdjęciem. Ktokolwiek zabił Lolę, oczyścił też segregatory Larry'ego - uśmiechnąłem się do siebie w ciemnościach. Kiedy był w Poodle Springs, nazywałem go Lesem, a w L. A. Larrym. Nic dziwnego, że czułem się zagubiony - czyżby szukano tego zdjęcia? Czemu zabójca zabrał wszystko z segregatorów? Bo czegoś szukał, albo szukała, i nie miał czasu zrobić tego na miejscu. Gdyby to Larry ją zabił, wiedziałby, co gdzie jest w segregatorach. Nie musiałby zabierać wszystkiego. Ale mógł zabrać, bo wiedział, że policja znajdzie zdjęcia, a on nie chciał tego, choć takie zdjęcia są dostępne w każdym kiosku z

gazetami. Mimo to mógł się ich wstydzić. Korytarzem, wzdłuż rzędu cel, szedł klawisz popiskując butami na gumowych podszewkach. Przed każdą celą zatrzymywał się i zaglądał do środka, a potem szedł dalej. Na tych zdjęciach nagich kobiet nie było żadnej, znanej mi, poza Sondrą Lee. Wsunąłem to zdjęcie pod wykładzinę bagażnika samochodu. Można założyć, że Larry zgodził się zapłacić Loli żadaną sumę, po czym Lola przyszła ze zdjęciem, a on ją zabił i zabrał to zdjęcie. Na pewno by je wówczas zniszczył - ale czy Lola przyszła z jedyną odbitką? Czy była taka głupia? Nie wierzyłem. Szantażyści nie są skłonni do wyzbycia się materiału, który im służy do zdobywania pieniędzy. Nawet głupi szantażyści. Pomyślałem o papierosie. Nie miałem jednak papierosów ani fajki, ani jeśli o to chodzi sznurowadeł, krawata, czy paska od spodni. Wstałem i kilka razy obszedłem w kółko celę. Nie zrobiłem się od tego senny. Położyłem się na pryczy. Nie było na niej prześcieradeł, a tylko materac i koc. Siedziałem już w aresztach, w których nie było nawet tego. Ach, Marlowe, ty uroczy ryzykancie. Czemu to, u diabła, nie Larry? Mimo że ma śliczną, wielkooką żonę, która go uwielbia? Czy to jego prawomocna żona? Może kiedy wyjdę, powinienem zapoznać się z prawem dotyczącym bigamii. Nie miałem ostatnio do czynienia z wieloma przypadkami bigamii. Zrobiłem kilka głębokich wdechów. I gdzie jest to zdjęcie? Lola z pewnością zachowała kopię. Nie miała jej w domu. Gdyby policja ją znalazła, na pewno by ich to zaprowadziło na jakiś ślad. Ale policjanci utknęli w martwym punkcie tak samo jak ja, bardziej niż ja, bo nie znali rzeczy, w których ja ugrzązłem. Może to zdjęcie jest w jakimś sejfie depozytowym? Ale gdzie w takim razie jest klucz do sejfu? Poza tym ochryple od whisky stare dziwki, jak Lola, zwykle nie korzystają z sejfów depozytowych. Może ukryła negatyw u przyjaciółki? Ale ochryple stare dziwki, jak Lola, nigdy nie powierzyłyby żadnej przyjaciółce czegoś cennego. Najprostszą odpowiedzią był znowu Larry, a najprostszą odpowiedzią w sprawie zabójstwa Lippy'ego był Les. A Les to Larry. Znowu zrobiłem kilka głębokich wdechów. W końcu nad ranem zasnąłem i przyśniło mi się, że się zakochałem w ogromnym zdjęciu nagiej Lindy, a za każdym razem, gdy chciałem po nie sięgnąć, umykało.

28

-
- O szóstej rano przyniesiono mi trochę ciepłej kawy i czerstwą bułkę. Usiadłem na pryczy i zjadłem. Głowa mnie bolała, kolano pulsowało bezustannie. Dotknąłem miejsca, w które Crump mnie uderzył. Było nabrzmiałe i obolałe. Mdlilo mnie, gdy piłem kawę. Przespałem może ze dwie godziny. O wpół do jedenastej nadszedł korytarzem nowy klawisz i zatrzymał się przed moją celą.
- - Dobra, Marlowe - rzekł. - Jesteś wolny. Wstałem sztywno i pokuśtykałem za nim korytarzem a potem po trzech schodkach do komisariatu. Była tam Linda i jakiś facet w białym garniturze i krzykliwej koszuli. Facet w krzykliwej koszuli powiedział:
- - Panie Marlowe, jestem Harry Simpson. Przepraszam, że to trwało tak długo. Musiałem czekać na otwarcie sądu, żeby dostać pismo.
- Był opalony na brązowo i nosił na nogach czarne lśniące mokasyny zdobne łańcuszkami z przodu. Koszulę miał rozpiętą do połowy i jego naga pierś wyglądała jak skórzana

- decha. Włosy na piersi były siwe. Wąsik mały gęsty, a sprężyste włosy też mocno przetkane siwizną. Na palcu pierścień z różowym kamieniem. Adwokat z Poodle Springs. Lada moment zacznie się zwracać do mnie per „dziecinko”. Linda stała za nim nic nie mówiąc. Jej wzrok spoczywał na mnie tak ciężko, że niemal czułem jego wagę. Odebrałem swoje rzeczy, podpisałem pokwitowanie i wyszliśmy frontowymi drzwiami. Żadne dzwonki alarmowe nie zabrzmiały. Cadillac Lindy stał na miejscu oznaczonym *Nie Parkować Zarezerwowane dla Wozów Policyjnych*, obok mercedesa z opuszczanym dachem, należącego do mego adwokata.
- Gdzie twój samochód? - spytała Linda.
- Na tyłach - odparłem.
- - Zawiozę cię do domu i przyślę po niego Tina - powiedziała. - Wyglądasz okropnie.
- Pewnie lepiej niż się czułem.
- - Może będzie pan musiał stawić się w sądzie, panie Marlowe - rzekł Simpson. - Postaram się zatuszować sprawę i szczerze mówiąc nazwisko pana Pottera wiele waży, ale nie mogę niczego gwarantować.
- Więcej niż moje nazwisko - powiedziałem. Linda otworzyła mi drzwi od strony pasażera.
- Wsiądź, kochanie.
- Czy mam coś powtórzyć pani ojcu? - spytał Simpson.
- Niech mu pan podziękuje - powiedziała. - Zadzwońię do niego później.
- Przeszła na drugą stronę cadillaka, wsiadła i w milczeniu ruszyliśmy do domu.
- Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Linda powiedziała:
- - Myślę, że powinieneś się wykapać i pójść spać. Porozmawiamy później.
- Byłem za bardzo zmęczony, aby dyskutować o tym albo o czymkolwiek innym. Zrobiłem jak zasugerowała, lecz w odwrotnej kolejności. O szóstej wieczorem byłem już w jako tako ludzkim stanie. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i usiadłem w jedwabnej piżamie przy basenie z okładem z lodu na obrzmiałym kolanie. Tino przyniósł mi podwójne wódkę z sokiem z limony i lodem, a pojedynczą dla Lindy. Napój miał barwę słomkową i był przejrzysty w grubej kanciastej szklance. Woda w basenie lekko się marszczyła w słabym powiewie, który nadciągnął o wieczorze. Wypiłem łyczek i poczułem jak napój przenika we mnie i w mój system nerwowy. Spojrzałem na Lindę. Siedziała na leżance ze stopami na ziemi, ze złączonymi

kolanami i lekko pochylona obejmowała obiema dłońmi szklanke.

- Tata jest wściekły - powiedziała.
 - Do diabła z nim - odparłem.
 - On cię wyciągnął z aresztu.
 - Do diabła z nim tak czy owak - rzekłem. - Jak się miewasz?
-
- Potrząsnęła wolno głową ze wzrokiem utkwionym w szklance jakby na jej dnie kryła się odpowiedź, której szukała.
-
- Bywałem w pudle już nieraz, Linda. To jest ryzyko związane z moim zawodem, jak nuda i obolałe nogi.
 - Policja twierdzi, że przeszkadzasz im w wykonywaniu ich obowiązków.
 -
-
- - Policja twierdzi, co powinna twierdzić - powiedziałem. - Oni chcą, żebym powiedział im coś, czego według mnie nie powinni wiedzieć.
-
- I wsadzili cię do aresztu? Czy to jest zgodne z prawem?
-
- Prawdopodobnie nie, ale wciąż się zdarza. Po pewnym czasie człowiek zaczyna to rozumieć.
 - Czy to jest zgodne z prawem, gdy im się nie mówi, co chcą wiedzieć?
 - Ta sama odpowiedź. Nie mogę wykonywać swojego zawodu bez straty szacunku dla samego siebie, jeśli pozwalam mówić policjantom, co powinienem robić.
 - Doprawdy nie wiem, jak w ogóle możesz wykonywać swój zawód bez straty szacunku dla samego siebie - powiedziała Linda.
-
- Dlatego, że to pociąga za sobą czasami siedzenie w areszcie? Bo zmusza mnie do kontaktu z ludźmi z niższych sfer?
 - Do licha, Philip, to niesprawiedliwe - powiedziała Linda. - Czy ja jestem winna, że mój ojciec jest bogaty?
 - Nie - odparłem - nie jesteś. I ja też nie. Ale jednego możesz być pewna, że w tym kraju nie można się stać tak bogatym jak Harlan Potter bez drobnych kantów i łamania zasad, a także

spędzania czasu z ludźmi, z którymi wolałoby się nie przestawać.

- Linda potrząsnęła kilka razy szybko głową.
- - Ja nic o tym nie wiem. Nawet nie chcę wiedzieć. Natomiast wiem, że to nie jest małżeństwo, jakie być powinno. Przez połowę czasu nie nocujesz w domu. Nie wiem, gdzie wtedy jesteś ani co robisz. Nie wiem, czy jeszcze żyjesz. A rano budzę się i mówią mi przez telefon, że jesteś w areszcie. Mój mąż. Tutaj? W Springs? W areszcie?
- - Ile to teraz będzie gadania przy obiedzie - powiedziałem.
- - Do diabła, nie bądź takim zarozumiałcem snobującym się na ubóstwo. To są moi przyjaciele. Nie są dla mnie obojętni. I chcę żebyś ty też nie był dla nich obojętny. Nie chcę, żeby się śmiali za moimi plecami z mego męża.

- I tak będą to robili - odparłem. - Nie dlatego, że jestem detektywem. Nie dlatego, że spędziłem tę noc w areszcie. Będą się ze mnie śmiali, bo jestem bankrutem. Bo nie mam pieniędzy. W tej wielkiej wspaniałej Republice tak oto ocenia się ludzi, kochanie.
- Ale ja mam pieniądze, mam ich dość, żeby wystarczyło dla nas obojga.
- I dlatego, jak staram się wciąż wytłumaczyć, nie mogę ich wziąć. Jedyne, co mnie chroni przed bankructwem, to moja wolność. Moja absolutna niezależność. Moja, Marlowe'a, Galahada rysztoraków. Sam decyduję, co będę robił. Nie dam się ani kupić, ani sobą powodować, nawet miłości. Posiadanie pieniędzy jest sukcesem, ale zbyt wielu rzeczy trzeba się wyrzec.

- Było to długie przemówienie jak na mnie. Przepiłem je wódką z sokiem z limony. Nie na wiele to pomogło. Tego rodzaju drinki są na wczesne popołudnia w cichych barach, gdzie stoliki lśnią politurą a światło sączy się przez butelki i barman jest w świeżej koszuli z podwiniętymi mankietami. Tego rodzaju drinki służą trzymaniu się za ręce na stoliku bez słowa, bo wszystko się wie. Odstawiłem szklankę na stolik. Linda nie tknęła swojej, patrzyła w jej dno.

- Kiedy jesteś w domu - powiedziała bezbarwnym głosem - i kładziemy się do łóżka, na komodzie leży twój rewolwer, obok portfela i kluczyków samochodu.
- Kiedyś sypiałem z nim w zębach - odparłem. - Ale myślałem, że tu, na pustyni, jest bezpieczniej.

- Linda podniosła wzrok i spojrzała na mnie.
- - Nie wyszło nam - powiedziała wreszcie. Potem wstała wciąż trzymając szklankę w obu dłoniach. - Nie mówię, że to twoja wina... ale nam nie wyszło.
- Odwróciła się i weszła do domu. Wziąłem prawie nienaruszonego drinka i chwilę

patrzyłem na szklankę nie pijąc. Potem nagłym ruchem przekręciłem rękę wylewając zawartość cienkim łukiem na ziemię, postawiłem pustą szklankę dnem do góry na stoliku, wyciągnąłem się na leżance i nasłuchiwałem topnienia lodu w kompresie na kolanie.

29

- Spędziłem noc w pokoju gościnnym. Wczesnym rankiem wyszedłem z domu. W lokaliku przy Riverside, w którym również sprzedawano wypchane osiołki i breloczki z najprawdziwszymi samorodkami złota, napiłem się kawy. Pustynia wyglądała srożej niż kiedykolwiek, kiedy jechałem do domu Muriel Valentine. Ziemia miała wygląd szorstki, wytrawiony, niby zagniewana wdowa, a kaktusy wydawały się bardziej gburowate niż poprzedniego dnia. Bezlitosne, obojętne niebo było bezchmurne a upał suchy i nieubłagany, kiedy wysiadłem i szedłem ścieżką do drzwi domu Muriel. Na mój dzwonek ukazał się służący, który zostawił mnie w hallu a sam udał się po panią Valentine. Gdy się pojawiła, wydała mi się tak samo ponura jak pustynia. Jej oczy wyglądały na zapłakane, a usta były wąsko zaciśnięte.

- Nie ma go tu - powiedziała.
- Pani męża? - zapytałem.
- Tak. Nie wiem, gdzie jest.
-

- Końcem języka dotknęła dolnej wargi, po czym go schowała.

- Kiedy wyszedł?

- Następnego dnia po tym, jak pan go tu zostawił - odparła.

- Wie pani, że Lipshultz nie żyje? - zapytałem.
- Tak.

- - Czy pani wie, że on pracował dla pani ojca? Cofnęła się jakbym jej pokazał żywego węża.
- - Pani ojciec jest właścicielem Klubu Szał - powiedziałem.

- Nie odpowiedziała nic. Wciąż patrzyła na mnie, z twarzą napiętą i raz po raz pojawiającym się koniuszkiem języka, którym oblizywała dolną wargę. Ja też patrzyłem na nią. Nic poza tym się nie działo. W końcu odwróciłem się, wyszedłem i zamknąłem drzwi za sobą. Ona musiała się czuć jeszcze gorzej niż ja. Wsiadłem do oldsa i długi czas tak siedziałem z niewidzącymi oczyma, a potem włączyłem silnik i pojechałem do L.A. Zostałem Angel na werandzie, patrzącą na plażę. Przy niej na talerzyku leżała wystygła grzanka i stała filiżanka herbaty, pociemniałej, z zanurzoną w niej torebką. Angel siedziała na bujaku, z podciągniętymi pod brodę kolanami, rękami obejmując nogi. Bujak poruszał się leciutko, lecz ona tak naprawdę nie bujała się.

- Nie ma go tu - powiedziała.
- Czekasz na niego?
- Tak. Nie poszłam do pracy. Nie mogę. Muszę być tu na wypadek, gdyby wrócił.
-

- - Zgubiłem go - powiedziałem. - Nie ma go tam, gdzie go zostawiłem.
- Fotel bujany poruszył się trochę. Angel milczała. Odgłos przyływu, stłumiony, gdy fale toczyły się przez piasek, buchał biela za nami. Obok, po plaży przechodzili ludzie. Dalej pracował buldożer spychając piasek koło nowego terenu rekreacyjnego.
- - On nie zasługuje na to, Angel - powiedziałem.
- - Brak mu kręgosłupa.
- - Ja go kocham - odparła i wzruszyła ramionami. Bujak poruszył się trochę i znieruchomiał.
- Pomyślałem o Muriel, z twarzą wyzutą ze wszystkiego prócz urazy. Spojrzałem na Angel. Czy ona przebaczyłaby mi również tę drugą kobietę? Do licha, drugą żonę! Gnojek miał dwie żony, które za nim szalały. A ja byłem na najlepszej drodze, żeby nie mieć żadnej.
- - Nie domyślasz się, gdzie on mógłby teraz być? - zapytałem. Potrząsnęła głową.

- Ale wróci tu - odparła. - Prędzej czy później.

- Wcale nie jestem taki pewien, Angel, że to nie on zabił Lippy'ego.

- Nie mógłby tego zrobić - powiedziała.

- - A jeśli zabił Lippy'ego mógł również zabić Lolę. Angel po prostu potrząsnęła posępnie głową i znów wlepiła wzrok w plażę.

- Nie było więcej nic do powiedzenia. Jeżeli on zabił Lolę a ja mu pomogłem uciec, wówczas będę odpowiadał za śmierć Lippy'ego tak samo jak on. Uśmiechnąłem się, po czym odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Gdy się obej-
- rzałem, wciąż siedziała nieruchomo i wpatrywała się w plażę. Z Venice pojechałem prosto do śródmieścia zobaczyć się z Berniem Ohlsem. Siedział w swojej klitce. Puste biurko z telefonem, krzesło obrotowe, kapelusz na haczyku na wewnętrznej stronie drzwi.
- Harlan Potter załatwił ci zwolnienie? - spytał, kiedy wszedłem. - Czy zrobiłeś podkop, żeby wydostać się z aresztu?
- Potter - odparłem.
- Na pewno oboje z córką byli bardzo z tego radzi - rzekł Ohls.
- - Jak łososie w czasie tarła - powiedziałem. Usiadłem na zwykłym krześle naprzeciwko biurka. Na ściankach nie było żadnych obrazków, żadnych haseł, nawet okna. Ohls zabił co najmniej dziewięciu ludzi, z czego kilku, gdy myślano, że ktoś go ubezpiecza.
- Biuro było bez wyrazu, niczym spojrzenie kelnera.
- - Nie za dobrze wyglądasz, Marlowe - rzekł Ohls.
- - Zupełnie jak człowiek, który źle spał i zjadł kiepskie śniadanie.
- - Les Valentine i Larry Victor to jeden i ten sam człowiek - powiedziałem.
- Ohls siedział z nogą opartą o wysuniętą dolną szufladę. Usłyszawszy moje słowa zdjął nogę z szuflady, okręcił się z krzesłem i wolno postawił stopy na ziemi.
- Naprawdę? - spytał. Widziałem jak to przeżuwa w myślach. - Przecież obaj są żonaci.
- Taa.
- Wiedziałaś o tym od dłuższego czasu.
-
- Wiedziałem o tym jeszcze nim Lola została zabita - powiedziałem.
- Gdybyś nam o tym wcześniej powiedział, może Lipshultz teraz by żył.
- Taa.
- Ohls obrócił się z krzesłem i znów oparł nogę o szufladę. Założył obie dłonie za tył głowy.
- - Marlowe z pustyni - rzekł. - Gwiazdny detektyw. Puściłem to mimo uszu. Zasłużyłem sobie.

- Nie zdaje ci się, że tym razem nieco przebrałeś miarę, przyjemniaczku? I dzięki temu facet wyciągnął kopyta? Lippy niemało sobie na to zasłużył. Ale nie tym razem i nie z ręki tego faceta.
 - Nikt sobie na to nie zasłużył, Bernie.
 - Oczywiście, Marlowe, a teraz serce ci krwawi. A skoro już tak, to powiedz, czemu nie puszczałeś pary?
 - Uważałem, że to nie on - powiedziałem.
 - Uważałeś, że nie on. A kto cię do tego upoważnił? To należy do policji, przyjacielu.
 - To bankrut, gnojek bez żadnego kośćca, ale ma miłą dziewczynę, która go bezgranicznie kocha.
- - Tylko jedną? - spytał Ohls. Wzruszyłem ramionami.
- Wrócę do tego. Nadal nie wiem, czy to on zrobił, czy nie, ale muszę przyznać, że to się wydaje coraz bardziej prawdopodobne.
 - Oślaniałeś prawie obcego faceta tylko dlatego, że ma miłą żonę.
 - Wyglądali na szczęśliwych, Bernie. Nieczęsto się to widuje. I pomyślałem sobie, że tak bardzo chcesz go dorwać,
 -
 - że jak ci wpadnie w ręce, znajdzie się w San Quentin, zanim obrońca z urzędu zdąży otworzyć teczkę.
 - - Ja tak nie postępuję, Marlowe.
 - - Pewnie, że nie, Bernie, a także nie rezygnujesz z wzięcia w obroty każdego podejrzanego. Ten człowiek pokłócił się z ofiarą przed zabójstwem i to nie przemawia na jego korzyść. Facet ma tyle rozumu w głowie co w lodach na patyku... - Obróciłem ręce do góry dłońmi i rozcapierzyłem palce.
- Barman mówi, że ta kłótnia się zaczęła, kiedy ona mu pokazała jakieś zdjęcie. Wiesz coś o tym?
 - Larry miał pełną szafkę zdjęć nagich kobiet - odparłem. - Przeszukałem ją, kiedy znalazłem jego pracownię.
 - Teraz ich tam nie ma - powiedział Ohls. - Jakich nagich kobiet?
 - Kobiet, zdjęć wartych spore pieniądze przed dwudziestu pięciu laty.
 - Ale niewiele wartych obecnie - rzekł Ohls. - Chyba że mogłyby posłużyć do szantażu.

- Wzruszyłem ramionami.
- - No, dobra, Marlowe - powiedział Ohls. - Mów, jak było od początku, ale powoli, prostymi słowami, żebym mógł zrozumieć. A kiedy wszystkiego wysłucham i uznam, że nie robisz mnie w konia, wezwiemy stenografkę i wszystko jeszcze raz opowiesz.
- Oparł obie stopy o blat biurka, rozparł się wygodniej w krześle i złożył dłonie na splocie słonecznym.
- - Mów - rzekł.
- Opowiedziałem mu prawie wszystko zatajając tylko fakt, że mam zdjęcie Sondry Lee w bagażniku samochodu.

- Kiedy doszedłem do części z Blackstonem, Ohls gwizdnął cicho pod nosem. Po zakończeniu rzekł:.

- I ty wciąż myślisz, że ten Larry, Les, czy jak on się nazywa, nie zrobił tego?
- Nie wiem, Bernie. Przeszedłem do ciebie. Powiedziałem, co mi wiadomo. Obaj wiemy, że ten facet nie pożyje długo, jeżeli Clayton Blackstone się dowie, iż jego córka poślubiła bigamistę.
- To dla szybkiego Eddie'go drobiazg - powiedział Ohls.
- Zupełny drobiazg - przyznałem.

- Moglibyśmy cię oskarżyć o stawianie przeszkód organom sprawiedliwości - rzekł Ohls. - Przeszkadzanie funkcjonariuszowi w pełnieniu jego obowiązków, pomoc i umożliwienie przestępcy ucieczki, uczestnictwo po fackie popełnienia zabójstwa, nieuczciwe uzyskanie informacji dotyczącej pojazdu mechanicznego, podawanie się za funkcjonariusza policji i głupotę większą niż u trzech owiec razem.
- No, to się jeszcze przyznam, że mam nie oddaną w terminie książkę z biblioteki.
- Wynoś się - powiedział Ohls.
- A co ze stenografką? - zapytałem.
- Do diabła ze stenografką-powiedział Ohls. - Jeżeli jeszcze choćby wdepniesz na trawnik z tabliczką „Nie deptać...” - Machnął ręką odprawiając mnie z pokoju. Tak jak się odprawia jakiegoś smarkacza.

- Wstałem i wyszedłem.

-

- Ruch jest czasem adekwatną namiastką działania. Nie miałem co robić ani z kim się zobaczyć, więc pojechałem do Zachodniego L.A. poszukać Sondry Lee. W agencji była ta sama co poprzednio recepcjonistka o długich udach i włosach blond. Powiedziała mi, że Sondra Lee ma za pół godziny przyjść, więc siadłem na srebrzystej tweedowej kozetce bez poręczy przy ścianie z lewej strony. Na ścianach, w srebrnych ramach wisiały zdjęcia klientek agencji, czarnobiałe i dramatycznie naświetlone, z figlarnością jaką tylko fotograficy od mody potrafią uchwycić. Na jednej z nich była Sondra, z profilu, zapatrzona w jakąś eteryczną dal i ubrana w ogromny czarno-biały kapelusz. Był to znacznie bogatszy ubiór niż na zdjęciu, które miałem zwinięte w kieszeni. Czas włókł się niczym niezdarna gąsienica. Weszła wysoka, szczupła, przesadnie wystrojona kobieta, wzięła jakieś papierki od recepcjonistki i wyszła. Inna kobieta, o kruczoczarnych włosach, bladej cerze i karminowej szmince rozmawiała chwilę z recepcjonistką i weszła w głąb biura.
- Rozejrzałem się, dostrzegłem popielniczkę na srebrnym stojaku, przysunąłem ją do siebie, wyjąłem papierosa i zapaliłem. Wrzuciłem zapałkę do popielniczki i wciągnąłem trochę dymu. Na ścianie za recepcjonistką wisiał wielki zegar w kształcie banjo. Tykał tak cicho, że musiałem dobrze wyteńczyć słuch, aby go usłyszeć. Co jakiś czas mruczał telefon i recepcjonistka mówiła pogodnie do słuchawki: - Agencja Tryton, dzień dobry. - Podczas mojej tam bytności powiedziała to ze czterdzieści razy. Mój papieros się wypalił. Zgasilem go w popielniczce i przeciągnąłem się, a w chwili, gdy się przeciągałem weszła Sondra Lee. Miała na sobie żółtą sukienkę i wielki żółty kapelusz. Nie poznała mnie nawet kiedy wstałem i powiedziałem:
 - - Panno Lee.
 - Odwróciła głowę z tym bezosobowym przyjaznym spojrzeniem, które cechuje ludzi nawykłych, że są rozpoznawani.
 - - Marlowe - przypomniałem się. – Rozmawialiśmy onegdaj w pani domu o Lesie Valentine, między innymi.
 - Uśmiech pozostał bezosobowy, ale stał się mniej przyjazny.
- I co? - spytała.
- I było tak miło, że chciałbym porozmawiać jeszcze trochę.
- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale nie mogę. Mam zdjęcia dzisiaj po południu.
- Podszedłem do niej wyjmując po drodze jej zdjęcie z kieszeni. Rozwinąłem je i pokazałem jej tak, żeby recepcjonistka nie mogła zobaczyć.
 - -Tylko parę chwil - powiedziałem - sądziłem, że pani mi pomoże w związku z tym zdjęciem.
 - Spojrzała na mnie, ale niczego po sobie nie pokazała.
 - - No, dobrze - rzekła. - Porozmawiajmy tutaj. Wprowadziła mnie do małej przebieralni z

wielkim lustrem obrzeżonym lampkami. Przed lustrem stał stolik z tubkami, słoikami, pudrami i pędzelkami, przed stolikiem stołek, przy ścianie z prawej strony drzwi kozetka i krzesło z wysokim oparciem. Na czarnej zasłonie było napisane białymi literami *Sondra*. Usiadła na krześle z wyciągniętymi niedbale przed siebie długimi nogami. - A więc jesteś jeszcze jednym małym szantażystą

- - powiedziała spokojnym głosem.
- - Nie jestem wcale taki mały - zauważyłem.

- Więc dowiedz się, karaluchu, że nie dam ci złamanego centa za te zdjęcia. Taka jest ich wartość. Możesz je posłać do pism ilustrowanych, porozlepiać na stacji autobusowej, wszystko co chcesz. Minęło ze trzydzieści lat od czasów, kiedy takie zdjęcia mogłyby komuś zaszkodzić.
- Więc nie na wiele się przydały Larry'emu Victorowi

- - powiedziałem.

- Tyle samo co tobie, tani cwaniaku - odparła. Wyjęła papierosa z pastelowym filtrem, włożyła do ust i zapaliła przezroczystą zapalniczką, w której było widać, ile jest jeszcze benzyny.
- Ale próbował - rzekłem.
- Pewnie, że próbował, takie szumowiny zawsze będą próbowały.
- A ty kazałaś mu spłynąć?
- Tommy mu kazał - powiedziała.
-

- A ty się trochę do tego przyczyniłaś? Sondra wzruszyła ramionami.
- Masz szczęście, że nie ma tu teraz Tommy'ego.

- - Tak - odparłem. - Ledwo umknąłem z życiem ostatnim razem.
- Wyraz jej twarzy mówił, że nie pamiętała wiele z tego ostatniego razu.

- Byłem w twoim domu - wyjaśniłem - i pytałem cię o fotografa nazwiskiem Les Valentine.
- Balowałam wtedy - powiedziała.
- Tak. I o ile sobie przypominam, proponowałaś mi, abym pobalował z tobą.

- Jeżeli pamiętała, to nie okazała tego. Nie zdradzała najmniejszego zażenowania.
- Tommy tego nie cierpi - powiedziała. Lecz nie sprawiała wrażenia przejętej. - Więc czego ty w końcu chcesz, Marlowe? A może jesteś jednym z tych, co czerpią frajdę z rozmowy z kobietą patrząc jednocześnie na jej nagie zdjęcie?
- Oczywiście - odparłem. - Ale tym razem chcę położyć łapę na Larrym Victorze.
- Przekrzywiła głowę i chwilę mi się przyglądała.
- Na Larrym? Jak to?
- W związku ze sprawą, którą prowadzę.
- Więc nie próbujesz mnie naciągnąć?
- Jakże bym śmiał - odparłem. - Co możesz mi powiedzieć o Larrym?
- Obrzydliwy facet - rzekła Sondra. - Robił trzeciorzędne zdjęcia i nie mógł z tego wyżyć, zaczął więc fotografować nagie kobiety do pism pornograficznych i do
-
- księgarń 'dla dorosłych. Fotografował wiele z nas,» gdy byłyśmy tu nowe i chciałyśmy zarobić na życie, zostać zauważone. Był miły, zdobył mnóstwo modelek. Bóg wie, czemu... nosił tupecik i miał wciąż spocone ręce. Ale... - wzruszyła ramionami. - Różnie bywa.
- - I zachowywał odbitki, a jeśli któraś z was stawała się znaną modelką, próbował ją szantażować?
- - Albo jeżeli dostała się do filmu - powiedziała.
- - Studia są bardzo na to uczulone. Dziewczyny, które dostały się do filmu, prawdopodobnie płaciły.
- Dobry interes. Najpierw raz sprzedaje towar, a później zdarza mu się sprzedać ten sam towar drugi raz.
- Jak pokos - rzekła Sondra. Uśmiechnęła się, wciągnęła dym, zatrzymała dłuższy czas w płucach, a potem wypuściła przez uśmiechnięte usta. - Ale czasy się zmieniły. Niebawem ludzie przestali zwracać uwagę, choćby nawet ktoś pokazywał goły tyłek, i biznes Larry'ego wziął w łeb.
- Wyszedł z mody - powiedziałem. - Jak przedsiębiorstwa wynajmu koni. Czy wiesz, że on się ożenił?
- Straciłam kontakt z Larrym bardzo dawno, jak tylko wyszłam z rynsztoka, w którym on wciąż tkwi.
- I nie znasz fotografa nazwiskiem Les Valentine?

- Nie.

- - A Muriel Valentine? Muriel Blackstone? Angel Victor?
- Gdy wymieniałem te nazwiska, Sondra kręciła głową.
- - Może pamiętasz jakichś jego bliskich przyjaciół z dawnych czasów.
- Roześmiała się.

- - Przyjaciół? Żadnych. Ten podlec mógł mieć najwyżej przyjaciółki. Znowu pokręciła głową. - Nigdy tego nie mogłam zrozumieć.
- - Nie pamiętasz żadnych nazwisk? - spytałem. Wciągnęła dym i wypuściła z ust całą chmurą.
- Potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała - nie pamiętam.
- I nie przychodzi ci na myśl, gdzie mógłby być teraz?
- O to chodzi? - powiedziała. - Przepadł gdzieś? Kiwnąłem głową.
- Nie - odparła - nie mam pojęcia.

- Ciągle trzymałem zdjęcie. Dałem jej. Przyjrzała mu się.

- Niezła wtedy byłam - rzekła.
- Wciąż jesteś - zapewniłem ją. Uśmiechnęła się.

- - Dziękuję - powiedziała. Skierowałem się ku drzwiom.
- - Marlowe! - zawołała za mną. Stałem z ręką na klamce i odwróciłem się.
- - Pamiętam wszystko ze szczegółami, co się stało, kiedy mnie odwiedziłeś.

- Ja też - powiedziałem. Uśmiechnęła się.
- Nadal podtrzymuję propozycję - rzekła.

- - Dziękuję - odparłem, uśmiechnąłem się zabójczo i wyszedłem.

- Pojechałem z powrotem Westwood do Village, a stamtąd do Weybum i w górę Hilgard obok Uniwersytetu Kalifornijskiego do Sunset i skierowałem się na wschód. Ledwie znałem Larry'ego Victora, a już miałem go serdecznie dość. Moje małżeństwo było zagrożone, policjanci rywalizowali między sobą, który z nich wymyśli lepszy plan, żeby mnie zamknąć na jak najdłużej, po kątach czyhali Clayton Blackstone i Eddie Garcia, a wszystko, czego się dowiedziałem o Larrym Victorze świadczyło na jego niekorzyść. Może istotnie zabił Lolę, może istotnie był tak głupi, że zabił ją we własnej pracowni. Może zabił również Lippy'ego, może był twardszy, niż myślałem. Jeżeli ktoś jest tak głupi, żeby zabić kobietę we własnej pracowni pokłóciwszy się z nią wprzód publicznie, to czy może być dostatecznie sprytny, aby usunąć z drogi dwóch goryli i zabić Lippyego, gdy sobie popijali, a Lippy patrzył przez okno? Mijałem idiotyczne różowe tynki hotelu Beverly Hills, na wpół zasłoniętego palmami. Po obu stronach Sunset stały duże domy, kosztowne i brzydkie w ten specjalny sposób, w jaki jedynie pieniądze Południowej Kalifornii potrafią połączyć wysoką cenę z brzydotą. Gwiazdy filmowe, reżyserzy, producenci, agenci, ludzie, którzy znaleźli sposób na pakowanie pustki i sprzedawanie jej jako marzenia. Lola musiała szantażować Larry'ego jakimś zdjęciem. I nie byłaby na pewno taka głupia, żeby iść na spotkanie z nim z jedyną posiadaną odbitką. Musiała mieć gdzieś zabezpieczenie. Ale gdzie? Rozbabrałem wszystko w jej domu niczym sałatkę cesarską i niczego nie znalazłem. Nic a nic. Więc gdzie mogła je ukryć? Gdzie ja sam ukryłbym coś takiego? Byłem teraz w dzielnicy nocnych klubów, wśród afiszy reklamujących piosenkarzy, których nigdy nie słyszałem, i butików udających francuskie wiejskie domki. Przy Horn Avenue jakiś facet o długich kędzierzawych czarnych włosach skręcił w Sunset dwuosobowym wozem, który był dłuższy od mojego oldsa. Przejechał z pięćdziesiąt metrów piszcząc oponami z gazem wciśniętym do dechy, i musiał się zatrzymać przed światłami. Samochód był brzydki, niepraktyczny, okazały, nieekonomiczny, nie przeznaczony do jazdy po mieście, ale drogi. Przejechałem przez Hollywood i skręciłem w Kenmore, do domu Loli. Coś mi przyszło na myśl. Trawnik wydawał się jeszcze bardziej zaniedbany, ale wszystko inne wyglądało tak samo. Ludzie umierają, serca pękają, dynastie padają na pysk, a trawa wciąż pomału rośnie i frontony domów wolniuteńko okrywają się patyną. Zaparkowałem na ulicy, podszedłem do frontowych schodków i stanąłem w cieniu daszku. Skrzynka na listy była

- wypchana korespondencją, której Lola nigdy nie przeczyta. Na podłodze pod skrzynką leżały katalogi i ulotki reklamowe. Najwyraźniej nikt nie powiadomił urzędu pocztowego o jej śmierci. Wyjąłem koperty ze skrzynki. Większość z nich to były rachunki, nic osobistego. Otworzyłem drzwi tak samo jak poprzednim razem i wszedłem. Wewnątrz nic się nie zmieniło. Położyłem pocztę na stoliku w hallu i rozejrzałem się po domu. Ostatnim razem szukałem zdjęcia. Teraz czegoś zupełnie innego, klucza, pokwitowania, czegoś, co mi wskaże, gdzie ukryła zdjęcie. To coś musiało być tutaj. I było. Znalazłem je po godzinie. Wśród nie zapłaconych rachunków w szufladzie starego biurka było pokwitowanie z przechowalni na Union Station. W pół godziny znalazłem się pod Union Station, zaparkowałem samochód,

odnalazłem przechowalnię i przedstawiłem kwit. Czarny staruszek poczłapał w głąb katakumbów i po chwili zdającej się trwać wieczność wrócił z kopertą z manili zaklejoną przezroczystą taśmą. Na kopercie było napisane wielkim kwiecistym pismem Lola Faithful. Litera „i” miała duże kółko zamiast kropki. Wziąłem kopertę i usiadłem na wolnej ławce w poczekalni. Rozerwałem kopertę. W środku była duża lśniąca fotografia 8 x 10 cali i mała kopertka z negatywem. Błyszcząca fotografia przedstawiała Muriel Blackstone Valentine w skórzanych butach na wysokich obcasach i niczym poza tym. Uśmiechała się uwodzicielsko i oczy miała szkliste. Podniosłem do góry negatyw i popatrzyłem pod światło. Był to negatyw tej odbitki. Włożyłem negatyw i zdjęcie z powrotem do koperty i skierowałem się pod łukami sklepienia, koło postoju taksówek do miejsca, gdzie stał mój samochód.

32

- Wróciłem do Venice, gdzie Angel pracowała jako kelnerka w czymś, co było zarazem kawiarnią i księgarnią przy plaży. Pora obiadu minęła i siedziało tam tylko kilku wczesnych pijaczków, którzy sączyli drinki przy stolikach na zewnątrz, udając, że ten jeden im wystarczy i piją dla zabicia czasu. Usiadłem i zamówiłem kawę. Przyniosła mi ją Angel.
- - Zaczekaj chwilę - powiedziałem - muszę ci coś pokazać.
- Odepchnąłem nogą krzesło od stolika.
- - Nie wolno mi siadać przy stoliku z klientami – odparła Angel - ale należy mi się przerwa. Możemy pójść na zaplecze.
- Wstałem i poszedłem za nią przez kuchnię do spiżarni, gdzie przy nagiej ścianie z żuźlowych pustaków stały wielkie puszki pomidorów i butle oliwy z oliwek. Za drzwiami był kubeł ze ścierką na kiju. Wyjąłem zdjęcie Muriel i pokazałem Angel.
- - Znasz ją? - spytałem.
- Zaprzeczyła ruchem głowy. Poczerwieniła. Ostatnio oglądałem tyle golizn, że zapomniałem, iż to może ją żenować. Polubiłem ją za to.
- - Bardzo przepraszam - powiedziałem. - Ale to jedyne zdjęcie, jakie mam.
- Nie szkodzi - odrzekła Angel. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. - Ona ma cudowne ciało - powiedziała.
- To zdjęcie zrobił Larry.
- Larry?
- - Nie mogę tego udowodnić, ale wiem, że Lola pokazywała Larry’emu to zdjęcie wtedy, jak się pokłócili. Chciała go tym zdjęciem szantażować.

- Dlatego, że zrobił zdjęcie nagiej kobiety?
- Dlatego, że to jest jego żona - powiedziałem. Angel spróbowała się uśmiechnąć.
- Nie rozumiem - rzekła.

- Larry używa jeszcze nazwiska Les Valentine - wyjaśniłem. - Pod tym nazwiskiem poślubił tę kobietę, Muriel Blackstone, obecnie Muriel Valentine.
- Larry jest moim mężem - powiedziała Angel.
- Tak - odparłem - a Les jest mężem jej, przy czym Les i Larry to jedna i ta sama osoba.
- Nie wierzę.
- Musisz - rzekłem. - Ale to prawda. Ukrywałem to dotychczas przed tobą.
- Nie wiem, czemu przychodzi pan do mnie i opowiada te kłamstwa - powiedziała. - Jest pan albo bardzo zły, albo bardzo chory.
- Zmęczony - odparłem. - Zmęczony brodzeniem w tym błocie. Może twój mąż kogoś zabił, a może nie. \
-

- W każdym razie znowu uciekł i wcale mnie nie obchodzi, gdzie jest. Mam dość tajemnic.

- Pan nie wie, gdzie jest Larry? - spytała Angel. Wszystko, co jej powiedziałem spłynęło po niej nie pozostawiając śladu.
- Nie - odparłem. - A ty?
- Nie. Myśli pan, że coś mogło mu się stać? Nie, myślę, że zrobił to, co umie robić. Uciekł.

- - Na pewno by mnie nie porzucił. Potrząsnąłem głową. Nie wiedziałem, co u licha Les czy Larry zrobił albo gdzie się udał i już zaczynałem wątpić, czy kiedykolwiek się dowiem.
- - Na pewno - powtórzyła Angel. Wyjąłem z portfela wizytówkę i wręczyłem jej. - Jeśli się dowiesz, gdzie jest - powiedziałem - zadzwoń do mnie.
- Nie patrząc wzięła moją wizytówkę. Wątpiłem, czy zadzwoni. Wątpiłem, czy ktokolwiek zadzwoni. Kiedykolwiek. Wyszedłem i ruszyłem wzdłuż plaży. Pacyfik parł w moją stronę. Fale wydawały się zmęczone załamując się ^rozpadając na piasku, a potem znowu formowały się, wycofywały, stawały dęba i znów padały w kierunku plaży. Pora było wracać do Springs.
-

- Linda chodziła niespokojnie po salonie obok organów Hammonda wbudowanych w bar, wzdłuż szklanej ściany z motylami i z powrotem koło kominka nadmiernych rozmiarów. Zdjęcie nagiej Muriel Blackstone stało na barze. Żadne z nas nie patrzyło na nie.
- - Przyznaję, że jestem zdumiona - mówiła Linda.
- - Nie miałem pojęcia, że Muffy Blackstone...
- - Potrzęsnęła głową.
- - Być może większość kobiet żyje w cichej rozpaczce - zauważyłem. - Możliwe, ale muszę powiedzieć, że nie rozumiem, czemu właśnie mój mąż musi wygrzebywać takie rzeczy. Czy ty doprawdy nie czujesz się zażenowany? - rzekła wskazując ruchem głowy zdjęcie.

- Już bardzo dawno - odparłem - przestałem czuć się zażenowany czymkolwiek.
- To szkoda, bo ja nie.
- Ja jestem detektywem, moja pani. Wiedziałaś o tym, kiedy za mnie wychodziłaś.
-

- Chyba nie myślałam, że zawsze nim pozostaniesz.
- Raczej sądziłaś, że zapuszczę cienki wąsik, będę pił porto i nie opuszczając domu potrafię rozwiązywać takie zagadki jak, kto zabił małą Sue Sue, kuzynkę pani Posselthwait w ogrodzie zamkowym hrabiego Boslewicka - powiedziałem. - A czasem będziemy jadali kolacje z jakimś zabawnym inspektorem policji.
- Do licha, Marlowe, czy nie rozumiesz, jak ja się czuję? Nie możesz ustąpić choć trochę?
- Zależy w czym - powiedziałem. - Mogę ustąpić w tym, gdzie mieszkamy albo kogo przyjmujemy, czy dokąd jedziemy w podróż poślubną. Ale ty chcesz, żebym odstąpił od tego, czym jestem. Albo kim. A ja nie mogę. Jestem facetem, który kończy ze zdjęciami porno w swoim ręku.
- I dwoma morderstwami - dodała Linda - a także przypadkiem bigamii?
- Morderstwami i bigamią, i prawdopodobnie czymś jeszcze gorszym - rzekłem. - W ten sposób zarabiam na życie. W ten sposób stałem się takim człowiekiem, za którego zechciałaś wyjść za mąż.
- A gdybym była biedna?
- Nie jesteś biedna. Ja jestem biedny, nie ty - powiedziałem. - Nie ma sensu mówić o tym, czego nie ma.
- Co zrobisz z tą fotografią Muffy? - spytała.
- Nie wiem - odparłem. - Nie rozumiałem tej sprawy przedtem, a teraz jeszcze mniej ją rozumiem.

- Linda podeszła do baru i wzięła zdjęcie.

- Chętnie bym je podarła - powiedziała.

- Wiem - odrzekłem - ale ja porobiłem kopie.
- O wszystkim pomyślałeś, prawda?
-
- - O wszystkim mało ważnym - odparłem. – Nie potrafiłem się domyślić, kto zabił Lolę Faithful czy Lippy’ego. Nie potrafiłem się domyślić, gdzie jest Les Valentine. Nie wymyśliłem sposobu zapobieżenia, aby gliny nie podarły mojej licencji i nie zrobiłem jej kopii.
- Linda położyła zdjęcie na barze.
-
- Może oni zrobili tę fotografię tylko dla siebie - powiedziała.
- Może.
- Kochanie, jedźmy znów do Meksyku. Teraz zaraz. Mogę być w godzinę spakowana.
- W dwie - odparłem. - I zapłacisz za tę podróż, ale gdy wrócimy, będę musiał mimo to zarabiać na życie.
- A niech cię - rzekła Linda. - Niech cię diabli wezmą. - Podeszła do panoramicznego okna i przycisnęła czoło do szyby.
- Wstyd mi przed moimi przyjaciółmi z powodu tego, co robisz. Wyobrażasz sobie, co mówiono w klubie, kiedy musiałam wyciągać cię z aresztu? Jestem przerażona, gdy nie ma cię w domu, i upokorzona, kiedy muszę sama chodzić na przyjęcia, nie wiedząc nawet, gdzie przebywasz.
-
- Powiedziałem jej, że na takie słowa nie może być odpowiedzi.
-
- Wiem, że to ci się musi wydawać okropnie snobistyczne i małostkowe - rzekła Linda. Stała wciąż z czołem przy szybie. - Ale takie jest moje życie i innego nie znam. A ono jest też dla mnie ważne.
- Wiem - odparłem.
-
- Odwróciła się od okna i spojrzała na mnie.
- - Więc co mamy zrobić? - spytała.
-
- Ty musisz wieść swoje życie - rzekłem - a ja swoje.
- I chyba nie uda nam się robić tego razem - powiedziała Linda.

- - Nie, chyba nie. Milczeliśmy długą chwilę.
- - Zwrócę się do swojego adwokata, żeby wystąpił w moim imieniu o rozwód - powiedziała w końcu Linda. - Chcę ci coś zapisać.
- Nie - odparłem. - Nie tknąłbym tego. To nie moje.
- Wiem - przyznała Linda.
- Znowu milczeliśmy. Za ścianą ze szkła taflowego dwie jaskółki wpadły w krzak bougainvillaei i znikły wśród listowia.
- - Przenocuję dziś w pokoju gościnnym - powiedziałem. - Jutro przeniosę się z powrotem do L.A.
- Kiwnęła głową. Łzy spływały po jej twarzy.
- Do licha, Marlowe - rzekła. - My się kochamy.
- Wiem - odparłem. - Dlatego nam tak ciężko.
-
-

34

- Znalazłem umeblowane mieszkanie od frontu na Ivar, na północ od bulwaru, w tynkowanym domu wzniesionym wokół podwórka za czasów, gdy w Hollywood było więcej gwiazd filmowych a mniej dziwek. Moje stare biuro w gmachu Cahuenga było wciąż wolne, więc je zająłem. Biurko, dwie szafki na papiery i stary kalendarz nadal się tam znajdowały, pokój przejściowy nadal pozostawał pusty. Tuż za drzwiami z napisem *Philip Marlowe, Dochodzenia*, leżały na podłodze dwie zdechłe muchy. Włożyłem świeżą butelkę kukurydzianej whisky do dolnej szuflady biurka, umyłem w zlewie w kącie dwie szklanki i byłem gotów do pracy. Tyle że nie miałem pracy. Kuzynka zdechłych much z pokoju przejściowego brzęczała letargicznie przy szybie okiennej za biurkiem. Zadarłem nogi na biurko. Mucha przestała brzęczeć i patrzyła na nieprzenikalną, przezroczystą przestrzeń przed sobą. Potarła łebek przednimi łapkami, potem znów zabrzęczała, ale nie było bigła w tym brzęczeniu. Walka wyglądała na przegraną. Mucha poobijała się chwilę o szybę, a potem znów siadła na parapecie i siedziała na rozcapierzonych nóżkach. Wstałem i ostrożnie otworzyłem okno. Mucha przez jakiś czas trwała bez ruchu, potem brzęknęła raz i uniosła się leniwie za okno, w powietrze przesycone spalinami, trzy piętra nad Hollywood Boule-vard. Po czym znikła. Zamknąłem okno i usiadłem z powrotem. Nikt nie wszedł, nikt nie zadzwonił. Nikt się nie zatroszczył, czy nie mam wścieklizny lub nie wyjechałem do Paryża. W południe wyszedłem, zjadłem kanapkę z szynką i wypłem trochę kawy w lokalu na bulwarze, następnie wróciłem do biura i siedziałem z nogami opartymi o drugi róg biurka. Wciąż miałem zdjęcia nagiej Muffy w środkowej

szufladzie. Wciąż nie wiedziałem, jakie z nich wysnuć wnioski. Negatyw był zamknięty w starym sejfie podłogowym zaraz za drzwiami mego biura. Nadal nie wiedziałem, gdzie jest Les czy Larry i ciągle nie miałem klienta. Nagle usłyszałem, jak drzwi do pokoju przejściowego otwierają się i zamykają. Za chwilę do mego biura wszedł Eddie Garcia, obrzucił je wzrokiem i odstąpił na bok, a wtedy wszedł Clayton Blackstone. Eddie podszedł i oparł się o jedną z szafek. Blackstone usiadł na fotelu dla klienta. Był w dwurzędowym szarym garniturze w prążki, który kosztował więcej niż mój samochód.

- Opuścił pan pustynię - rzekł.
- Wieści szybko się rozchodzą - odparłem. Clayton uśmiechnął się.

- - Przykro mi z powodu rozpadu pańskiego małżeństwa.
- Wzruszyłem ramionami.

- Czy już dogrzebał się pan do dna tego bałaganu? Ręce Blackstone'a spoczywały nieruchomo na poręczu. Paznokcie miał wypolerowane. Na środkowym palcu prawej ręki widniał duży brylant.
- Może on wcale nie ma dna - odparłem.
- To znaczy, że nie - rzekł Blackstone.
- Taa.
- Niech pan powie, co pan wie.
- Czemu?

- Garcia zaśmiał się krótkim szczeknięciem. Blackstone potrząsnął głową nie patrząc na niego. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął portfel ze świńskiej skóry z rodzaju tych długich, za wielkich do kieszeni spodni. Wydobył z portfela pięć studolarówek i położył jedną obok drugiej na biurku.

- Temu - odparł.
- Chce mnie pan zatrudnić?

- Eddie znów zaśmiał się swoim szczekliwym śmiechem.
- - Widzi pan, panie Blackstone, mówiłem, że facet jest bystry.
- Blackstone kiwnął głową.

- Tak - rzekł - chcę pana zatrudnić. Chcę, żeby się pan dowiedział, gdzie jest mój zięć. Pragnę, aby pan doprowadził te dwie sprawy o morderstwo do zadowalającego końca. Pragnę, aby życie mojej córki znów stało się normalne i miłe.
- A jeśli wynik okaże się taki, że to pana zięć kropnął ich oboje? - zapytałem.
- Blackstone wzruszył ramionami. Spojrzałem na leżące na biurku pięćset dolarów.
- Nie potrzebuję aż takiej zaliczki.
- Więc niech pan weźmie taką, jakiej pan potrzebuje, a resztę zatrzyma na poczet kosztów.
- Kiwnąłem głową.
- Dlaczego właśnie ja? - zapytałem. - Dlaczego nie opłaci pan paru glin, albo nawet sędziego czy prokuratora, żeby ukręcili sprawie łeb?
- Moja córka chce odzyskać męża - rzekł Blackstone.
- - Pańska propozycja nie wiedzie do tego celu.
- Dobra - odparłem. Schyliłem się zgarnąłem setki i włożyłem do mego portfela. Nie było im tam tłoczno.
- Jeżeli będzie się pan chciał ze mną skontaktować, niech pan dzwoni do Eddiego. On nas skontaktuje. Ma moje pełne zaufanie. - Pochylił się i położył małą białą karteczkę na biurku. Na kartce nie było nic, oprócz numeru telefonu wypisanego czarnym atramentem.
- Spojrzałem na Eddiego.
- Moje też - powiedziałem.
- Moim jedynym warunkiem, Marlowe, jest, aby pan o wszystkim mi meldował. Nie zatrudniam pana po to, aby pan plotkował na policji.
- Będzie pan miał pierwszy spojrzenie na wszystko - odparłem. - Ale mogą się zdarzyć

rzeczy, o których będę musiał donieść policji. Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem. Moje ustępstwa na rzecz klienta są ograniczone.

- Ja muszę o wszystkim wiedzieć pierwszy - rzekł Blackstone. - Wszelkie inne kwestie będziemy rozstrzygać w miarę ich wyływania.
- Dla mnie cacy - powiedziałem.
-
-
- Wstał i odwrócił się. Eddie Garcia wysunął się przed niego i wszedł w drzwi pierwszy. Blackstone wyszedł za nim. Żaden z nich nie powiedział do widzenia.
-
-

35

Znowu pracowałem. Pomijając fakt, że teraz miałem pieniądze w portfelu, nie czułem się inaczej jak wtedy, gdy nie pracowałem. Nadal nie miałem pojęcia, co robić, aby zarobić na otrzymaną zapłatę i zaliczkę na poczet kosztów. Dla odmiany okręciłem się w krześle obrotowym i patrzyłem przez okno na Hollywood Boulevard. Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy to, że już najwyższy czas, aby zmieniono tłuszcz we frytownicy w jadłodajni na dole. W kotle L.A., na południu, zaczynały się formować groźne chmury deszczowe. Wieżowce w śródmieściu tonęły w szarości, która kończyła się przed Hollywood. Tutaj słońce wciąż świeciło. Ale tylko narazie. Za chwilę chmury deszczowe przetoczą się na północ, uderzą we wzgórza i spadnie rzęsisty deszcz. Nieraz to widywałem. Patrzyłem chwilę jak chmury deszczowe się zbliżają, potem okręciłem się z krzesłem, wyjąłem jedno ze zdjęć Muriel i włożyłem je do koperty. Wsunąłem też do środka swoją wizytówkę, na której napisałem: „Czy zechce mi pani powiedzieć coś na temat tego zdjęcia?” Dopisałem również adres biura na Hollywood Boulevard, zakleiłem i zaadresowałem kopertę. Następnie wstałem, zszedłem na dół, na pocztę, nadałem kopertę jako list polecony i wróciłem do biura. Dla zabicia czasu nalałem sobie drinka z nowej biurowej butelki. Kończyłem właśnie przedostatni łyk i zastanawiałem się, czy wypić jeszcze jeden, gdy usłyszałem, że drzwi do pokoju przejściowego otwierają się. Może będę musiał wynająć sekretarkę. Wypiłem ostatni łyk whisky, przybrałem pewny siebie uśmiezek a do mego biura wszedł Les Valentine czy też Larry Victor.

- Łatwo poszło - powiedziałem.
- Hę?
- Ktoś mnie właśnie najął, żeby cię odnalazł.
- Kto? Potrząsnąłem głową.

- - Dzwoniłem do twego biura w Poodle Springs, ale mi powiedziano, że telefon został odłączony. Zadzwoiłem więc do twojej żony, mam nadzieję, że nie wezmiesz mi tego na złe, a ona powiedziała, że znowu podjąłeś tu pracę.
- Kiwnąłem głową. Larry wyglądał, jakby sypiał na stacjach autobusowych i mył się w męskich toaletach.
- - Mogę usiąść? - spytał.
- Wskazałem ruchem głowy fotel klienta. Usiadł wygładzając dłońmi spodnie, jakby mógł w ten sposób przywrócić im kandy. Rozsiadł się i poklepał po kieszeniach.
- - Cholera - rzekł - zapomniałem kupić. Nie masz papierosa?
- Pchnąłem mu przez biurko paczkę z książeczką zapalek wsuniętą pod celofan. Wyjął jednego, zapalił i wciągnął dym w płuca, jakby to był tlen. Miał na sobie płowe gabardynowe spodnie, żółtą koszulę w kratę, zapiętą pod szyję, i kremową sportową marynarkę z tweedu zdobionego jedwabną nicią. W górnej kieszonce miał chusteczkę koloru teąuli. Albo takie to wszystko musiało być kiedyś. Teraz ubranie było zmięte a na koszuli widniały plamy. Elegancka chusteczka musiała służyć mu za ręcznik i była wtłoczona w kieszonkę marynarki tak, że tylko jej koniuszek zwisał na zewnątrz. Nie golił się od kilku dni i jego zarost był przetkany siwizną. Łysiejące włosy domagały się szczotki i fryzjera. Zobaczył, że mu się przyglądam.
- - Byłem w drodze - rzekł. - Nie miałem jeszcze okazji doprowadzić się do porządku.
- Kiwnąłem głową. Butelka wciąż stała na biurku. Patrzył na nią jak krowa na łączkę.
- - Napijesz się? - spytałem.
- - Z chęcią - odparł. - Słońce już zapadło za reję. Wstałem, wziąłem ze zlewu drugą szklanekę, przyniosłem i nalałem nam obu po sporej porcji. Chwycił szklanekę i wyłopał chyba jedną trzecią, zanim odstawił drinka na skraj mego biurka. Nie wypuścił go z ręki. Siedział trzymając szklanekę stojącą na biurku. Wyjąłem fajkę i zacząłem ją nabijać. Wypił połowę pozostałej whisky, a kiedy odstawił szklanekę, wziąłem butelkę i znów ją napełniłem. Sprawiał wrażenie, jakby się miał rozplakać z wdzięczności. Dokończyłem nabijania fajki i zapaliłem, a potem wypilem malutki łyżeczek swojej drugiej whisky. - Miło się tu urządziłeś - powiedział.
- - Chyba dla szczurów - odparłem. - Czy przyszedłeś do mnie w jakimś określonym celu?
- - Jesteś zbyt wymagający. To przyjemne biuro - rzekł.
- - Może nie bardzo efektowne, ale to tylko zewnętrzny wygląd. Widziałeś moją pracownię. Biurko, szafka, czego, u licha, człowiek więcej potrzebuje?
- Wypił jeszcze trochę whisky i oparł się wygodnie. Zrelaksował się po alkoholu.
- - Chłopie, wierz mi, to jest napój z odpowiedniej beczki.
- Czekałem. Wiedziałem, że będzie przez chwilę kołował, ale wiedziałem też, że jest w rozpaczliwym położeniu. Tak bardzo pragnął się ze mną zobaczyć, że dzwonił do Lindy. Schylił się i wziął paczkę papierosów.
- - Mogę?
- Kiwnąłem głową. Zapalił, zaciągnął się dymem, wlał w usta trochę whisky, połknął i wypuścił dym.
- Gliny chyba wciąż na mnie dybią - rzekł.

- Tak - odparłem. - Na mnie też.
 - Ja nie zabiłem tej dziwki - rzekł. - Do licha, ty mi wierzysz, bo mi pomogłeś zwać.
 - Głównie dzięki Angel - odparłem.
 - Angel?
 - Mówiłem ci, wyglądaliście na szczęśliwych. Jestem pies na cudze szczęście.
 - Taa, chyba i tobie sprawy nie za dobrze się układają
-
- - powiedział. - Ta przeprowadzka z powrotem do miasta i w ogóle.
 - Pyknąłem fajką.
-
- Nie uważasz, że ja ją zabiłem, prawda?
 - Ja już nic nie wiem - odparłem. - A co z Lippym?
 - Z Lippym?
 -
-
- Taa, zabiłeś go?
 - Lippy'ego? Lippy nie żyje?
 - Nie wiedziałeś? - zapytałem.
 - Skąd miałem wiedzieć - odrzekł. - Nie byłem w Springs od tygodnia.
 - Skąd więc wiesz, że został zabity w ubiegłym tygodniu?
 - Rany, nie wiem. Dowiedziałem się dopiero od ciebie, a myślę, że w Springs to sensacja.
 - Aha.
-
- Ja nikogo nie zabiłem, Marlowe. Jesteś jedynym człowiekiem, z którym mogę rozmawiać, jedynym, z którym mogę mówić szczerze.
 - Jak wtedy, kiedy zawiozłem cię do Muriel. Gdy obiecałeś, że tam pozostaniesz.
 - Taa, wiem. Wiem, że cię zawiodłem. Ale musiałem. Musiałem stamtąd uciec. Ty nie wiesz, jaka ona jest. Jej pieniądze, jej ojciec, jej potrzeby, jej pragnienia... Ja się tam dusiłem, Marlowe.
-
- Sięgnąłem do szuflady i wyjąłem jedną ze lśniących fotografii Muriel Valentine. Uniosłem ją tak, żeby mógł zobaczyć.
-
- Powiedz mi coś o tym.
 - Rany - rzekł. - Skąd ją masz?

- To jest fotografia, którą ci Lola Faithful pokazała w barze, zanim została zabita, tak? - spytałem.
- Skąd ją masz?, Skąd, Marlowe?
- Od dobrej wróżki - odparłem.

- Wypił jeszcze trochę kukurydzianej whisky, zgasił papierosa w okrągłej szklanej popielniczce na biurku i wyjął z paczki następnego bez pytania.

- Właśnie w ten sposób ją poznałem - rzekł.
- Pozowała do zdjęć porno? - zdziwiłem się.
- Lubiała to - powiedział. - Wiedzieli o tym ludzie z branży. Zapytaj kogo chcesz. Zepsuta bogata dziewczyna wchodzi i daje się fotografować nago. Najśmieszniejsze, że musiała wiedzieć, iż zdjęcia będą wykorzystywane. Chciała, żeby były sprzedawane, rozumiesz, rozprowadzane. Chciała wiedzieć, że każdy z ulicy będzie mógł je dostać i obejrzeć.
- A więc natychmiast na to przystałeś - rzekłem.
- Nie, rany, Marlowe, ale z ciebie sarkastyczny drań.
- Staram się - odparłem. - Czy zaprowadziłeś ją prosto do domu i przedstawiłeś Angel?
- Do licha, to była moja szansa. Klepałem biedę całe lata. Człowieku, jestem cholernym artystą, a zarabiałem na życie robiąc zdjęcia porno i nic więcej. Ta dziwka miała więcej forsy niż Howard Hughes, tyle forsy, ile potrzebowałem.. dla siebie, oczywiście, ale i dla Angel. Ta dziewczyna zasługuje na wszystko.
- A spójrz, co otrzymała - powiedziałem.
- Marlowe - rzekł. - Nie wiem, co robić. Jeżeli gliny mnie znajdą, wszystko wyjdzie na jaw.

- - Jeżeli robiłeś jej zdjęcia - powiedziałem – jak mogłeś przed nią ukryć, że się nazywasz Larry Victor?
- - Posługiwałem się wtedy nazwiskiem Valentine. Rozumiesz, to było coś w rodzaju nazwiska scenicznego. Miałem studio na Highland, koło Melrose. Próbowałem zajmować się poważnym fotografowaniem pod prawdziwym nazwiskiem. A kiedy nadarzyła się okazja, żeby się z nią ożenić, otworzyłem nową pracownię pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

- Żeby Angel niczego się nie dowiedziała.
- Taa. Nie chciałem, aby Angel miała jakikolwiek związek z Lesem Valentinem. Ona nie wiedziała, że posługuję się tym nazwiskiem.
- A twoja matka zna twoje nazwisko? - zapytałem.
- Marlowe, ja nikogo nie zabiłem, ale jeżeli gliny mnie złapią, cała rzecz wyjdzie na jaw. Angel się dowie, dowie się Muriel./
- I dowie się jej stary i wyśle bardzo twardego faceta nazwiskiem Eddie Garcia, żeby się

zapytał, czemu doprowadziłeś do takiego stanu małżeństwo z jego córką.

- Wyjąłem jedną z setek, którą dał mi jego teść w biganii i pchnąłem ją przez biurko do Victora.
- - Na Wilcox jest karaluszarnia - powiedziałem.
- - Tuż na południe od bulwaru. Gwiazdny Motel. Zamelduj się tam, doprowadź do porządku, zjedz coś i siedź tam. Zrobię, co będę mógł. Jeśli cię tam nie zastanę, gdy będziesz mi potrzebny, wszystko o tobie rozpowiem i zajmij się sobą sam.
- Victor wziął banknot i wlepił w niego wzrok.
- - Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko – spytałem - Victor czy Valentine? - Victor... właściwie najpierw było Schlenker, ale je zmieniłem.

- Na Victor - powiedziałem. - Larry Victor. Kiwnął głową.
- Dobra, Larry. Idź tam i czekaj na mnie.

- - Jak długo? - spytał. - No, bo nie mogę siedzieć beczynie. Nie mogę tkwić wiecznie w jakiejś karaluszarni.

- - Niech tylko Blackstone się dowie, a utkwisz na tamtym świecie - powiedziałem. - Zrobię, co będę mógł.
- Victor z zapalem przytaknął ruchem głowy. Wstał, włożył moje papierosy do kieszeni koszuli, złożył banknot i wsunął do kieszeni spodni.
- - Butelkę zostaw - powiedziałem.
- Uśmiechnął się machinalnie i potarł brodę otwartą dłonią.

- Odezwiesz się? - spytał. Kiwnąłem głową. Ruszył ku drzwiom.
- Powiedziałem Angel o Muriel - rzuciłem za nim. Zatrzymał się nie odwracając.
- I co ona na to? - spytał stojąc tyłem do mnie.
- Nie uwierzyła mi - odparłem. Nadal zwrócony do mnie plecami spytał:
- A powiedziałaś Muriel?
- Nie.

- Kiwnął głową i nie obejrzawszy się podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł.

- - Zadzwoniłem do Eddiego Garcii pod numer, który dał mi Blackstone, i Eddie zgodził się spotkać ze mną na pirsie Bay City. Kiedy tam przybyłem, czekał przy końcu pirsu oparty o barierkę. Obserwował ptaki, które latały nad falami wypatrując ryb i krążyły nad pirssem w poszukiwaniu odpadków. Chmury cofnęły się znad kotła L.A. i ocean wydawał się szary i przylizany, a fale poruszały się leniwie pod zaciągniętym niebem. Zerwał się wiatr niosąc chmury deszczowe, załamywał wierzchołki fal i odrywał od nich bryzę. Garcia miał na sobie lekki trencz z podniesionym od wiatru kołnierzem. Kiedy się zbliżyłem, Garcia obrócił się tyłem do barierki, wsparty o nią łokciami i spojrzał na mnie.
- Ładny dzień wybrałeś, przyjemniaczku, żeby mnie wyciągnąć - rzekł.
- To ty sam chciałeś się spotkać na pirsie - odparłem.
- - Bo to dobre miejsce na rozmowy. Kiwnąłem głową.
- - Mnóstwo otwartej przestrzeni i można nie obawiać się zasadzki.
- W świetle dziennym, z bliska, widziałem kurze łapki w kącikach oczu Garcii, głębokie bruzdy koło ust. Nie wyglądał na zmęczonego, a tylko starzej niż myślałem.
- Więc o co chodzi, przyjemniaczku?
- Powiedz mi o Muriel Blackstone - poprosiłem. Coś się jakby poruszyło poza oczami Garcii. Twarz pozostała nadal bez wyrazu.
- - Czemu? - spytał.
- Jestem w kropce, Eddie - powiedziałem. - Na pewno znajdę Victora i zdołam dopilnować, żeby wrócił do Muriel, ale nie jestem wcale taki pewien, czy to wszystkim wyjdzie na dobre.
- Dlaczego?
- Bo to wcale nie jest taki kławy facet. Garcia zaśmiał się swoim szczekliwym śmiechem.
- Wszyscy o tym wiemy.
- W grę wchodzi jeszcze inni ludzie - powiedziałem. - Ja pracuję dla Blackstone'a - rzekł

Garcia. - Ty też.

- Co nie znaczy, że ja jestem jego własnością - odparłem. Słowa te nie miały żadnego znaczenia. Mówiłem byle mówić, chcąc zyskać na czasie, samemu zrozumieć, o co mi chodziło.
- Nie znaczy też, że jestem jego własnością - rzekł.

- - I co z tego?
- - Czy Blackstone wie, że ona podejrzanie się prowadzi?
- - zapytałem.
- Eddie wyprostował się troszeczkę przy barierce. Oczy mu się zwęziły.

- -Podejrzanie się prowadzi - powtórzył.
- Ja też byłem w trenczu. Każdy dobrze ubrany gangster miał trencz. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni i wyjąłem jedno ze zdjęć Muriel. Czułem się jak ktoś handlujący francuskimi pocztówkami. Garcia wziął zdjęcie i przyjrzał mu się bez wyrazu. Gdy mi je zwracał, spadła na nie kropla deszczu - jedna kropla, duża, wielkości pięciocentówki. Wokół, na piersi, słyszałem inne, rozpryskujące się sporadycznie. Wytarłem zdjęcie o trencz i wsunąłem z powrotem do kieszeni. Garcia spojrział na mnie ze słabym uśmiechem.

- Gdyby tu był Blackstone, już byś nie żył - rzekł.
- On by mnie zabił?
- Kazałby mnie to zrobić - odparł Eddie.

- - Taa - powiedziałem. - Czuję, jak mi drżą wargi.

- Skąd masz to zdjęcie?
- Nieważne - odparłem. Deszcz zaczął się wzmacniać, krople wielkości pięciocentówki padały coraz gęściej. - Czy Blackstone wie o niej?

- Garcia milczał, myśląc. Stałem i czekałem, aż się namyśli. W końcu rzekł:

- Taa. Wie. Dziewczyna była zepsuta od dziecka. Alkohol, podejrzane towarzystwo,

narkotyki. Kiedy była młodsza, spędzałem mnóstwo czasu na zawracaniu jej ze złej drogi.

- Na przykład? - zapytałem.
- Na przykład żyła z jakimś hollywoodzkim kochasiem w Zuma Beach i musiałem jechać i rozmawiać z facetem, żeby zostawił ją w spokoju. Albo jak było z tym czasopismem, mało znanym, co to wydają dwa numery, a potem
-
- likwidują się i ukazują pod innym tytułem. Mieli tam ją na rozkładówce. - Garcia uśmiechnął się dziko. - Miało się to nazywać *Błękitnokrwista Nimfetka*. Musiałem iść rozmawiać z wydawcą. Takie rzeczy.
- - Poznała Victora, kiedy robił jej to zdjęcie – powiedziałem.
- Garcia kiwnął głową.
- Taa. Blackstone ciągał ją po lekarzach, jeździł z nią nawet do Szwajcarii. Ekshibicjonizm, mówili. I całe mnóstwo innych bzdur, na których się nie znam. Ale jej nie wyleczyli. Skończyło się na samym gadaniu.
- Długo jesteś u Blackstone'a? - zapytałem.
- Trzydzieści jeden lat - odparł.
- To już coś więcej niż praca u kogoś.
- Więc skąd masz to zdjęcie, przyjemniaczkę? - spytał Garcia. Deszcz teraz padał regularnie znacząc kropki na gładkiej powierzchni fal.
- Lola Faithful miała je schowane na Union Station. Znalazłem kwit w jej domu.
- A czemu gliny go nie znalazły? - spytał.
- Bo go nie szukały - odparłem. - Ja widziałem kłótnię w barze. Wiedziałem, że jakieś zdjęcie musiało być.
- Skąd ona je wzięła?
- Nie wiem - odrzekłem. - Była martwa, kiedy się z nią zetknąłem.
- Próbowwała szantażować Larry'ego tym zdjęciem - rzekł Garcia.
- Kiwnąłem głową. Deszcz zmoczył ciemne włosy Garcii i woda spływała mu po twarzy. On jednak jakby tego nie zauważył.
- - I on ją kropnął - rzekł. Wzruszyłem ramionami.

- Może - powiedziałem. - Albo poszła z nim do innych.
 - Do Muffy? - spytał Garcia.
 - A może nawet do samego źródła.
 - Do Blackstone'a - rzekł Garcia.
-
- - Co prawdopodobnie oznacza ciebie. Używasz małokalibrowego pistoletu?
 - Dwa górne guziki płaszcza Garcii były rozpięte. Wykonał błyskawiczny ruch i w jego ręce pojawił się pistolet. Obrócił się i strzelił. Pikująca mewa nagle przekoziółkowała i spadła do oceanu. Garcia odwrócił się z pistoletem na otwartej dłoni. Było to pękate magnum kaliber 11,2 mm, niklowane, z pięciocentymetrową lufą. Wywierciłoby dziurę wielkości piłki tenisowej w głowie Loli Faithful. Garcia wykonał drugi błyskawiczny ruch i pistolet znikł pod płaszczem.
-
- Nieźle - powiedziałem - przy tak krótkiej lufie.
 - Zapamiętaj to sobie - rzekł Garcia. - Na twoim miejscu odnalazłbym Lesa Valentine'a, sprowadził go do Muffy, wziął forszę pana Blackstone'a i się zmył.
-
- Rzęsisty ciepły deszcz siekł zajadle. Czuję już wilgoć za kołnierzem. Nadciągnął silny wiatr i natarł na nas.
 - - Pan Blackstone w końcu wydał ją za mąż, rozumiesz? Facet jest nicpoń, zgoda. Ty to wiesz, ja wiem i pan Blackstone wie. Ale Muffy nie wie, a jeśli nawet wie, z pewnością nie dba o to. I pan Blackstone nie dba o to. Schował ją pod korcem, w Springs, ściągnął bezpiecznie z ulic. Comprenez, przyjemniaczkę? Spieprz sprawę, a pan Blackstone każe mi cię odszukać.
 - - Jeśli tak robi, Chico, wiesz, gdzie mnie szukać - odrzekłem. Chwilę patrzyliśmy na siebie w deszczu, na napierającym wietrze, z dala od innych ludzi, na odległym końcu miejskiego pirsu nad opasłym szarym oceanem, szmat drogi od Poodle Springs.

- Kiedy wróciłem ze spotkania z groźnym Eddie'm Garcia, była pora kolacji. Wziąłem długi prysznic, włożyłem suche ubranie, nalałem sobie sporo whisky z wodą sodową, usiadłem i zadzwoniłem do Lindy. Słuchawkę podniósł Tino.
- - Pan Marlowe - powiedział. - Tak mi przykro, że pana nie ma. Mam nadzieję, że wkrótce pan powróci.
- Mruknąłem coś dla zachęty i czekałem, aż przywoła Lindę. Gdy przyszła, głos miała czysty jak blask księżyca.

- Kochanie - powiedziała - czy ci tam ciepło i bezpiecznie?
- Chciałem, żebyś miała ten telefon - podałem jej numer telefonu. - To jest umeblowane mieszkanie przy Ivar. Nie ma służącego, nie ma basenu ani baru z klawiaturą. Nie wiem, jak to przeżyję.
- To straszne, na jakie warunki godzą się niektórzy - rzekła Linda. - Mam nadzieję, że przynajmniej popijasz przyzwoity dżin z sokiem z limony.
-
- Oczywiście - odparłem. - Wiesz, że w Hollywood można dostać wszystko, co się tylko zechce.
- Nie czujesz się samotny, kochanie?
- Ja? Samotny? Jak się rozeszło, że wróciłem, po Western Avenue ruszył tłum młodych gwiazdek filmowych z Paramount.
-
- Przez chwilę milczeliśmy oboje. Łączące nas druty brzęczały leciutko z napięcia.
-
- Kochanie, nie gniewaj się, ale Tatuś otwiera fabrykę, chodzi o jakieś łożyska kulkowe, w Long Beach i pyta, czy nie zechciałbyś zająć tam stanowiska... dyrektora ochrony.
- Nie - odparłem.
- Zamieszkamy w La Jolla. Mamy tam małą posiadłość i będziesz wyjeżdżał do pracy rano a już o wpół do siódmej wieczorem będziesz codziennie w domu.
- Nic z tego, Linda.
-
- Wiem - odrzekła. - Wiedziałam to, zanim ci powiedziałam, kochanie, ale tak mi ciebie brak. Brak mi cię przez cały czas, ale najwięcej w nocy. Ty wiesz, że nie cierpię sama spać, kochanie.
- Mnie też ciebie brak - powiedziałem - tylko nie wtedy, kiedy są u mnie gwiazdeczki filmowe.
- Ty draniu - rzekła. - Czemu jesteś takim draniem, czemu musisz być taki nieugięty, czemu nie chcesz ustąpić?
- Bo to jest wszystko, co posiadam. Nie mam pieniędzy. Nie mam widoków na przyszłość. Mam tylko to, czym jestem. Kilka własnych zasad, jakie dla siebie przyjąłem.
- Słyszę, co mówisz, ale do licha, nie wiem, jakie to ma znaczenie. Wiem tylko, że cię kocham i chcę, żebyś był ze mną. Czemu to jest takie złe?
-

- - Wcale nie jest, jest dobre. Ale ty chcesz, żebym był inny niż jestem. A jeśli się zmienię, przepadnę. Bo nie mam nic innego prócz tego, kim jestem. Zapadła długa cisza w słuchawce, a potem Linda rzekła łagodnie: - A niech cię, Marlowe, niech cię diabli. - Odłożyła słuchawkę delikatnie, a ja pottrzymałem swoją chwilę przy uchu, po czym też delikatnie odłożyłem. Pociągnąłem spory łyk szkockiej i rozejrzałem się po wynajętym pokoju z wynajętymi meblami. Uroczy mi jak od Searsa i Roebucka. Wstałem, podszedłem do okna i wyjrzałem. Było ciemno. Nie widziałem nic, prócz własnego odbicia w czarnej szybie poznaczonej strużkami deszczu: 42-letni mężczyzna, samotnie popijający w wynajętym mieszkaniu w Hollywood, a tymczasem nad chmurami wszechświat przetaczał się nad ciemnymi równinami Republiki wolno ku wschodowi. Odwróciłem się od okna i poszedłem do kuchni, żeby sobie nalać nowego drinka.

38

- Rano wciąż lało. Był to jednostajny deszcz z solidnych chmur i wyglądało, że już nigdy nie ustanie. Strząsnąłem wodę z mego trencza i powiesiłem go w kącie biura. Miałem kawę w papierowym kubku, którą kupiłem na dole i usiadłem przy biurku, żeby ją wysączyć. W kaburze pod pachą czułem rewolwer kaliber 9,6 mm. Wziąłem go, bo Eddie Garcia wypowiadał się dość groźnie, a poza tym, rewolwer mógł mi się przydać na wypadek gdyby deszcz nie przestał padać i musiałbym przebijać się siłą przez tłum do arki. Łyknąłem tylko odrobinę kawy, bo była za gorąca, po czym odstawiłem kubek na róg biurka, gdzie mogłem sięgnąć, gdy ostygnie. Drzwi do pokoju przejściowego otworzyły się i zamknęły. Usłyszałem stukot obcasów i weszła zmoknięta Muffy Blackstone. Ubrana była w szkarłatny płaszcz od deszczu i dopasowany do niego kapelusz. Przez ramię miała przewieszoną sporą torebkę a na nogach lśniące czarne buty z wysokimi obcasami. Ręce trzymała w kieszeniach płaszcza. Wyjęła jedną z nich, żeby zamknąć drzwi za sobą, potem przymaszerowała przed biurko i spojrzała na mnie z góry.
- - Pogoda w sam raz dla kaczek - rzekłem miło. Wciąż patrzyła. Wskazałem ruchem głowy kubek na rogu biurka. Ciągnęła się od niego mała strużka.
- - Chce pani łyeczek? - spytałem. - Nie mam drugiego kubka, ale dziś rano wyszorowałem zęby.
- Wyjęła ręce z kieszeni, otworzyła przewieszoną przez ramię torebkę i wyjęła dużą kopertę z manili, którą jej posłałem. Rzuciła ją na moje biurko bez słowa. Sięgnąłem ręką, wziąłem kopertę i wyjąłem z niej zdjęcie. Spojrzałem na zdjęcie, a potem na nią przekrzywiając w pewnej chwili głowę, aby porównać jej twarz z twarzą na fotografii.
- Tak jest - powiedziałem w końcu - to pani.
- Skąd pan je wziął? - spytała. Twarz była bardzo napięta, ale głos zadziwiająco śpiewny.
- - Lola Faithful miała je schowane - odparłem. - Znalazłem je w przechowalni bagażu na Union Station.

- Czemu pan mi je przysłał? - spytała. Śpiewność jej głosu zaznaczyła się wyraźniej. Zdałem sobie sprawę, że to nie wyraz spokoju, ale zaśpiew histeryczny.
- Od początku się poruszam po obrzeżach sprawy. Pomyślałem więc, że jeśli ja nie mogę dotrzeć do jej wnętrza, to może uda mi się sprawić, że ktoś z niego wyjdzie na zewnątrz.
- Pan...próbuję... - Głos zaczął ją zawodzić. Najpierw unosił się piskliwie, a potem załamywał i wtedy zaczęła znowu w dolnych rejestrach. - Pan... próbuje... zniszczyć... moje małżeństwo - trelowała.
-
- Potrząsnąłem głową.
- Nie, próbuję *znaleźć* pani męża i dowiedzieć się, kto zabił Lolę Faithful i Lippy'ego - powiedziałem. - I jak dotąd idzie mi cholernie źle.
- Kto... Komu pan... pokazał to... zdjęcie?
- Nie pokazałem go pani ojcu - odrzekłem.
- Zostaw mojego ojca w spokoju, ty nędzny... - Słowa te wyrwały jej się z ust i nie miała dla nich zakończenia. Nie mogła wymyślić nic dostatecznie nędznego, co by do mnie pasowało.
- Sądziłem, że pani lubi, aby pokazywać pani zdjęcia - powiedziałem. - Czemu się pani ciska?
- - Co pan wie? - zapytała głosem, który utracił śpiewność. Zapadł w głąb klatki piersiowej. W lewym kąciku jej ust ukazała się banieczka śliny. Muffy wciąż stała przed moim biurkiem, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach płaszczka od deszczu. Miała jaskrawo czerwoną szminkę i grubo nałożony makijaż, ale jej twarz była blada, niemal kredowa, jakby nigdy nie oglądała pustyni.
- Wiem, że poznała pani Lesa podczas zdjęć w jego studio na Highland Avenue. Wiem, że lubiła pani pozować nago, chciała, aby jej zdjęcia były rozprowadzane i oglądane. Wiem, że pani życie wypełniały narkotyki, alkohol i cały szereg nieodpowiednich mężczyzn, a także wiem, że ojciec musiał panią wykupować od każdego z nich.
- Albo posyłać Eddie'go - dodała. Banieczka śliny wciąż tkwiła w kąciku ust.
- Czekałem. Przez chwilę gryzła dolną wargę rozmazując grubą warstwę szminki. Polizwała kąciki ust koniuszkiem języka. Najpierw prawy, potem lewy. Banieczka śliny znikła.

- Pan pracuje dla mojego ojca? - zapytała.
 - Zatrudnił mnie, żebym odnalazł Larry'ego i sprowadził go do domu.
 - Niech go pan tak nie nazywa - powiedziała głosem z głębi piersi. - Niech go pan nie nazywa Larrym.
 - Dobrze - odrzekłem.
 - On wcale nie chce, żeby pan sprowadził Lesa do mnie. On chce go znaleźć, żeby Eddie mógł go zabić.
 - Czemu miałby tego chcieć? - spytałem.
 - Bo nie chce, aby ktoś mnie miał. Nigdy mnie nie da nikomu. Zawsze znajduje jakiś sposób.
 - Jak więc zezwolił na ślub z Lesem?
- Uciekliśmy, a gdy wróciliśmy, byliśmy po ślubie - powiedziała. - Było już za późno.
- To by nie stanowiło przeszkody dla takiego człowieka jak Blackstone - odparłem. - Taki drobiazg jak ślub? A już najmniej dla Eddie'go Garcii.
 - Wiedziałem, że pan mi nie uwierzy - powiedziała. Jej głos zaczął się znów robić piskliwy. - Nikt mi nie zechce uwierzyć. On zniszczy i to... jak zniszczył wszystko inne... a pan mu dopomoże.
- Banieczka śliny znów się pojawiła w kąciку jej ust, a głos wszedł w zasięg słyszalny tylko dla psów.
 - - Proszę usiąść, pani Valentine - powiedziałem. Jej ręce wychynęły z kieszeni i w prawej tkwił pistolet. Nie wielki. Był posrebrzany i o ile zdołałem się zorientować miał okładziny z macicy perłowej. Ładny pistolecik, jakie noszą panie, mała śliczna automatyczna zabaweczka kaliber 6,2 mm. Okrutne czarne oko pistoletu ani drgnęło, kiedy mierzyła we mnie. Nie wywierciłaby mi dużej dziury w czole. Prawdopodobnie kula nie zrobiłaby nawet otworu wylotowego, rykoszetowałyby jedynie wewnątrz czaszki, tak że coroner mógłby ją znaleźć bez trudu, gdyby robili mi sekcję zwłok w śródmieściu.
 - Trzymała pistolet obiema rękami, wprost przed sobą, z nogami lekko ugiętymi i rozstawionymi wygodnie stopami, jak ją zapewne nauczono. Usta miała rozwarte a język przesuwiał się szybko w tę i z powrotem po dolnej wardze. Oddychała przez nos krótkimi sapnięciami.
 - - On mnie kocha - powiedziała. - I nie pozwolę... żebyś... zepsuł...
 - Wszystko działo się okropnie wolno. Deszcz siekł bezgranicznie leniwie o szybę za moimi plecami. Widziałem kropelkę wody meandrującą po klapie płaszcza Muriel.
- Oni wszyscy usiłowali je zniszczyć, prawda? - powiedziałem.

- Tak - szepnęła.
- I pani musiała ich zabić?
- Tak - wyszeptała znowu z długim westchnieniem.
- Lolę - powiedziałem. Kiwnęła wolno głową. - Lip-py'ego. - Znowu kiwnęła.

- Sięgnąłem wolno ręką i wziąłem kubek z kawą.
- - Ale nie mnie - powiedziałem. - Ja staram się pomóc. Wiem, gdzie jest Larry.
- Potrząsnęła wolno głową. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie.
- - Ty... go... nie... zniszczysz - rzekła.

- Puściłem kubek. Odbił się od mego uda i kawa chlupnęła na nogawkę moich spodni.

- Ups! - powiedziałem i schyliłem się po kubek na podłodze zsuwając się z krzesła za biurko i wyrwałem swój kal. 9,6 mm spod pachy. Upadłem na podłogę na lewe ramię. Nade mną rozległ się suchy trzask, potem drugi i dwie kule wbiły się w ścianę za moim krzesłem. Oddałem jeden strzał prosto w sufit, żeby wiedziała, że mam broń. Obróciłem się na kolana, ciągle za osłoną biurka i czekałem z rewolwerem na krawędzi blatu. Słyszałem jej szybki krótki oddech.

- Nie chcę cię postrzelić - powiedziałem przesuwając się za róg biurka. Usłyszałem stukot jej obcasów, potem odgłos otwieranych drzwi. Wstałem i zobaczyłem, jak drzwi na korytarz się zatrząskują. Podeszedłem do okna i spojrzałem w dół na Hollywood Boulevard. Za jakąś minutę zobaczyłem ją jak wychodzi na mokrą ulicę i skręca w prawo idąc szybko z głową opuszczoną i rękami wciąż w kieszeniach płaszcza.

- Większość samochodów na bulwarze miała zapalone światła w ten łupkowoszary ranek. Odbijały się one na mokrym chodniku i mieszały z odblaskami barwnych neonów i lśnieniem dachów wilgotnych samochodów, kiedy patrzyłem jak Muffy niknie mi z oczu podążając na zachód obok Teatru Chińskiego, sklepów z pamiątkami i miejsc sprzedaży przezroczystej bielizny. Odwróciłem się, wyjąłem łuskę z bębena, włożyłem nowy nabój i wsunąłem rewolwer z powrotem pod pachę. Wyjąłem kilka papierowych ręczników, wytarłem rozlaną kawę i wyrzuciłem papierowy kubek. Obejrzałem otwory po

- kulach w ścianie i na suficie. Niewiele mogłem z tym zrobić. Musiały pozostać. Dodadzą mi ważności. Włożyłem swój trenz i poszedłem po samochód na parking przy Cahuenga. Nie spieszyłem się. Byłem pewien, wiedziałem, dokąd się udała. Nie miała innego wyjścia.

- Czasami myślę, że Południowa Kalifornia wygląda lepiej w deszcz niż kiedy indziej. Deszcz zmywa „kurz i przydaje blasku tandecie, ubóstwu i pretensjonalności, a także odświeża drzewa, kwiaty i trawę spaloną w słońcu. Bel Air pod mokrym niebem jest całe szmaragdowe, szkarłatne i złote, a deszcz sprawia, że ulice lśnią. Powiedziałem facetowi przy bramie Clayтона Blackstone’a:
- - Marlowe. Pracuję dla pana Blackstone’a. Strażnik wszedł do budki. Tylko w Bel Air są przy bramach budki. W Thousand Oaks ich rolę spełniają domki z dwiema sypialniami i ogródkiem. Po kilku minutach wyszedł i powiedział:
- - Proszę poczekać, Eddie za chwilę do pana przyjdzie.
- Siedziałem i patrzyłem, jak wycieraczki rysują nieregularne trójkąty na szybie samochodu. Po jakichś trzech minutach pod wewnętrzną stronę bramy podjechał samochód, z którego wysiadł Eddie Garcia, brama się
- otworzyła i Eddie podszedł do mego samochodu z postawionym kołnierzem trenażera. Usiadł obok mnie.
- - Jedź za tamtym samochodem - rzekł.
- Pojechaliśmy krętą drogą wśród zmokłej zieleni i zajechaliśmy pod wielkie frontowe wejście. Jadący przodem samochód zatrzymał się. Wysiadł z niego J.D. i spojrzał na mnie. Garcia wysiadł przez swoje drzwi, a ja przez swoje. Garcia poruszył głową i wszedłem za nim do kancelarii, a stamtąd przez bibliotekę do gabinetu Blackstone’a. Żaden z nas nie wypowiedział ani słowa. Blackstone siedział jak poprzednio za ogromnym biurkiem, tym razem w dwurzędowym granatowym blezerze i białej koszuli. Na górnej kieszeni blezera było coś w rodzaju herbu. Obok baru, ze szklanką w dłoni, tak jak spodziewałem się ją zastać, stała Muriel. Jej pistolecik nie był widoczny. Eddie zamknął drzwi za nami, gdy weszliśmy do pokoju, i zatrzymał się o krok za nimi, zwrócony do nich plecami. Podszedłem i usiadłem na tym samym krześle koło biurka, na którym siedziałem poprzednio.
- Pada - powiedział Blackstone z roztargnieniem.
- Nawet w Bel Air - odparłem.
- Kiwnął głową i omijając mnie wzrokiem patrzył na córkę.
- - Był pan ze mną dość szczery, Marlowe, gdy rozmawialiśmy tu ostatnio.
- Czekałem.
- Ale niektóre rzeczy zataił pan przede mną - rzekł.
- Nigdy nie mówiłem, że nie - odparłem.

- Mówił powoli i bezbarwnie. Jak człowiek, który myśli o innych rzeczach: straconych miłościach, dzieciach bawiących się na plaży, coś takiego. Pochylił się, wyjął z pudełka cygaro i przyciął je nożykiem, który miał w środkowej szufladzie. Zapalił je starannie obejmując koniec cygara płomieniem, potem wchłonął i wypuścił dym patrząc jak się rozprasza w klimatyzowanym wnętrzu. Nikt się nie odzywał, gdy to trwało. Widziałem przez panoramiczne okno jak deszcz znaczy powierzchnię modrej wody w basenie.
- No, więc co ma mi pan do powiedzenia, Marlowe?
- Tuż przed moim tu przybyciem - rzekłem - pana córka odwiedziła moje biuro.
- Ach tak? - Spojrzał na Muriel. Muriel trzymała szklankę obiema rękami. Szklanka była prawie pełna, Muriel jakby o niej zapomniała.
- Co było treścią waszej rozmowy? - spytał..
- Że pan dąży do zniszczenia jej małżeństwa, a ja, jako pana agent, zostałem zatrudniony w tym samym celu.
- Blackstone wytrzeszczył oczy na córkę.
- - Muriel?
- Nie odpowiedziała. Przyciskała szklankę do piersi, jakby chciała ogrzać trunek.
- - Powiedziała, że mnie zabije, tak jak zabiła Lolę i Lippy'ego - ciągnąłem - a potem wyjęła pistolet automatyczny kaliber 6,2 milimetra, chromowany z Okładzinami z macicy perłowej i zaczęła strzelać.
- Blackstone nie zmienił wyrazu ani się nie poruszył. Patrzył na mnie jak ktoś pogrążony w kontemplacji.
- - Lippy i Lola zostali zastrzeleni z broni kaliber 6,2 mm - powiedziałem.
- Blackstone wolno kiwnął głową, ale nie patrzył na mnie. Patrzył przez pokój na córkę. W końcu wstał. Zobaczyłem, że miał na sobie białe spodnie i białe mokasyny. Przeszedł przez pokój i stanął o jakiś metr przed córką.
- - Nie ma nikogo takiego, Muffy, kogo nie mógłbym kupić albo wystraszyć. Nic tak zniszczonego, czego nie mógłbym naprawić.
- Nie patrzyła na niego.
- Opowiedz mi o tym - rzekł Blackstone. - O pistolecie, o Loli i Lippy'm. Opowiedz mi o tym, co mówił pan Marlowe.
- Lola miała moją niedobłą fotografię - powiedziała Muriel. Jej głos brzmiał dziecinnie. - Jedną z tych, do jakich pozowałam dawno temu.

- Blackstone kiwnął głową.
- - Teraz już tego nie robisz, prawda, Muffy? Potrząsnęła głową, wciąż patrząc w podłogę, wciąż przyciskając do piersi szklankę.
- - Mówiła, że ją pokaże wszystkim ludziom w Springs i powie, że to Les ją zrobił, i... - Potrząsnęła głową nie podnosząc wzroku.
- - I co? - spytał Blackstone. Muriel nie poruszyła się.
- - I umówiła się z Lolą w pracowni Larry'ego, i gdy dostała zdjęcie zastrzeliła ją - powiedziałem. – Opróżniła szafki Larry'ego i wyszła.
- - Nie wiedziała, że będą inne odbitki?-rzekł Blackstone.
- - Nie wzięła pod uwagę wszystkich okoliczności – po wiedziałem. - Nie wiedziała też, że to obciąży Larry'ego i doprowadzi policję do Lesa.

- Mówiliśmy o niej, jakby była ornamentem z jadeitu.
- - A co z Lippy'm? - spytał Blackstone. – Nie wiedziałem nawet, że go znasz.
- - Zatrudnił pana Marlowe, żeby odnalazł Lesa i dręczył go o pieniądze. Les miał dług u Lipshultza.
- Blackstone spojrzał na mnie twardo. Wzruszyłem ramionami.

- Wiedziałaś, że pan Lipshultz pracował dla mnie, Muffy?
- Nie, póki pan Marlowe mi nie powiedział.
- Czy nie mogłaś mimo to po prostu przyjść do mnie? Dałbym ci te pieniądze. Robiłem to przedtem.

- Patrzyła w podłogę.

- Czemu tego nie zrobiłaś, Muffy?
- Bo się wstydziłam - odparła. - Nie chciałam, żebyś się dowiedział, że Les wpadł w długi z powodu hazardu. Poszłam więc porozmawiać z panem Lipshultzem.
- Czy Lippy znał pana córkę? - zapytałem.
- Nie. Nawet nie wiedział, że ją mam. Nie mieszałem rodziny w interesy. - Zwrócił się z powrotem do córki.

- - I co się stało, Muffy?
- - Poprosiłam go, żeby przestał niepokoić Lesa i mnie, a on powiedział, że interes to interes i że jego szef przybije jego skórę do drzwi klubu, jeżeli on nie wydobędzie tych pieniędzy.

Wtedy ja powiedziałam, że ich nie mam, ale mogę mu zapłacić w inny sposób.

- - Jezu! - wyrwało się z ust Blackstone'a. Jego córka milczała.
- - A wtedy Lippy zaczął mruczeć jak niedźwiedź - powiedziałem - kazał swoim goryłom zmiatać, nalał whisky i rzekł: „Spójrz, kochanie, jaki stąd piękny widok na pustynię”, i... - Wymierzyłem z wymagowanego pistoletu i pstryknąłem palcami.
- - On by... wszystko... zniszczył - powiedziała Muriel. Słyszałem już ten ton wcześniej.
- Blackstone stał i patrzył na swą córkę długą chwilę. Potem odwrócił się, przeszedł za biurko i osunął się na fotel. Wziął swoje cygaro, pociągnął kilka razy, żeby zobaczyć, czy nie zgasło, a potem oparł się i patrzył w milczeniu na córkę. Potem zwrócił się do mnie.
- - Kazałem Eddie'emu dopaść Larry'ego Victora
- - rzekł. - Zobaczyc, co się święci. - Urwał patrząc na cygaro. - Wie pan, że on ma żonę.

- Taa - odparłem. - Wiedziałem o tym cały czas.
- I nie widział pan potrzeby poinformowania mnie o tym, mimo że wziął pan ode mnie pięćset dolarów.
- Sądziłem, że póki nie będę miał całości obrazu, może to tylko zaszkodzić.
- O czym wy mówicie? - powiedziała Muriel. - O... czym... wy... mówicie?

- - On ma drugą żonę, Muffy - rzekł Blackstone.
- - Człowiek, dla którego zabiłaś dwoje ludzi, ma drugą żonę.

- Co... to... znaczy... drugą... żonę?

- On ma ciebie, Muffy, i jeszcze drugą żonę. Jest bigamistą - powiedział Blackstone.

- Cisza w pokoju implodowała, stawała się gęstsza i gęstsza jak zapadająca się gwiazda. Stojący przy drzwiach Eddie Garcia wyglądał, jakby spał, tylko jego oczy czasem poruszały się leniwie.

- -To... nieprawda - powiedziała Muriel śpiewnym szeptem. - To... nieprawda.
- Blackstone patrzył teraz na mnie.

- Co pan na to, Marlowe?
- Zabiła dwoje ludzi - powiedziałem. - Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego.

- - A ja nie mogę dopuścić, żeby beknęła za to - rzekł. Muriel wyprostowała się przy barze, ostrożnie odstawiała obiema rękami szklankę.
- - Nie będę tutaj stała i słuchała kłamstw – powie działa. Jej głos spadł teraz w dolny rejestr.
- Blackstone potrząsnął głową.

- Nie, Muffy - rzekł. - Jesteś teraz za bardzo roztrzęsiona. Musisz się trochę uspokoić.
- Siedzisz i wymyślasz kłamstwa - powiedziała. Jej głos był wciąż głęboki, ale oddech krótki i mówiła basowymi urywkami zdań. - Chcesz zniszczyć... moje małżeństwo. - Zaczęła wolno iść przez pokój trzymając ręce w kieszeniach. Eddie pod drzwiami zachowywał się, jakby obserwował Wielką Niedźwiedzicę. - Nie chcesz... żeby mnie... ktoś miał. Nigdy. Wszystko... niszczysz.
- Muffy - powiedział Blackstone. Tym razem ostrzejszym tonem.

- Nagle odwróciła się. Wyjęła ręce z kieszeni, pistolet miała w prawej. Położyła lewą dłoń na prawej, stanęła w pozycji do strzału i wpakowała dwie kule w czoło Blackstone'a. Byłem na wpół odwrócony na fotelu, gdy z boku jej głowy trysnęła krew i rozległ się grzmiący huk wielkiego magnum Garcii. Muriel okręciła się i padła twarzą na podłogę.

- Przyjrzałem się obojgu w natarczywej ciszy jaka nastąpiła po strzałach, czując zapach kordytu w pokoju. Oboje byli martwi. Garcia wciąż stał przy drzwiach z magnum w ręku.
- - Pół sekundy - rzekł. - Spóźniłem się pół sekundy. Kiwnąłem głową.
- - Dziesięć lat temu - powiedział cicho. - Dziesięć lat temu mógłbym go ocalić.
- - Gliny dadzą ci czadu, Eddie, jak się do ciebie dobiorą.

- Nie znajdą mnie, Marlowe.
- Mimo to niezły strzał - powiedziałem. - Ona była szybka.
- Pół sekundy - powtórzył Garcia - pół sekundy za późno. - Potem otworzył drzwi, zamknął za sobą i tyle go widziałem.

- Podeszedłem wolno do biurka Blackstone'a, podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer, który znałem aż za dobrze.

-
- Policja zwolniła mnie wczesnym popołudniem. Bardzo niechętnie, ale nie mieli nic przeciwko mnie poza tym, że jestem marnym detektywem, a z tym mieli własne problemy. Jadąc nadmorską szosą do Venice usiłowałem dociec, jak bardzo marnym jestem detektywem. Gdy dojechałem do Santa Monica zrezygnowałem z wysiłków i stwierdziłem, że z równym powodzeniem mogę się uważać za dobrego detektywa. Zaparkowałem za restauracją, w której pracowała An-gel, wszedłem i powiedziałem:
 - - Wyłumacz się szefowi, że masz pilną sprawę i chodź ze mną.
 - Zrobiła wielkie oczy, ale nie zadawała pytań. Za pięć minut siedzieliśmy w moim oldsie i jechaliśmy do Hollywood.
-
- Nic się nie stało - powiedziałem. - Chciałem cię tylko wyciągnąć.
- Czy znalazł pan Larry'ego?
- Taa, znalazłem - odparłem. - Wiozę cię do niego.
-
-
- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Czy nic mu się nie stało?
- Nie, jest w porządku - rzekłem. Choć nie byłem przekonany, czy Larry Victor kiedykolwiek będzie w porządku.
-
- Dalej jechaliśmy w milczeniu. Deszcz przeszedł w mżawkę ledwie usprawiedliwiającą pracę wycieraczek.
 - - Co do tej sprawy, że on jest żonaty z inną kobietą - zacząłem.
 - - Wiem, że to nieprawda - przerwała mi., - Taa, właśnie - powiedziałem. - Myliłem się.
 Nim zajechaliśmy przed motel, w którym Larry się zameldował, deszcz ustał zupełnie. Motel był piętrowy, z drzwiami pomalowanymi każde na inny kolor i galeryjką wzdłuż piętra. Do obu końców balkonu-galeryjki wiodły schody. Biuro przy odległym końcu zostało dobudowane pod kątem prostym do motelu i obłożone czymś w rodzaju sztucznego kamienia. Weszliśmy z Angel po schodach. Zapukałem do drzwi Victora.
 - - Marlowe - powiedziałem.
 - A po chwili usłyszałem kroki, drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i wyjrzał Victor. Odstąpiłem na bok i zobaczył Angel.
 - - Larry - powiedziała. - Larry, to ja.
 - Zamknął drzwi, zdjął łańcuch, po czym otworzył je ponownie i Angel niemal pofrunęła w jego ramiona.
 - - Larry - mówiła. - O mój Boże, Larry. Oparłem się o ścianę na zewnątrz pokoju, paliłem papierosa i obserwowałem chmury deszczowe, które zaczynały się rozpraszać. Po kilku minutach wszedłem do pokoju. Angel i Larry siedzieli na łóżku i trzymali się za ręce. Ona

patrzyła na niego jakby był perskim królem.

- Muriel Blackstone nie żyje - powiedziałem. - Jej ojciec też. Ze względu na to, kim był, powstanie wrzawa. Twoja głowa, jak sobie z tym poradzisz.
- Jak? - wybełkotał Victor. - Kto?
- Nieważne - odparłem. - Ani ty, ani ja.
- To ta kobieta, o której pan powiedział, że Larry jest jej mężem - wtrąciła Angel.
- Dałem się zwieść pozorom - rzekłem.
- To racja - zauważył Victor. - Pozory czasem mylą.
- Ja nie wiem, że tu jesteś - powiedziałem. - Nie wiem, gdzie jesteś.

- Wyjąłem pozostałe czterysta dolarów, które dał mi Blackstone i położyłem na lichym biurczku przy drzwiach.
- - Nie dzwoń do mnie - ciągnąłem. - Nie przychodź. Odwróciłem się i wyszedłem. Victor ruszył za mną.
- - Zaczekaj chwilę - rzekł wychodząc na balkon. - A co będzie, jak przyjdzie policja?

- Na pewno przyjdzie - powiedziałem. - Jeśli dowie się, gdzie jesteś.
- Ale co mam robić?
- Trzymać się ode mnie z dala - odparłem. - I dbać o tę dziewczynę. Jeśli się kiedyś dowiem, że nie jesteś dla niej dobry, znajdę cię i rozkwaszę ci twarz butem.

- - Hej, Marlowe, po co tak mówisz? Przecież tyle przeszliśmy razem.
- - Taa - odrzekłem. - Pamiętaj, co ci powiedziałem.

- Odwróciłem się i odszedłem. Usłyszałem za plecami jego słowa:
- - Marlowe! Jak rany, Marlowe. Szedłem dalej.
- A potem usłyszałem głos Angel.
- - Do widzenia, panie Marlowe. Dziękuję. Pomachałem jej nie odwracając się. Wkrótce znalazłem się w samochodzie i na Wilcox Avenue.

•

- Było za późno, żeby wracać do biura i za wcześnie, żeby się udać do mego umeblowanego

mieszkania i liczyć ściany. Może później. Rozwiązę jakiś problem szachowy, wypiję parę drinków i wypalę fajkę. Ale jeszcze nie teraz. Gdybym zrobił to teraz, wieczór byłby za długi. Jeździłem więc wolno po Hollywood patrząc na pedałów i prostytutki, turystów i naciągaczy, ludzi z Plainfield w New Jersey, wypatrujących gwiazd filmowych, królowe balów z Shakopee w Minnesocie, już teraz weteranki łóżek ludzi, od których zależą obsady filmów. Wszyscy byli na bulwarze, przestraszeni, przejęci, zrozpaczeni, uczciwi i nieuczciwi, wmieszani w tłum, pędzący gdzieś albo wałęsający się bez celu, usiłujący przeć naprzód, zdobyć coś, zyskać szansę, usłyszeć miłe słowo, szukający pieniędzy, miłości, miejsca do spania, trochę narkotyku, trochę alkoholu, czegoś do jedzenia, w większości w pojedynkę i prawie wszyscy samotni. Znalazłem miejsce do zaparkowania po drugiej stronie ulicy, wysiadłem z oldsa i wszedłem do baru hotelu Roosevelt. Zamówiłem podwójną wódkę z limoną i usiadłem w końcu baru, żeby ją wypić. Patrzyłem na barowe światło przesączone przez prawie słomkową barwę mego drinka. Minęło dużo czasu odkąd siedziałem w tym barze i popijałem z Terrym Lemox'em, dużo czasu, odkąd poznałem Lindę Loring. Córka Harlana Pottera: złoto, diamenty, jedwabie i perfumy, które kosztowały więcej niż potrafiłem zarobić przez tydzień. Dużo czasu, a ja wciąż siedzę w końcu baru i piję samotnie. Źle, Marlowe. Źle, że nie było innego wyjścia. Dopilem drinka, wstałem, wyszedłem i pojechałem do domu. Moje mieszkanie miało zatęchły zapaszek, jaki powstaje, kiedy nie ma w nim żadnej ludzkiej istoty. Zostawiłem drzwi do przedpokoju otwarte, wszedłem i otworzyłem okna w saloniku, żeby go trochę przewiało. Na niebie chmury już się rozdzieliły i na zachodzie były zabarwione zachodzącym słońcem. Zostawiłem drzwi i okna pootwierane, a sam poszedłem do kuchni zrobić sobie drinka. Włożyłem lód do szklanki, wlałem wodę sodową, stopkę szkockiej, i zaniósłem do saloniku. Była tam Linda. Weszła i zamknęła drzwi. Obok niej stała na podłodze weekendowa walizeczka. Linda miała na sobie różowy kostiumik i śmieszny różowy kapelusz wielkości dywanika, poza tym białe rękawiczki i pantofle. Jej weekendowa walizeczka była różowa z białym wykończeniem i inicjałami L.M. - Na długo w mieście? - zapytałem. Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na mnie ogromnymi i ciemnymi a zarazem pałającymi oczyma.

- -W tym stanie obowiązuje małżeńska wspólnota majątkowa - powiedziałem. - Czy przyszłaś po połowę mojej amunicji?
- Przyszłam się z tobą kochać - odparła.
- Myślałem, że się rozwodzimy - powiedziałem.
- Tak - rzekła. - Ale rozwód nie dotyczy tych spraw.
- - Wydajesz się okropnie pewna siebie. Ta walizka i w ogóle. A co by było, gdybym powiedział nie?
- Linda uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Czułem, że roztopię się w jej oczach, jeśli będę w nie dłużej patrzył.
- - Masz rację - rzekłem. - Pewnie nie powiedziałbym nie.

- Uśmiechnęła się troszeczkę szerzej, wciąż milcząca, wciąż z przeglądającą zza oczu wiecznością. Sięgnęła, odpięła śmieszny kapelusz i położyła go na stoliku do kawy.
- - Muszę wiedzieć, co to dla nas znaczy – powiedziałem.
- Kiwnęła wolno głową. - To znaczy-rzekła głosem niemal oderwanym, jakby do wtóru jakiejś niesłyszalnej orkiestrze - że za bardzo się kochamy, aby z siebie wzajem rezygnować. Możemy zakończyć nasze małżeństwo, ale nie możemy przestać się kochać. Zapewne nie potrafimy razem żyć. Ale czy to musi oznaczać, że nie możemy pozostać kochankami?

- Ach, rozumiem. O to chodzi.
- Tak.
- Dla mnie to brzmi rozsądnie - powiedziałem. Linda rozpięła żakiet, zdjęła, potem odpięła zamek

- spódnicy i wysunęła się z niej. Zdjęła bieliznę upuściła ją na podłogę, wyprostowała się i uśmiechnęła się do mnie.

- - Chcesz, żebym cię gwałcił tu na podłodze, czy wolisz przejść do sypialni? - zapytałem. Ja też byłem teraz jakby odłączony od swojego głosu, jakby rzeczywistość była gdzieś poza kamerą a my odgrywaliśmy poemat, który ktoś inny wyśpiewał. Linda nie odpowiedziała.

- Co wolisz? - usłyszałem swoje słowa.
- Jedno i drugie - odparła Linda. A później, dużo później w mroku, daleko od świata, usłyszałem, jak jedno z nas mówi, „na zawsze?”, a drugie, nie wiem, które, bo nasze głosy zlały się w jeden, odpowiedziało: „na zawsze”.

KONIEC

„KB”